

CZY CAŁA HISTORIA WIELKIEJ WOJNY OJCZYŹNIANEJ TO KŁAMSTWO?

MARK SOŁONIN

JAK ZWIĄZEK RADZIECKI WYGRAŁ WOJNĘ



MARK SOŁONIN

**JAK
ZWIĄZEK RADZIECKI
WYGRAŁ WOJNĘ**

Przełożyła
Anna Pawłowska



DOM WYDAWNICZY REBIS

Spis treści

„Monachium” i Moskwa
Gry wiosny 1941 roku
Brakujące ogniwo
Lebieżany–Nowa Mysz
Historia klęski w dokumentach
Ostatnia próba
Blokada Leningradu. Fakty i pytania
Jak Związek Radziecki wygrał wojnę
Nie budź licha, kiedy śpi
Fotografie
Polecamy

„MONACHIUM” I MOSKWA

„Monachium”. To krótkie słowo znajduje się w zestawie obowiązkowym pseudohistorycznej pseudowiedzy każdego patrioty-państwowca. O „Monachium” wiedzą wszyscy – podobnie jak o „uśpionym kraju”, „myśliwcach z dykty”, „jednym karabinie na trzech”, „Stalinie, który usiłował opóźnić”, „Richardzie Sorgem, który uprzedzał” itd. O „monachijskiej zмовie” mówi się za każdym razem, gdy tylko pojawia się temat paktu Ribbentrop–Mołotow. To jest nasz „kontratak”, niepodważalny argument przy demaskowaniu grzechów bezwstydного „Zachodu”. Jednak nie wszystko jest takie, jakie się wydaje...

Na początek krótkie wprowadzenie historyczne. Pierwsza wojna światowa doprowadziła do upadku trzech olbrzymich wielonarodowych imperiów (austro-węgierskiego, rosyjskiego, tureckiego) i powstania nowych państw. Zwycięska strona (ententa) wytyczyła zachodnią granicę nowo powstałej Czechosłowacji według przedwojennej granicy między Austro-Węgrami i Niemcami. W rezultacie przy północno-zachodnich i południowo-zachodnich granicach nowego państwa znalazły się rejony gęsto zamieszkane przez mniejszość niemiecką (można powiedzieć: „austriacką”). Przy czym mniejszość ta była bardzo liczna: na początku lat 30. ludność Czechosłowacji liczyła 7,4 miliona Czechów, 3,3 miliona Niemców, 2,4 miliona Słowaków, 600 tysięcy Węgrów, 500 tysięcy zakarpaccich Rusinów, 300 tysięcy Żydów, 100 tysięcy Polaków.

Nie będziemy teraz dywagować, jakie argumenty mógł (powinien był) przytoczyć „Zachód” w Monachium, kiedy odmawiał ponad 3 milionom Niemców sudeckich prawa do połączenia się z vaterlandem, ale przypomnijmy czytelnikom, że Anglicy i Francuzi o nic nie prosili dla siebie i niczego (oprócz wstydu) nie otrzymali. Przypomnijmy i o tym, że w Monachium Hitler nie żądał unicestwienia Czechosłowacji i nie nazywał jej „pokracznym bękartem traktatu wersalskiego”; w tym czasie żądania

Niemiec sprowadzano do biblijnego „Wypuść lud mój”. I nawet przy tym, co dzisiaj wiemy o konsekwencjach „Monachium”, nie możemy nie przyznać, że ze strony Anglii i Francji była to – owszem, tchórzliwa i głupia – próba uniknięcia wojny. Szczytny cel. Właśnie na tym polega główna i jakościowa różnica między „Monachium” i radziecko-nazistowskim porozumieniem, które było umową między dwoma podżegaczami wojennymi w sprawie podziału przyszłych łupów.

Wróćmy jednak do 1938 roku. Co robił Związek Radziecki w czasie „kryzysu sudeckiego”? I na to pytanie odpowiedź „znają wszyscy”. ZSRR reprezentowany przez ludowego komisarza spraw zagranicznych M. Litwinowa ze wszystkich trybun potępił politykę „ułagodzenia agresora”, gniewnie piętnował i surowo osądzał, żądał od Francji wykonania jej zobowiązań wobec Czechosłowacji, wielokrotnie zapewniał Pragę o niezmiennym poparciu, zmobilizował i ściągnął do zachodnich granic kilkadziesiąt dywizji, przygotowywał do walki czołgi i samoloty, wyciągał liczne ręce braterskiej pomocy...

W porządku, ale pojawia się zgrzyt – piękny obraz zaburza proste, oczywiste, ale jeszcze niezadane wcześniej pytanie: „To dlaczego nie pomogli, skoro tak bardzo chcieli?”. Rzeczywiście, skoro potężny Związek Radziecki, który już latem 1938 roku dorobił się setek dywizji i brygad, tysiący czołgów i samolotów bojowych, chciał pomóc Czechosłowacji (i nie tylko z platonicznej miłości do braci Słowian, a po to, żeby nie dopuścić do „ekspansji Hitlera na wschód”), to co przeszkodziło w urzeczywistnieniu tak pożytecznych i wzniosłych zamierzeń? Dlaczego nie wysłano nawet oficjalnej noty protestacyjnej do MSZ Niemiec? Nie wezwano radzieckiego ambasadora „na konsultacje” z Berlina – nie wspominając już o skuteczniejszych sposobach wyrażenia sprzeciwu Moskwy wobec warunków i wyników „układu monachijskiego”?

Warto zauważyć, że w wariantach odpowiedzi na to pytanie wyraźnie da się zauważyć charakterystyczne dla całej radzieckiej historiografii II wojny światowej „dwa szczeble”, dwa poziomy: dla „swoich” i dla „ciemnego ludu”. Wydane w skromnych nakładach, ale aspirujące do naukowej rzetelności grube monografie zwyczajnie i bez udawania, z pewnym nawet ostentacyjnym cynizmem („jesteśmy dorośli, po co mamy się krygować”), przyznają, że Związek Radziecki nie zamierzał pomagać Czechom. „Praktyczny umysł Stalina wyznaczał, tak w okresie przygotowań do Monachium (mimo

dyplomatycznej retoryki), jak i po nim, stanowisko obserwatora czekającego na dalszy rozwój wydarzeń i kierującego się zasadą, mówiąc dosadnie, «unikania kłopotów»”.

A szerokim masom – po opowieściach o „700 myśliwcach przygotowanych do natychmiastowego wylotu do Czechosłowacji” i innych zapierających dech w piersiach przejawach gotowości ZSRR do udzielenia pomocy ofierze faszystowskiej agresji – z jękiem żalu mówi się, że chcielibyśmy pomóc, ale wszystko spaliło na panewce z powodu pewnego punktu. Radziecko-czechosłowackie porozumienie o wzajemnej pomocy zawierało w tekście klauzulę, że zobowiązania ZSRR wejdą w życie dopiero wtedy, gdy Francja również udzieli pomocy Czechosłowacji. A Francja nic nie robi, no to my też...

To wspaniała logika, znana i zrozumiała nawet dla ludzi niemających pojęcia, po której stronie globu trzeba szukać tego nieszczęsnego Monachium. „Pobralibyśmy się, ale jego (jej) rodzice nie chcą”. Co prawda zgodnie z prawem i w życiu wszystko jest inaczej. Do zawarcia małżeństwa i powstania wszystkich praw i obowiązków wynikających z jego zawarcia ani rodzice, ani „świadkowie” nie są potrzebni – tylko poświadczona na piśmie w urzędzie stanu cywilnego wola dwóch dorosłych osób, państwa młodych. Gdy jest taka wola, sprawę załatwia się szybko i łatwo, po uiszczeniu niewielkiej opłaty skarbowej; przy braku woli u przynajmniej jednej ze stron nie załatwia się nigdy.

Ani Czechosłowacja, ani tym bardziej Związek Radziecki nie były kolonią Francji. Ani Praga, ani Moskwa nie potrzebowały „pozwolenia” Paryża na zmianę istniejącego porozumienia albo zawarcia nowego. Trzeba było tylko chęci. Gdy była chęć (wola polityczna), dyplomacja stalinowska działała w zawrotnym tempie.

21 sierpnia 1939 roku w Moskwie jeszcze toczyły się rozmowy trójstronne misji wojskowych (Anglia, Francja, ZSRR) w sprawie wspólnych operacji wojskowych przeciwko Niemcom, a w nocy na 24 sierpnia na Kremlu już rozlewano szampana z okazji podpisania paktu Ribbentrop–Mołotow. W nocy z 26 na 27 marca 1941 roku w Belgradzie doszło do wojskowego zamachu stanu, a 3 kwietnia (czyli zaledwie tydzień później) delegacja nowego jugosłowiańskiego rządu już negocjowała z samym Stalinem traktat o przyjaźni i współpracy, który podpisano 6 kwietnia 1941 roku. Absolutny rekord świata w szybkości został ustanowiony przy zawarciu

porozumienia z „ludowym rządem demokratycznej Finlandii”, który to (według gazety „Prawda” z 2 grudnia 1939 roku) przypadkowo został odkryty przez nasłuch radiowy i już następnego dnia przybył na rozmowy do Moskwy.

Równie odważnie i zdecydowanie Stalin łamał dowolne normy prawa międzynarodowego. W samym tylko 1939 roku Związek Radziecki jednostronnie zerwał pakt o nieagresji z Polską, a następnie z Finlandią, prowadził działania wojenne na terytorium nieuznawanej przez nikogo poza Związkiem Radzieckim Mongolii; w kolejnym, 1940 roku, grożąc użyciem wojsk, anektował część terytorium Rumunii (Besarabię i Bukowinę Północną) i okupował trzy kraje nadbałtyckie. I nic się nie stało. Stalin nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia, a kolizje prawne nie przeszkadzały w prowadzeniu poważnych interesów. Mam nadzieję, że nie trzeba przypominać, jak towarzysz Stalin traktował normy stalinowskiej konstytucji w rozgrywkach wewnętrznych.

Ale może czechosłowacka burżuazja podle zdradziła swój naród i w obawie przed rosnącym autorytetem i wpływami partii komunistycznej odrzuciła wyciągniętą przez Moskwę przyjazną dłoń? Owszem, słyszeliśmy i o tym. Tylko jest to całkowicie niedorzeczne. Prezydent Czechosłowacji Edvard Beneš (wcześniej nieprzerwanie od 1918 roku pełniący funkcję ministra spraw zagranicznych) oprócz tradycyjnego dla czeskich elit rusofilstwa przejawiał dodatkowo znaczne zamiłowanie do marksizmu i socjalizmu. Beneš był chyba najbardziej lewicowym przywódcą politycznym w przedwojennej Europie, bardziej na lewo od niego znajdowali się tylko etatowi pracownicy NKWD. Nieprzypadkowo po przywróceniu państwa czechosłowackiego latem 1945 roku Moskwa właśnie jemu powierzyła stanowisko prezydenta – przy tym, że w pozostałych przypadkach emigracyjni przywódcy na wygnaniu zostali od stóp do głów napiętnowani jako „zdrajcy”, „sługusy burżuazji”, „marionetki światowego imperializmu” oraz innymi niezbyt pochlebnymi epitetami...

Nie ma jednak potrzeby spierać się o to, czego chciał, a czego nie chciał Beneš. Mamy dokument – odtajnione sprawozdanie radzieckiego ambasadora w Pradze S. Aleksandrowskiego („Notatki w sprawie wydarzeń z końca września i początku października 1938 r.”, Archiwum Polityki Zagranicznej Federacji Rosyjskiej, f. 0138, op. 19, p. 128, d. 6). Czytamy tam:

Prasa lewicowa energicznie zwalczała i szukała argumentów dowodzących możliwości i znaczenia wsparcia ze strony ZSRR bez pomocy Francji. Przedstawicielstwo bombardowano dziesiątkami telefonów, a liczni wybitni politycy i dziennikarze przychodzili codziennie z tymi samymi pytaniami: czy ZSRR pomoże bez Francji, kto jest autorem klauzuli z porozumienia radziecko-czechosłowackiego o wzajemnej pomocy, uzależniającej pomoc radziecką od pomocy Francji, czy nie można zawrzeć nowego, już związkowego porozumienia. (...)

21 września towarzysz Litwinow w Genewie bardzo wyraźnie podkreślił zależność pomocy radzieckiej od francuskiej. Kręgi reakcyjne zaczęły wykorzystywać tę okoliczność.

Dalej na kilku stronach Aleksandrowski opisuje, jak wyglądała wielka manifestacja ludowa w Pradze; jego czarnego „burżuazyjnego” packarda najpierw chciano zniszczyć, a potem, gdy dostrzeżono na masce czerwoną flagę radziecką, szalejący tłum, wznosząc radosne okrzyki, niemal na rękach wyniósł go do bram pałacu prezydenckiego.

Beneš próbował wyłącznie rzeczowo rozmawiać na temat wojennego rozwiązania sporu między Czechosłowacją i Niemcami. Kiedy zadawał pytania na temat przejścia Armii Czerwonej przez terytorium Rumunii albo gdy pytał o naszą reakcję na ewentualny atak Polski na Czechosłowację, to w jego tonie nie było żadnych wątpliwości co do tego, że przyjdziemy walczyć przez Rumunię albo Polskę. (...)

Gdy byłem u Beneša 25 września, jego pokoje wyglądały niczym obóz wojskowy. (...) Przyznam, że w tym czasie było mi trudno, gdyż nie mogłem nic powiedzieć Benešowi, szczególnie w odpowiedzi na jego praktyczne pytania. Zapytał mnie, ile tysięcy żołnierzy może wysłać do Czechosłowacji desant powietrzny Armii Czerwonej, jaki sprzęt wojskowy dostarczy taki desant, jakie środki techniczne będą potrzebne, żeby desant mógł rozpocząć działania bojowe. (...)

Wieczorem 26 września, po przemówieniu Hitlera, Beneš był w nie tylko dobrym, a wprost wesołym stanie ducha. Był wręcz nastawiony bojowo. (...)

27 września Beneš mówił już całkiem poważnie o nieuchronności wojny i jego ton w kwestii naszej pomocy był zgoła inny. (...) Odczuwałem wyraźnie, że Beneš jest bardzo zdenerwowany i z dużą powagą chce się dowiedzieć od nas, jak i kiedy udzielimy pomocy. (...) Nie mam i nie miałem wątpliwości, że Beneš aż do otrzymania doniesienia o konferencji w Monachium nie zamierzał kapitulować i pod tym względem nie oszukiwał sam siebie, ani współobywateli, ani nas. (...)

Już jako okrzyk rozpaczy potraktowałem telefon od Beneša o wpół do dziesiątej rano 30 września [w dniu podpisania układu monachijskiego - M.S.]. (...) Ten historyczny dzień wymaga szczególnego omówienia. Ze względów technicznych będę mógł do niego wrócić dopiero przy kolejnej wysyłce poczty.

Skończono 20 października 1938 r.

Gdy radziecki ambasador (S. Aleksandrowski był osobą o wrażliwym sumieniu, bombardował Moskwę depeSZami z prośbą o ratowanie zagrożonych czeskich antyfaszystów, czyli wydanie im wiz wjazdowych do ZSRR; wiosną 1939 roku odwołano go z Pragi i zwolniono z Ludowego Komisarjatu Spraw Zagranicznych, w 1943 roku, dość późno, aresztowano, rozstrzelano w 1945 roku, zrehabilitowano pośmiertnie w 1956 roku) czuł się „bardzo kiepsko, ponieważ nie mógł nic powiedzieć Benešowi”, kierownictwo partii komunistycznej rozpowszechniało ulotki następującej treści: „Według absolutnie pewnych informacji Związek Radziecki jest zdecydowany udzielić pomocy Czechosłowacji w każdym przypadku i w każdej chwili, gdy tylko zostaniemy zaatakowani. Związek Radziecki jest niezachwianie z nami”.

Ciągu dalszego raportu Aleksandrowskiego (jeżeli w ogóle istniał) w archiwach MSZ Federacji Rosyjskiej nie udało mi się odnaleźć. Dlatego opisując wydarzenia „historycznego dnia, który wymaga szczególnego omówienia”, posłużymy się książką amerykańskiego historyka czeskiego

pochodzenia Igora Lukeša *Czechoslovakia Between Stalin and Hitler*.
W jego relacji tragiczne rozwiązanie wydarzeń było następujące:

Około godz. 22.00 29 września Beneš otrzymał z Moskwy wiadomość od [ambasadora] Fierlingera, który napisał, że według odpowiedzi [zastępcy ludowego komisarza spraw zagranicznych] Potiomkina, jeżeli Hitler zaatakuje Czechosłowację, „procedura w Genewie [tj. na posiedzeniu Ligi Narodów - M.S.] może być krótka, jak tylko znajdą się państwa gotowe do konfrontacji z agresorem”. Taka była odpowiedź Kremla na prośbę Beneša o niezwłoczną pomoc lotniczą, którą przekazał rankiem 28 września. (...) Teraz, gdy Beneš najbardziej potrzebował radzieckiego sojusznika, Kreml proponował mu zwrócić się z problemem do Ligi Narodów. (...)

Tuż przed spotkaniem z przedstawicielami partii koalicyjnych rankiem 30 września, po otrzymaniu warunków układu monachijskiego, o godz. 9.30 Beneš sięgnął po swoją ostatnią szansę. Zadzwoił do Aleksandrowskiego i powiedział mu, że Wielka Brytania i Francja złożyły Czechosłowację Hitlerowi w ofierze. Kraj musi teraz wybierać między wojną z Niemcami (w tym przypadku zachodni sojusznicy ogłoszą, że rząd w Pradze jest podżegaczem wojennym i jej winowajcą) a kapitulacją. W tych okolicznościach Beneš poprosił radzieckiego ambasadora, aby jak najszybciej dowiedział się w Moskwie, jak Sowieci postrzegają sytuację. Czechosłowacja powinna walczyć czy skapitulować?

Aleksandrowski nawet nie wysłał tego pilnego pytania od Beneša do Moskwy. O godz. 10.30, nie zrobiwszy w ciągu godziny nic, radziecki ambasador udał się do pałacu prezydenckiego swoją czarną limuzyną Packard, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. Nie spotkał się z Benešem, ale zebrał fragmenty informacji od jego współpracowników. (...)

O godz. 12.20 ambasada czechosłowacka w Moskwie poinformowała, że „nie ma żadnych wiadomości”, i dziesięć minut później minister spraw zagranicznych Krofta formalnie oświadczył Newtonowi i de Lacroix [ambasadorom Wielkiej

Brytanii i Francji - M.S.], że Czechosłowacja przyjmuje dyktat monachijski. Ambasada radziecka o godz. 13.40 wysłała drugi tego dnia telegram do Moskwy, informując Kreml, że Beneš przyjął warunki układu monachijskiego. (...)

Dopiero w nocy na 3 października 1938 roku prezydent Beneš otrzymał telegram od Fierlingera z Moskwy. Napisano w nim, że Kreml krytykuje decyzję czechosłowackiego rządu o kapitulacji i że Związek Radziecki udzieliłby wsparcia Czechosłowacji „w każdych okolicznościach”. Wiadomość ta została odebrana i rozszyfrowana w MSZ Czechosłowacji o godz. 2.00 3 października, czyli 61 godzin po tym, jak Praga przyjęła dyktat monachijski i co najmniej 36 godzin po opuszczeniu przez czechosłowackie jednostki linii umocnień na granicy. (...) Gdy już wszystko zostało powiedziane i zrobione, Praga otrzymała z Moskwy wyrazy platonicznego współczucia, starannie zaplanowane w czasie.

I jeszcze kilka dodatkowych akcentów do obrazu wydarzeń 1938 roku.

Ludowy komisarz spraw zagranicznych ZSRR M. Litwinow do ambasadora ZSRR w Pradze S. Aleksandrowskiego, 28 marca 1938 roku.

Kwestię austriacką i czechosłowacką zawsze rozpatrywałem jako jeden problem. Gwałt na Czechosłowacji byłby początkiem anchlussu, tak samo jak hitleryzacja Austrii z góry określiłaby los Czechosłowacji. (...) Już anchluss zapewnia Niemcom hegemonię w Europie, niezależnie od dalszych losów Czechosłowacji. (...) Dziwią mnie przypuszczenia Czechów, że będziemy żądać od Rumunii zgody na przemarsz naszych wojsk. Przecież ten przemarsz jest potrzebny przede wszystkim Czechosłowacji i Francji, to one powinny zabiegać o tę zgodę, tym bardziej, że łączą je z Rumunią pewne umowy. (Archiwum Polityki Zagranicznej FR, f. 0138, op. 19, p. 128, dz. 1, l. 16-19)

M. Litwinow do S. Aleksandrowskiego, 11 czerwca 1938 roku.

Nasza pomoc jest uwarunkowana pomocą francuską. Uważamy jednak, że zwrócenie się do nas Francji również nie dałoby oczekiwanego rezultatu i że wszelkie kwestie powinny być koniecznie konsultowane pomiędzy przedstawicielami francuskiego, czechosłowackiego i radzieckiego Sztabu Generalnego. Nie będziemy prosić o takie rozmowy, a Wy nie powinniście poruszać tematu. (Archiwum Polityki Zagranicznej FR, f. 0138, op. 19, p. 128, dz. 1, l. 38)

Sprawozdanie ze spotkania pierwszego zastępcy ludowego komisarza spraw zagranicznych ZSRR W. Potiomkina z ambasadorem Czechosłowacji w Moskwie Fierlingerem, 9 września 1938 roku.

Fierlinger zjawił się u mnie dzisiaj, żeby nieoficjalnie poskarżyć się na przyjęcie, z którym spotkali się u nas specjaliści wojskowi przybyli ostatnio do ZSRR z Czechosłowacji w ramach zadań specjalnych. Fierlinger powołuje się na następujące fakty:

1. Generałowie Šara i Netik rzekomo zostali bardzo oschle przyjęci przez towarzysza Szaposznikowa. Podczas ich powrotu z Moskwy razem z przedstawicielem Škody Hromadką ich rzeczy osobiste zostały bardzo dokładnie przeszukane na moskiewskim lotnisku. Przeszukano kieszenie zapasowych mundurów, które znajdowały się w walizkach. Przeczytano osobistą korespondencję. Wylot samolotu został zatrzymany prawie o pół godziny, ponieważ Hromadko miał przy sobie 2000 dolarów potrzebnych do opłacenia specjalnego samolotu, który czekał na niego w Amsterdamie. Fierlinger twierdzi, że po przyjeździe do Moskwy Hromadko zamierzał zgłosić przy kontroli celnej te środki, ale towarzysze z Ludowego Komisarjatu Obrony, którzy go spotykali, odradzali mu spóźnienie się z powodu tej formalności.

2. Oficerowie czechosłowackiej artylerii, którzy przybyli do ZSRR przez Rumunię z działami i pociskami, zapakowanymi szczególnie starannie i oplombowanymi, po dotarciu do Leningradu zostali osadzeni w ścisłej izolacji pod nadzorem

licznej ochrony. Ładunek, któremu towarzyszyli, został im odebrany i gdzieś wysłany. Następnie, gdy dotarli na poligon, stwierdzili, że z dział i pocisków usunięto plomby, a najbardziej tajne elementy zostały obfotografowane.

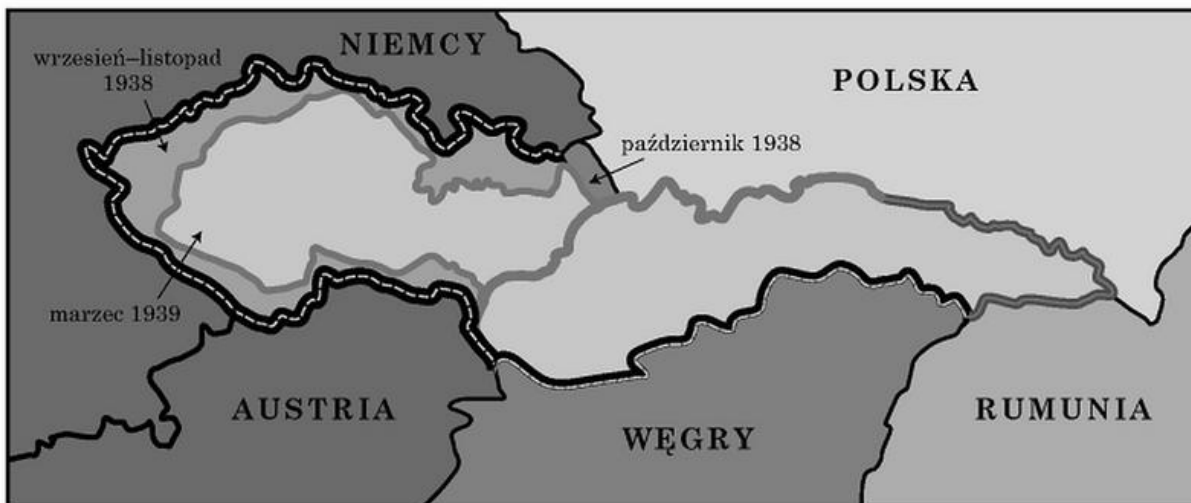
3. Dowódca czechosłowackich sił powietrznych Fajfr, który przyjechał do ZSRR w trybie pilnym w celu omówienia niektórych praktycznych zagadnień, wrócił rzekomo rozczarowany. Według Fierlingera rozmowa Fajfra z towarzyszem Szaposznikowem miała charakter formalny i nie wniosła nic konkretnego. (Archiwum Polityki Zagranicznej FR, f. 0138, op. 19, p. 128, d. 1, l. 62-63)

Raport ze spotkania W. Potiomkina z Fierlingerem, 15 września 1938 roku.

Fierlinger powiedział, że według informacji z ambasady francuskiej w Moskwie Georges Bonnet [minister spraw zagranicznych Francji - M.S.] był nadzwyczaj niezadowolony z rozmowy z towarzyszem Litwinowem w Genewie. Jak powiedział Fierlingierowi Coulondre, towarzysz Litwinow wykazał w tej rozmowie wyjątkową powściągliwość i nie przedstawił żadnych pozytywnych propozycji dotyczących Czechosłowacji w przypadku ataku ze strony Niemiec.

Odpowiedziałem Fierlingierowi, że według towarzysza Litwinowa sam Bonnet rozmawiał z nim głównie o niejasnym stanowisku Anglii w sprawie Czechosłowacji. Bonnet nie rozmawiał z towarzyszem Litwinowem o wspólnym udzieleniu pomocy Czechosłowacji. Naturalnie towarzysz Litwinow nie miał podstaw do opracowania praktycznego planu wspomżenia Czechów. (...)

Fierlinger wysłuchał wszystkich wyjaśnień z głębokim smutkiem. (Archiwum Polityki Zagranicznej FR, f. 0138, op. 19, p. 128, dz. 1, l. 65)



Jeśli coś nie kwacze jak kaczką, nie pływa jak kaczką i nie lata jak kaczką, to najprawdopodobniej nie jest kaczką. A więc co to jest?

Oczywiście Związek Radziecki, czyli towarzysz Stalin, nie zamierzał ratować Czechosłowacji, „odpierać faszystowskiej agresji” itd. Dalsze powtarzanie tych bzdur jest możliwe tylko w stanie ostrego zatrucia ideologicznego. Jednak jeszcze bardziej błędna wydaje mi się teza, że Stalin rzekomo postanowił ograniczyć się do roli „obserwatora czekającego na dalszy rozwój wydarzeń”. Rzecz jasna, latem i jesienią 1938 roku Stalin miał Plan i to wcale niesprowadzający się do biernego oczekiwania na to, „co przyniesie los”.

Przytoczone powyżej rozproszone skrawki faktów i opinii nawet w małym stopniu nie mogą stać się bazą do rekonstrukcji stalinowskiego Planu. Wszystko, co mogę dzisiaj zaproponować czytelnikowi, to, powiedzmy, niejasne przypuszczenia, które jednak zrodziły się z lektury oryginalnych dokumentów źródłowych. Tak więc:

Plan geopolityczny z września 1938 roku pod względem celów i zadań, głównych mechanizmów jego realizacji, niczym się nie różnił od planu z sierpnia 1939 roku. Żadnego „dramatycznego zwrotu w polityce zagranicznej państwa radzieckiego” w sierpniu 1939 roku nie było (w zasadzie jest to istota mojego „niejasnego przypuszczenia”). Stalin, który pije szampana z Ribbentropem, i Stalin, który poprzez swojego ministra (komisarza ludowego) spraw zagranicznych piętnuje „faszystowskich podżegaczy wojennych” – to ten sam polityk dążący do tego samego celu strategicznego.

Celem jest wojna w Europie Zachodniej, krwawa i niszczycielska, po której zgłiszczach Stalin poprowadzi swoje kolumny pancerne. Główne „narzędzie” służące do osiągnięcia tego celu – agresywny paranoik, który przejął (nie bez tajnych zakulisowych intryg Stalina) stery władzy w Niemczech. Głównym frontem przyszłej wojny powinna stać się francusko-niemiecka granica, ale Stalin próbuje wzniecić europejski pożar w innym miejscu, prowokując ostry lokalny konflikt. Latem 1938 roku takim „miejscem” jawi mu się Czechosłowacja, rok później – Polska. W 1938 roku głównym „punktem przyłożenia siły” była potencjalna ofiara faszystowskiej agresji – Czechosłowacja. To właśnie ją Moskwa z kunsztem doświadczonego prowokatora skłaniała do maksymalnego usztywnienia stanowiska.

Dziwne zastrzeżenia, że zobowiązania ZSRR wynikające z porozumienia o wzajemnej pomocy z Czechosłowacją wchodzi w życie dopiero w przypadku podobnych działań Francji, nie były oczywiście przyczyną determinującą stanowisko i działania Związku Radzieckiego, ale okazały się bardzo skutecznym narzędziem w realizowaniu polityki Stalina. Z takim zastrzeżeniem ludowy komisarz spraw zagranicznych ZSRR towarzysz Litwinow mógł, nic nie ryzykując, grzmieć z mównicy Ligi Narodów (a także wszystkich innych mównic) – loteria, w której grał Stalin, nie przewidywała przegranej. Jeśli Francja (i jej główny sojusznik Wielka Brytania) pójdą na ustępstwa wobec Hitlera, można będzie przez następne sto lat oskarżać te państwa o „zdradę”, „spisek z agresorem”, ukazując własną nieskazitelną (co obserwujemy do dziś). Jeśli dojdzie do wojny, to tutaj przed towarzyszem Stalinem otwiera się cały wachlarz wspaniałych możliwości.

Jedna z nich zalaśniała wyraźnie w nocy z 22 na 23 września 1938 roku. Tak, tak, właśnie w środku nocy obudzono chargé d'affaires Polski w Moskwie, pana Jankowskiego, i wezwano do Ludowego Komisariatu Spraw Zagranicznych, gdzie o czwartej nad ranem (pod koniec września jest o tej godzinie kompletnie ciemno) wręczono mu „Oświadczenie rządu radzieckiego do rządu Polski”. Oto jego pełny tekst (opublikowany zresztą w latach „głębokiej komuny”):

Rząd ZSRR otrzymuje z różnych źródeł doniesienia, że polskie oddziały gromadzące się na granicy Polski i Czechosłowacji przygotowują się do przejścia wspomnianej granicy

i zajęcia siłą części terytorium Republiki Czechosłowackiej¹. Mimo powszechnego i niepokojącego charakteru tych doniesień polski rząd dotychczas im nie zaprzeczył. Rząd ZSRR spodziewa się, że takie zaprzeczenie nastąpi niezwłocznie.

Niemniej jednak, gdyby do takiego zaprzeczenia nie doszło i gdyby na potwierdzenie tych doniesień wojska Polski rzeczywiście przekroczyły granicę Republiki Czechosłowackiej i zajęły jej terytorium, rząd ZSRR uważa za stosowne i konieczne ostrzec rząd Rzeczypospolitej, że na podstawie art. 2 paktu o nieagresji, zawartego między ZSRR i Polską 25 lipca 1932 roku, rząd ZSRR w związku z aktem agresji dokonany przez Polskę przeciwko Czechosłowacji byłby zmuszony bez ostrzeżenia wypowiedzieć wspomniany pakt.

Oświadczenie z 23 września to precyzyjny i dobrze przygotowany casus belli, uzasadniony prawnie pretekst do rozpętania wojny. I co dalej? Reszta jest milczeniem – jak powiedział na pożegnanie książę Hamlet. Żadnego „zaprzeczenia” od polskiego rządu nie było i wieczorem 1 października polskie oddziały przekroczyły granicę Czechosłowacji. I nic. Absolutnie nic. Ani radzieckiego ambasadora nie wezwano z Warszawy „dla konsultacji z rządem”, ani nie obudzono polskiego. Gdy polski rząd przeprowadził wszystkie wymienione w oświadczeniu niezgodne z prawem działania, Moskwa skromnie zachowała milczenie.

Mimo to widzę wszelkie podstawy, które pozwalają sądzić, że w potencjalnym konflikcie z Polską zamiary towarzysza Stalina były jak najbardziej poważne. Zresztą słowo „widzę” w tym przypadku nie jest zbyt odpowiednie. Zobaczyć je może każdy, komu będzie się chciało zdjąć z półki wydaną w wielkim nakładzie jeszcze w czasach radzieckich (Wojenizdat, Moskwa 1974) dwunastotomową *Historię drugiej wojny światowej*. Interesuje nas drugi tom prezentujący pod wspaniałym tytułem „Działania przygotowawcze Związku Radzieckiego w celu udzielenia pomocy Czechosłowacji” kolorową mapę, na której używając wszelkich potrzebnych strzałek i kółek, pokazano koncentrację wojsk radzieckich przy granicy z Polską. Mapa jest bardzo szczegółowa, zademonstrowano nawet drogę pewnej (67. Strzeleckiej) dywizji do granicy z... Łotwą! Ciekawe – jak utworzenie

„Witebskiego i Bobrujskiego Zgrupowania Armijnego” i wysłanie ich na granice z Polską mogło mieć wpływ na „udzielenie pomocy Czechosłowacji”, od której dzieliło je 800 kilometrów terytorium Polski?

Zgadza się, ZSRR nie miał wówczas wspólnej granicy ani z agresorem (Niemcami), ani z ofiarą agresji (Czechosłowacją). Jednak najkrótsza droga na Czechosłowację nie wiodła oczywiście przez Witebsk i Warszawę, a przez północno-wschodnią część Rumunii (Bukowinę); od Winnicy przez rumuńskie Czerniowce do słowackiego Mukaczewa (nie zapominajmy, że Czechosłowacja była wtedy znacznie „dłuższa” ze względu na terytorium, które po II wojnie światowej stało się obwodem zakarpackim ZSRR). Perspektywy uzyskania zgody Rumunii na przejście wojsk radzieckich przez jej terytorium² były dość realne, o czym świadczy rzeczywista zgoda Rumunii udzielona w czerwcu 1940 roku – i nie na czasowy przemarsz wojsk, a na bezwrotne przekazanie Związkowi Radzieckiemu terenów Besarabii i Bukowiny Północnej.

Po tym, jak „układ monachijski” przekreślił nadzieje Stalina na wielką europejską wojnę, ten nie odważył się rozpocząć własnej wojny z Polską i ładna mapa ze strzałkami wylądowała na odległej półce w sejfie Sztabu Generalnego. Ale widzicie, jak pięknie zostało to pomyślane! „Niezwyciężona Armia Czerwona śpieszy z pomocą ofierze agresji faszystowskiej, zmiatając po drodze biało-czerwone bandy...” Przy takim scenariuszu można się było nie ograniczać do półśrodków (w rodzaju „zachodniej Białorusi” i „zachodniej Ukrainy”), a przyłączyć do rodziny od razu Polską Republikę Radziecką. Pomysł jednak nie wypalił.

Mimo to nie nazwałbym jesieni 1938 roku „klęską Stalina”, a oto dlaczego. Niemcy w tym czasie były jeszcze zbyt słabe, nowo powstały Wehrmacht stawiał pierwsze niepewne kroki. Wojna przeciwko koalicji Anglii, Francji i Czech mogła zbyt szybko się zakończyć, a takie rozwiązanie zdecydowanie zaszkodziłoby Wielkiemu Planowi. Przez rok, do września 1939 roku, sytuacja znacznie się zmieniła. Hitler dojrzał, nabrał doświadczenia i arogancji, znacznie wzmocnił (i pod względem ilości, i pod względem jakości) swoje siły zbrojne, co było w dużej mierze skutkiem okupowania od 15 marca 1939 roku Czech wraz z zakładami koncernu Škoda, produkującego góry nowoczesnego uzbrojenia. I oczywiście pakt z ZSRR, czyli

możliwość nieskrępowanych działań na wschodzie, gospodarcze i polityczne poparcie wielkiego mocarstwa, zapewnił nazistom „drugi oddech”.

Wojna, która wybuchła 1 września, w pełni spełniała oczekiwania Stalina: krew lała się strumieniami, wysiłek wielu wieków pracy legł w gruzach, gotyckie katedry w Londynie i Coventry, Warszawie i Rotterdamie zamieniły się w stosy pokruszonych cegieł. I Stalin poprowadził kolumny swoich czołgów po zgliszczach Europy. Co prawda kosztem utraty życia przez 17 czy 27 milionów obywateli radzieckich.

1. Chodzi o konflikt wokół skrawka terytorium (około 30 na 70 kilometrów w międzyrzeczu Olzy i Ostrawicy na styku granic współczesnej Polski, Czech i Słowacji), tzw. Śląska Cieszyńskiego. W 1920 roku decyzją Naczelnej Rady Wojskowej ententy Śląsk Cieszyński został podzielony mniej więcej w połowie, wzdłuż rzeki Olzy, między Polską i Czechosłowacją. Korzystając z kryzysu sudeckiego, Polska zajęła czeską część Ziemi Cieszyńskiej, która stanowiła mniej niż 1,5% terytorium Czechosłowacji w granicach z 1938 roku. [\[wróć\]](#)
2. Czeski historyk I. Pfaff w wydanej w Pradze w 1993 roku książce *Sovětská zrada* twierdzi, że we wrześniu 1938 roku podczas nieoficjalnych spotkań ministrów spraw zagranicznych ZSRR i Rumunii (Litwinowa i Comnena) umówiono się co do zasad przejścia wojsk radzieckich na Słowację przez terytorium Rumunii i wyznaczenia korytarza powietrznego do przelotu lotnictwa; biorąc pod uwagę, że rosyjskie archiwa pozostają wciąż zamknięte, nie można ani potwierdzić tych informacji dzięki radzieckim dokumentom, ani im zaprzeczyć. [\[wróć\]](#)

GRY WIOSNY 1941 ROKU

Gry operacyjne i podróże polowe były najważniejszym elementem szkolenia bojowego dowódców i sztabów Armii Czerwonej. Odtajnione na początku XXI wieku dokumenty „gier” dostarczają bogatego materiału do rozmyślań nad tym, jak najwyżsi dowódcy ZSRR wyobrażali sobie przyszłą wojnę z Niemcami, czego oczekiwali od swoich żołnierzy i oddziałów nieprzyjaciela.

Nawet najbardziej pobieżne przejrzanie obecnie dostępnych zasobów archiwalnych pokazuje, że praca w sztabach Armii Czerwonej szła pełną parą; przeprowadzono imponującą liczbę gier wojennych w skali armii i frontów. Tylko w ostatnich sześciu miesiącach przed faktycznym wybuchem wojny odbyły się następujące gry (nazwy podano na podstawie odpowiednich dokumentów):

- gra operacyjna na mapach w Bałtyckim Specjalnym Okręgu Wojskowym (luty);
- dwustronna okręgowa gra operacyjna w Odeskim Okręgu Wojskowym (luty);
- podróż polowa sztabów Leningradzkiego, Uralskiego i Orłowskiego OW (marzec);
- podróż polowa w Archangielskim OW (marzec);
- operacyjna gra wojenna w Moskiewskim OW (marzec);
- operacyjna gra dwustronna w Charkowskim OW (maj);
- frontowa gra operacyjna w Zachodnim SOW (marzec);
- frontowa podróż polowa w Bałtyckim SOW (kwiecień);
- sztabowa gra operacyjno-strategiczna w Archangielskim OW (kwiecień);
- dowódcza gra operacyjna w Moskiewskim OW (maj);
- frontowa gra operacyjna w Kijowskim SOW (maj);

- wspólne ćwiczenia sztabowe Zakaukaskiego OW i Kaspijskiej Flotylli Wojskowej (maj);
- frontowa podróż polowa w Bałtyckim SOW (czerwiec).

(CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 153, 154, 155, 161, 162, 396, 403, 408, 541; f. 48, op. 3408, dz. 17; f. 140, op. 13000, dz. 1, 11).

To nie jest pełna lista; tyle udało się zauważyć przy pobieżnym przejrzaniu dokumentów; nie uwzględniono Dalekowschodniego Teatru Działań Wojennych, nie wspomniano o grach armijnych i tzw. „naradach wojennych”. Rzecz jasna, gry nie ograniczyły się do poziomu okręgów wojskowych, regularnie odbywały się gry strategiczne z udziałem najwyższego dowództwa Armii Czerwonej, podczas których układano i uzgadniano ogólne plany użycia Sił Zbrojnych ZSRR. Co do 1941 roku wiadomo o jeszcze dwóch grach strategicznych przeprowadzonych w styczniu (zostały szczegółowo opisane przez P. Bobyłowa w artykule *Riepieticyja katastrofy*, „WIZ”, nr 7–8, 1993 r.) oraz tajemnicza gra majowa (patrz: M. Sołonin, *Niezwiestnaja igra maja 41-go*, „WPK”, nr 7 (424), 22 lutego 2012 r.).

Dinozaury

Jeżeli paleobiolodzy odtwarzają wygląd dinozaura na podstawie kilku fragmentów kości, to dla historyka wojskowości rekonstrukcja Wielkiego Planu na podstawie dokumentów okręgowych (frontowych) planów operacyjnych nie stanowi problemu. Na przykład nie trzeba długo się zastanawiać, dlaczego w dniach od 2 do 20 marca 1941 r. odbyła się wspólna podróż polowa sztabów Leningradzkiego, Uralskiego i Orłowskiego Okręgu Wojskowego. Choć na mapie te okręgi dzielą setki kilometrów, w ramach planu wojny z Finlandią ¹ miały wspólnie „wtargnąć do środkowej Finlandii, rozgromić główne siły fińskiej armii oraz zająć centralną część Finlandii”. W celu rozgromienia i zajęcia planowano rozwinąć cztery armie: 7. i 23. ze składu Leningradzkiego Okręgu Wojskowego, 20. Armie w oparciu o oddziały Orłowskiego Okręgu oraz 22. Armie w oparciu o oddziały Uralskiego Okręgu.

Właśnie te zadania – co najmniej sprzeczne z duchem i literą radzieckiego traktatu pokojowego z 12 marca 1940 roku – zostały opracowane podczas podróży polowej, o czym otwarcie mówiło się w dyrektywie ludowego komisarza obrony nr OP/503596 z 28 marca: „Podczas podróży polowej opracowano FRONTOWĄ OPERACJĘ OFENSYWNĄ [właśnie wielkimi literami zapisano to w oryginale dokumentu – M.S.] w trudnych warunkach zimowych. (...) Głównym celem podróży polowej było sprawdzenie przygotowania zarządów frontów i armii do zorganizowania i przeprowadzenia w zimie nowoczesnej operacji w obszarze Karelsko-Fińskiego Teatru” (CAMO, f. 140, op. 1300, dz. 1, l. 11).

Warto zwrócić uwagę na stopień tajności, z jakim przeprowadzono podróż polową – nawet zabezpieczony sejf w sztabie Leningradzkiego OW wydawał się niewystarczająco bezpiecznym miejscem do przechowywania takich dokumentów; 3 kwietnia szef Sztabu Generalnego Armii Czerwonej (tj. towarzysz Żukow) polecił szefowi sztabu Leningradzkiego OW „do 10 kwietnia przekazać do Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego protokół zniszczenia zadań i wypełnionych map dotyczących podróży polowej w Leningradzkim OW [przeprowadzonej] w marcu 1941 r. Wszystkie niezniszczone zadania i przygotowane do nich mapy zwrócić do Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego” (CAMO, f. 46, op. 3408, dz. 18, l. 247).

Szczególnie interesujące są gry operacyjne, które przeprowadziło dowództwo Kijowskiego SOW (przyszłego Frontu Południowo-Zachodniego); właśnie ten front w ramach Wielkiego Planu miał zadać główny cios w kierunku Lwów–Kraków, właśnie tam miało się skoncentrować najpotężniejsze zgrupowanie wojskowe Armii Czerwonej (między innymi przewyższające pod względem dywizji pancernych i czołgów „nowych typów” trzy inne okręgi/fronty razem wzięte). Niestety, ktoś przewidział, że te dokumenty mogą budzić zainteresowanie, i wśród odtajnionych obecnie materiałów archiwalnych nie ma zadań do gier operacyjnych w Kijowskim SOW ani materiałów z przebiegu chociażby jednej takiej gry. Cały dostępny obecnie „masyw informacji” sprowadza się jedynie do kilku fragmentarycznych wzmianek o samym fakcie przeprowadzenia w maju 1941 roku gry frontowej w okręgu.

26 kwietnia 1941 roku szef wydziału operacyjnego sztabu Kijowskiego SOW pułkownik (przyszły marszałek) Bagramian meldował szefowi Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego: „Przedkładam zadania do gier

dowódczo-sztabowych z łącznością 5. i 6. Armii oraz frontową grę operacyjną. Załączniki: zadania na 115 stronach, (...) plan realizacji frontowej gry operacyjnej na 7 stronach, (...) mapę sytuacyjną na godz. 18.00 12 maja, (...) mapę sytuacyjną ogólną na godz. 12.00 6 maja”. 30 kwietnia 1941 roku zastępca szefa Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego generał major Anisow nadał do szefa sztabu Sił Powietrznych Armii Czerwonej następujący telegram: „W dniach 12–18 maja 1941 r. odbędą się dowódczo-sztabowe ćwiczenia sztabów 5. i 6. Armii Kijowskiego SOW. Wskazane jest zaangażowanie do tych ćwiczeń sztabu 2. Korpusu Lotnictwa w licznie 7 osób. Proszę o wytyczne” (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 41, ll. 25, 38).

4 maja 1941 roku zastępca szefa Sztabu Generalnego generał lejtnant Watutin przesyła telegram zwrotny nr OP/1409 do sztabu Kijowskiego Okręgu: „Należy wprowadzić zmiany do zadania i planu frontowej gry operacyjnej. 1) Nie wskazywać «pomarańczowych» jako neutralnych, a umieścić ich już w pierwszym etapie gry po stronie «zachodnich». 2) Podać rzeczywistą organizację i siły «pomarańczowych» oraz wzmocnić je jednym korpusem armijnym i dywizją pancerną «zachodnich». 3) Nie tworzyć na ostatnim etapie Frontu Południowego, ale pozostawić 16. Armię w składzie Frontu Południowo-Zachodniego. Przypominam o zachowaniu wszelkich środków do utrzymania tajności gry” (CAMO, f. 48, op. 3408, dz. 19, l. 90).

Nietrudno zgadnąć, kim są „zachodni”, a „pomarańczowi”, których „zachodni” zasilają własnymi oddziałami, to prawdopodobnie armie rumuńskie i węgierskie. To wszystko, co wiemy. Można tylko przypuszczać, ze względu na chronologię wydarzeń (w Kijowskim SOW grę przeprowadzono od 12 do 18 maja, a strategiczna „gra majowa” odbyła się po 20 maja 1941 roku) i szczególną uwagę poświęconą działaniom prawoskrzydłowych 5. i 6. Armii, że podczas gry operacyjnej w Kijowie przeciwczono główny komponent przyszłych działań frontu – ofensywę na Lublin i Kraków.

W pasie aktywnej obrony

W ramach ogólnego planu strategicznego wojny oddziały Bałtyckiego SOW (Frontu Północno-Zachodniego) miały prowadzić działania obronne (w niektórych wariantach Wielkiego Planu uzupełnione oddzielną operacją ofensywną w celu „przycięcia” przyczółku suwalskiego). Akurat tak się złożyło, że historycy mają dostęp do sporej liczby dokumentów dotyczących właśnie ćwiczeń dowódczo-sztabowych w Bałtyckim SOW.

W lutym 1941 r. w Bałtyckim SOW przeprowadzono okręgową grę operacyjną na temat: „Operacja obronna frontu z następnym przejściem do ofensywy w celu zniszczenia nieprzyjaciela”. Zatwierdzone 12 lutego zadanie nakazywało rozegranie następującej sytuacji:

«Zachodni», wyprzedzając «wschodnich» w rozwijaniu, 5.06.41 rozpoczynają wojnę. Główne uderzenie kierują na południe, przeciwko Frontowi Ukraińskiemu [tak jest w tekście – M.S], jednocześnie koncentrując duże siły w Prusach Wschodnich, skąd rozwijają uderzenie na kierunkach szawelskim i kowieńskim. Na Froncie Północno-Zachodnim odnotowano obecność co najmniej 30 dywizji piechoty wraz z czołgami i dużym lotnictwem. (...) Na południu oddziały Frontu Zachodniego «wschodnich» kontynuują zgrupowanie w celu natarcia w kierunku zachodnim, skutecznie odpierając próby przekroczenia granicy przez siły «zachodnich». Granica z frontem zachodnim: Połock, Oszmiana, Druskienniki, Suwałki, Giżycko (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 20, l. 1).

Tak więc to, co w rzeczywistości się wydarzyło w czerwcu 1941 roku, zostało wcześniej założone w warunkach „gry”. Przynajmniej tak właśnie o godz. 10 rano 22 czerwca opisano sytuację w raporcie nr 1 Sztabu Generalnego Armii Czerwonej: „Nieprzyjaciel, uprzedzając nasze oddziały w rozwijaniu, zmusił jednostki Armii Czerwonej do podjęcia walki w procesie zajmowania pozycji wyjściowych zgodnie z planem osłonowym” (CAMO, f. 16, op. 1071, dz. 1, l. 5). Kolejną cechą wspólną zadania w grze i rzeczywistych wydarzeń z czerwca 1941 roku jest znaczne rozproszenie oddziałów Frontu Północno-Zachodniego „wschodnich”; w składzie dwóch armii pierwszego rzutu jest nie więcej niż połowa wszystkich formacji

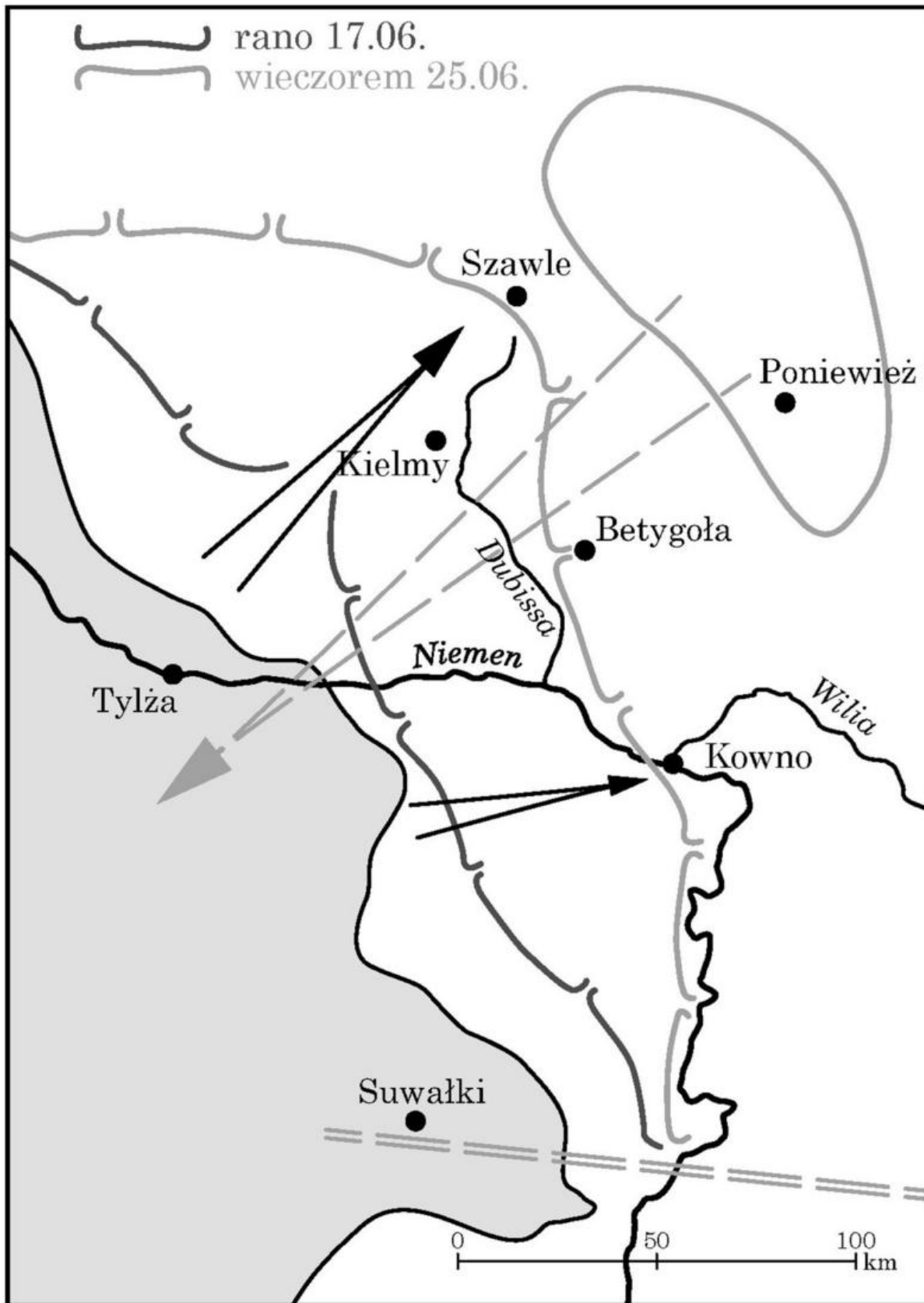
frontu (15 z 33 dywizji strzeleckich, 4 z 7 brygad pancernych, 6 z 11 samodzielnych pułków artylerii).

W zasadzie na tym kończą się podobieństwa gry do nikomu wówczas nieznanej przyszłości. Dalej zaczynają się poważne różnice. Przede wszystkim autorzy zadania gry radykalnie się pomylili, wskazując kierunek głównego uderzenia nieprzyjaciela: tam (na kierunku białoruskim), gdzie w rzeczywistości Niemcy w czerwcu 1941 roku skoncentrowali główne siły, zgodnie z warunkami gry „zachodni” odliczają czas, bezskutecznie próbując przekroczyć granicę. Jednocześnie oddziały Frontu Zachodniego „wschodnich” bez pośpiechu „kończą ześrodkowanie i przygotowują się do ofensywy pod koniec czerwca”.

Co ciekawe, ten błąd dokładnie pokrywa się z dezinformacją, którą służby niemieckie na wszystkie możliwe sposoby podsuwały wywiadowi radzieckiemu: niemieckie dowództwo rzekomo planuje otoczyć oddziały Armii Czerwonej, kierując główne uderzenie na północne i południowe skrzydła przez kraje bałtyckie i Besarabię.

W przeciwieństwie do tego, co się wydarzy w rzeczywistości, oddziały „zachodnich” zostały równie precyzyjnie rozmieszczone, a prawie połowa wszystkich sił znalazła się w drugim rzucie (18 z 39 dywizji piechoty, 4 z 5 dywizji pancernych, 2 z 2 dywizji lekkich, 9 z 22 pułków artylerii). Jednostki szybkie (dywizje pancerne i lekkie) w większości zostały wycofane do drugiego rzutu i cierpliwie czekają, aż piechota i artyleria pierwszego rzutu zrobią wystarczająco „szeroki” wyłom w obronie „wschodnich” (co, nawiasem mówiąc, pokryło się z teoretycznymi przypuszczeniami najwyższego dowództwa Armii Czerwonej, które uznało, że należy rzucić korpusy zmechanizowane do wyłomu uzyskanego wskutek działań dywizji strzeleckich pierwszego rzutu).

A jednak najbardziej niewiarygodna – niewiarygodna z punktu widzenia naszej dzisiejszej wiedzy na temat początkowego okresu wojny – jest chronologia wydarzeń gry operacyjnej. Umowna „wojna” wybucha 5 czerwca, po czym „zachodni” potrzebują tylko dwunastu dni (!), żeby dotrzeć do głównego pasa obronnego „wschodnich”, znajdującego się 30–40 kilometrów od granicy (patrz rys. 1). Co więcej, tego etapu „działań bojowych” podczas gry w ogóle nie ćwiczyło i jedynie wspomniano o nim w zadaniu.



Rys. 1

Działania wojenne prowadzone podczas ćwiczeń rozpoczynają się umownie 17 czerwca. „Zachodni”, koncentrując na sześćdziesięciokilometrowym odcinku (od Konstantynowa do Taurogów) 12 dywizji piechoty przeciwko 3 dywizjom strzeleckim „wschodnich”, pod koniec dnia 18 czerwca przełamują front. Przez powstały wyłom płynie lawina pancerna o niewyobrażalnej liczebności – ponad 4 tysiące (!) czołgów (w rzeczywistości walcząca na kierunku szawelskim 4. Grupa Pancerna Wehrmachtu miała około 650 czołgów i dział samobieżnych). Między 18 a 25 czerwca „wschodni”, prowadząc zaciekle walki, wycofują się do Szawli. Na południu, na kierunku kowieńskim, gdzie nieprzyjaciel miał „tylko” 10 dywizji piechoty i 725 czołgów, „wschodni” wycofują się i umacniają na lewym (zachodnim) brzegu Niemna.

W drugim etapie gry (umownie od 25 czerwca do 3 lipca) ofensywa „zachodnich” zostaje zatrzymana na całej szerokości, front o długości 420 kilometrów się stabilizuje; co więcej, po otrzymaniu znacznych posiłków (5 dywizji strzeleckich) umowna 1. Armia „wschodnich” (tę rolę odgrywał sztab rzeczywistej 8. Armii Bałtyckiego SOW) przeprowadziła kontruderzenie i odrzuciła nieprzyjaciela od Szawli. Tymczasem na tyłach operacyjnych „wschodnich”, w pasie Poniewież–Jełgawa, ześrodkowują się świeże siły Armii Czerwonej, przerzucone z głębi kraju. Jednocześnie dowództwo „wschodnich”, wykazując niebywałe opanowanie, nie rzuca nadciągających oddziałów prosto na front, żeby w ten sposób gorączkowo „łatać dziury” (właśnie tak w rzeczywistości postępowało radzieckie dowództwo przez całe lato 1941 roku). Jedynie z 6 dywizji strzeleckich drugiego rzutu frontu wycofuje dywizjony artylerii przeciwpancernej (po 18 armat przeciwpancernych w każdym); z nich powstaje szybka grupa bojowa, która zatrzyma natarcie niemieckich czołgów na Szawle.

Rankiem umownego 3 lipca ześrodkowanie grupy uderzeniowej „wschodnich” jest zakończone. Wzajemny stosunek sił obu stron w tym momencie jest następujący: „wschodni” – 43 dywizje strzeleckie, 4 dywizje pancerne i 2 dywizje zmotoryzowane, 11 brygad pancernych i 5 zmotoryzowanych; „zachodni” – 39 dywizji piechoty, 5 dywizji pancernych i 2 lekkie dywizje. Jeżeli chodzi o wyposażenie: „wschodni” mieli 6614 czołgów i 4358 dział, „zachodni” – 6525 czołgów (niepojęte – skąd się wzięły czołgi

w takich ilościach?) i 3624 działa (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 15, l. 23). Jak widać, siły stron są porównywalne, choć co prawda połowa jednostek „wschodnich” to świeże wojska, które nie poniosły strat we wcześniejszych walkach.

Miażdżące uderzenie „wschodnich” zmusza „zachodnich” do pośpiesznego odwrotu. W ciągu trzech dni (3–5 lipca) „wschodni” pokonują 100 kilometrów z Szawli do granicy. Kowieńskie zgrupowanie „zachodnich”, które znalazło się w półokrążeniu w zakolu Niemna, porzuca ciężki sprzęt i w trakcie walk wycofuje się do Prus Wschodnich. Kurtyna.

Na wnikliwą uwagę zasługują również działania lotnictwa obu stron. W zadaniu gry czytamy:

Siły powietrzne „zachodnich” od 5.06. wykonują naloty po 20–30 samolotów na lotniska „wschodnich”, znajdujące się na południowy zachód od linii Jełgawa–Poniewież–Święciany, na węzły kolejowe, stacje rozładunkowe i mosty kolejowe, na oddziały „wschodnich” w rejonie Jełgawa–Poniewież–Szawle, utrudniając im ześrodkowanie. W operacji bierze udział 1100–1200 samolotów, z czego 50% to myśliwce. Siły powietrzne „wschodnich” od 5.06., osłaniając ześrodkowanie swoich wojsk, toczą walki z lotnictwem nieprzyjaciela w powietrzu i na ziemi, szczególnie zacięte walki toczą się na kierunku szawelskim, gdzie w walkach powietrznych uczestniczy jednocześnie 150–200 samolotów; walczą z transportem operacyjnym nieprzyjaciela, atakując węzły kolejowe, stacje rozładunkowe i autostrady, operują nad skupiskami oddziałów nieprzyjaciela w rejonie Tylży, Wystruci, Gołdapi, Gąbina i portami Kłajpeda, Karkiele, Labiawa i Piława (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 20, l. 3).

Żeby zdążyć jednocześnie rozwiązać tak szeroki wachlarz zadania, lotnictwo bojowe „wschodnich” działa z niewyobrażalnym (w porównaniu z realiami wojny w powietrzu w latach 1941–1945) natężeniem; w okresie umownego 14–18 czerwca lotnictwo „wschodnich” wykonuje dziennie po 6 (!) wylotów całymi pułkami myśliwców, od 2 do 4 wylotów całymi pułkami bombowców i samolotów szturmowych.

Jednak najbardziej zaskakujące są straty poniesione przez lotnictwo „wschodnich” przy tak intensywnym użyciu bojowym (a ponadto po licznych nalotach 20–30 nieprzyjacielskich samolotów na lotnisko!). Już 18 czerwca 6. Mieszanej Dywizji Lotniczej brakuje (co ściśle rzecz ujmując, nie jest równoznaczne ze słowem „straciła” – pewien niedobór samolotów dywizja mogła odczuwać już przed rozpoczęciem „działań bojowych”) 68 samolotów, w stanie gotowości bojowej są 254 samoloty; 2. Mieszana Dywizja Lotnicza – brakuje 65 samolotów, gotowe do walki również 254 samoloty; 1. MDL – brak 51, zdolnych do walki 268. Są to największe straty. Inne dywizje lotnicze straciły od 17 do 45 samolotów; łączne braki (straty) lotnictwa „wschodnich” do umownego 18 czerwca wyniosły 322 samoloty albo 17% liczebności pozostałych w szeregach samolotów (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 20, l. 11).

Między 22 a 27 czerwca 3 kolejne dywizje dołączyły do sił powietrznych „wschodnich” (łącznie 420 myśliwców i 473 bombowce), co, jak widzimy, z nawiązką rekompensuje straty; na początku lipcowej ofensywy „wschodni” dysponowali już 2833 samolotami. Lotnictwo „zachodnich” do tego czasu nieco osłabło, miało do dyspozycji „tylko” 2393 samoloty. Pozostaje tylko przypomnieć, że w rzeczywistości 22 czerwca 1941 roku w składzie 1. Floty Powietrznej Luftwaffe znajdowały się 434 samoloty z niesprawnymi włącznie. Pięć razy mniej.

W porównaniu z tym, co się rzeczywiście wydarzyło w czerwcu 1941 roku, wydarzenia „gry czerwcowej” wyglądają jak słodka bajka. Jednak zupełnie inaczej zapatrywało się na nie najwyższe dowództwo Armii Czerwonej – dokumenty zawierają długą listę stwierdzonych niedociągnięć, braków i błędów w działaniach sztabów i umownych „wojsk”. Z tego albo jakiegoś innego powodu trwająca w Bałtyckim SOW od 15 do 21 kwietnia 1941 roku frontowa podróż połowa miała na celu przeciwiczenie tego samego zadania: „Operacja obronna frontu i armii podczas natarcia dużych sił nieprzyjaciela przy niezakończonym ześrodkowaniu wojsk; przeprowadzenie kontrofensywy z forsowaniem przeszkody rzecznej” (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 15, l. 51). Geografia umownych „działań bojowych”, kierunki uderzeń i rubieże obronne stron prawie całkowicie pokrywały się z lutową grą na mapach.

Pewne różnice – pozwalające bardziej zbliżyć warunki ćwiczeń do realiów – można zaobserwować jedynie w parametrach ilościowych. Po

pierwsze, tym razem ofensywa „zachodnich” rozwija się dużo szybciej: rozpoczynając operację rankiem 17 kwietnia (gra i czas rzeczywistej podróży polowej się zbiegły), pod koniec 22 kwietnia (w ciągu sześciu dni) sforsowali Dubisę i zajęli Preny na lewym (zachodnim) brzegu Niemna; tempo ofensywy „zachodnich” wyniosło około 15–20 kilometrów dziennie. Po drugie, liczba dywizji strzeleckich (11) w dwóch armiach pierwszego rzutu „wschodnich” dokładnie odzwierciedlała skład rzeczywistych 8. i 11. Armii Bałtyckiego SOW i dokładnie tak jak w rzeczywistym czerwcu 1941 roku bezpośrednio w pasie nadgranicznym znajdowało się tylko 8 dywizji strzeleckich. Skład zgrupowania „zachodnich” również był bliższy rzeczywistości (choć nadal był przeszacowany o półtora albo dwa razy): 30 dywizji piechoty, 6 dywizji pancernych i 2 dywizje zmotoryzowane (w rzeczywistości 22 czerwca 1941 roku w niemieckiej Grupie Armii „Północ” było 20 dywizji piechoty, 3 dywizje pancerne i 3 dywizje zmotoryzowane).

Co ciekawe, tym razem lotnictwo „wschodnich” oszczędniej zużywa paliwo i motogodziny – w ciągu pięciu dni umownych „działań bojowych” wykonano po 12 lotów myśliwców i 8 lotów bombowców w przeliczeniu na jeden sprawny samolot, przy czym nawet ten poziom natężenia został określony przez inspektorów ze Sztabu Generalnego jako „nieco zawyżone normy lotów” (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 15, l. 64). Generalnie wszystko zakończyło się sukcesem, nieprzyjaciel musiał stawić czoło należącemu się mu kontruderzeniu z linii Kielmy–Betygoła na południe, do Niemna (co prawda, forsowania rzeki, początkowo przewidzianego w zadaniu, podczas podróży polowej nie ćwiczono). Inspektorzy odnotowali zwiększoną – w porównaniu z lutową grą – koordynację pracy sztabów i sporządzili kolejną długą listę uwag.

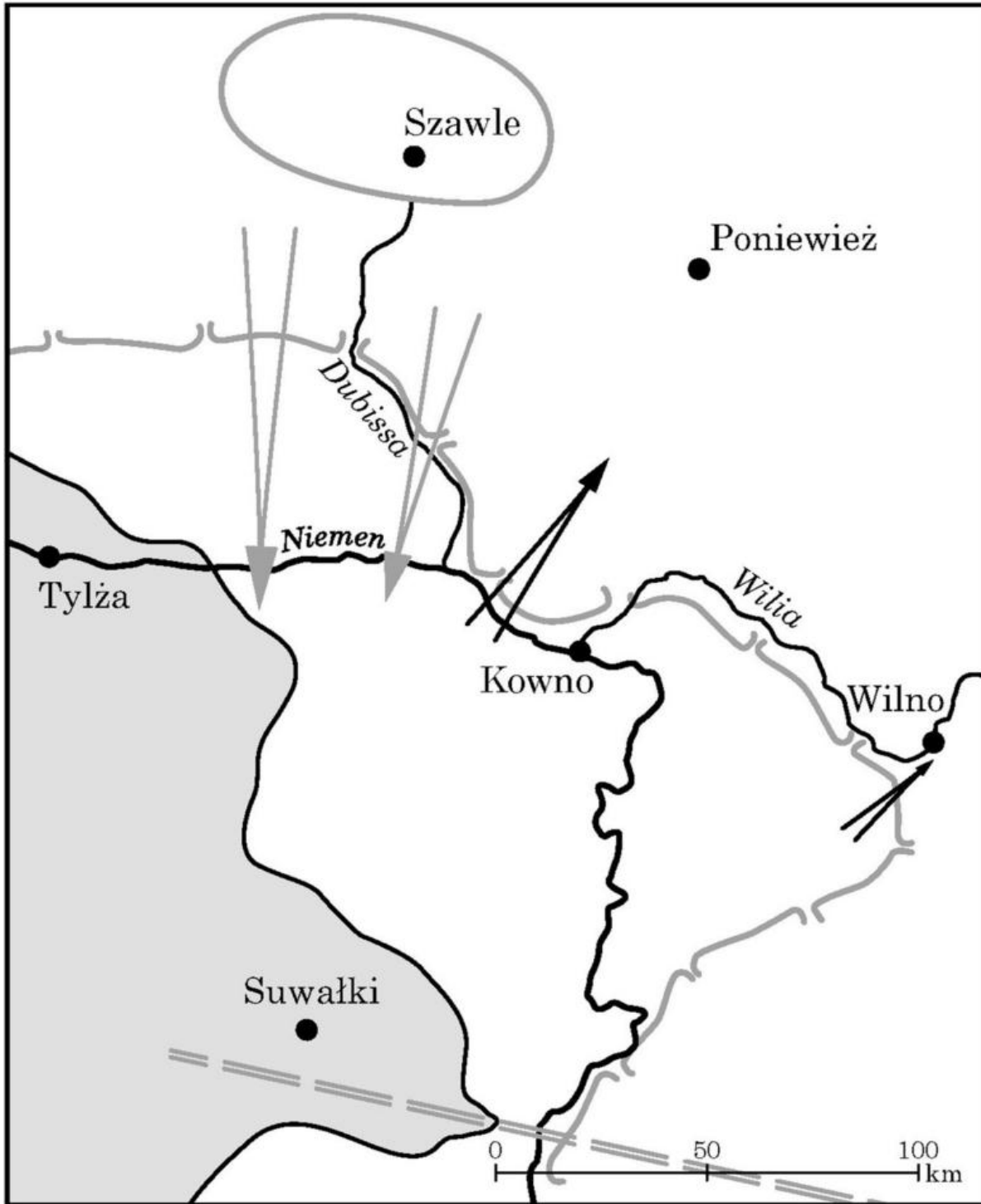
Nie próżnował też 3. Zarząd Ludowego Komisariatu Obrony (kontrwywiad wojskowy). 16 maja 1941 roku zastępca szefa 3. Zarządu kapitan bezpieczeństwa państwowego Moskalenko skierował do Watutina notatkę „O niedociągnięciach w operacyjnej podróży polowej Bałtyckiego SOW”. Wskazując na szereg błędów przy zachowywaniu poufności, tajności dowodzenia oddziałami i ochronie sztabów, zwrócił uwagę na rzecz najważniejszą: „Zadanie operacyjne zostało ułożone według schematu. Ten sam temat do przepracowania podczas podróży armijnych (operacja obronna ograniczonymi siłami i środkami z późniejszym przejściem do kontrofensywy), i za każdym razem umożliwiano nieprzyjacielowi przełamanie naszej

obrony dużymi siłami, a następnie te duże siły się zatrzymywały i czekały na nasze kontruderzenie” (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 15, l. 82).

Kolejna podróż polowa odbyła się w Bałtyckim SOW w przededniu wojny, od 3 do 8 czerwca. Raport z jej przebiegu „szef grupy dowódców Sztabu Generalnego Armii Czerwonej” pułkownik Jenukow podpisał w poniedziałek 16 czerwca. Zadanie jak poprzednio: „Organizacja i przeprowadzenie kontrofensywy podczas frontowej operacji obronnej wraz z forsowaniem przeszkody rzecznej”. Zmieniono ideę operacji oraz kierunki uderzeń stron:

Front Północno-Wschodni „zachodnich” złożony z 4., 13. i 7. Armii (10 korpusów armijnych i 2 korpusy zmechanizowane) pod koniec maja przekroczył granicę państwa i rozwija ofensywę na kierunku kowieńskim po obu brzegach Niemna. Front Północno-Zachodni „wschodnich” (9. Armia i 5. Armia, 13 dywizji strzeleckich) wycofuje się pod naporem przeważających sił nieprzyjaciela, tworząc jednocześnie grupę uderzeniową (16. Armia złożona z 6 dywizji strzeleckich i 2 korpusów zmechanizowanych) w rejonie Szawli w celu uderzenia na skrzydła i tyły „zachodnich”, kierujących się na Kowno (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 15, l. 93).

W pierwszych dniach umownej wojny sytuacja „wschodnich” jest fatalna. Do godz. 14.00 3 czerwca „zachodni” przesunęli się o 150 kilometrów na wschód od granicy, sforsowali Dubisę i Niemen na szerokim froncie od Średnik do Druskiennik, dotarli do zachodnich przedmieść Wilna i starając się utrwalić zwycięstwo, kierują uderzenie oddziałów pancernych przez Kejdany na Poniewież (patrz rys. 2).



Rys. 2

Jednak również tym razem działania bojowe najtrudniejszych pierwszych dni „wojny” nie zostały przećwiczone, tylko wspomina się o nich

w zadaniu podróży polowej. Gra rozpoczyna się 3 czerwca. „Wschodni”, w których składzie po raz pierwszy pojawiają się brygady artylerii przeciwpancernej, kierują je w okolice Kejdan oraz Janowa i podczas zaciętych walk 4 i 5 czerwca zatrzymują natarcie „zachodnich” na Poniewież. Jednocześnie w rejonie Kroże–Cytowiany (czyli na obu brzegach Dubissy) „wschodni” ześrodkowują grupę uderzeniową w postaci 2 korpusów zmechanizowanych (w rzeczywistości mogły to być 12. i 13. Korpusy Zmechanizowane Bałtyckiego SOW) i zadają miażdżący cios na skrzydło zgrupowania nieprzyjaciela.

Pod koniec 5 czerwca czołgi „wschodnich” zbliżają się do Niemna w pasie Jurbork–Średniki. Dwa dni później do Niemna dociera piechota (6 dywizji strzeleckich) i z powodzeniem go forsuje, wychodząc na głębokie tyły przedzierającego się do Wilna zgrupowania „zachodnich”. Na tym „gra” została zakończona. W sprawozdaniu chełpliwie stwierdzono: „Podczas tej podróży polowej przećwiczone jeden z wariantów działań jednostek Bałtyckiego SOW w sytuacji, gdy «zachodni» kierują główne uderzenie na Kowno przy szacunkowo dwukrotnej przewadze sił [tak podano w dokumencie; mowa o dwukrotnej przewadze liczebnej «zachodnich» – M.S.]. Opracowano zagadnienia dotyczące zastosowania artylerii przeciwpancernej”.

Podsumowując krótki przegląd ostatniej podróży polowej dowództwa Bałtyckiego SOW, należy zauważyć, że rozgrywana wówczas operacja niemal dokładnie pokrywa się z sytuacją na Froncie Północno-Zachodnim podczas strategicznej „gry majowej”. Różnica polegała tylko na tym, że w maju „zachodni”, przedzierając się przez Niemen na Wilno, doczekali się trzech uderzeń z trzech kierunków: 12. Korpus Zmechanizowany nacierał od Szawli na południe, 11. Korpus Zmechanizowany Frontu Zachodniego atakował od Lidy na północny zachód, w prawe skrzydło nieprzyjaciela, a 3. Korpus Zmechanizowany Frontu Północno-Zachodniego, przezornie wycofany wcześniej do Święcian, uderzał „czołowo”, na Wilno. Można przypuszczać, że takie rozproszenie sił uznano za błędne i w operacji rozgrywanej podczas czerwcowej podróży polowej 2 korpusy zmechanizowane Bałtyckiego SOW zostały połączone w jedną uderzeniową pięść.

W kierunku warszawskim

Wyrysowany dalekowzrocznie we wrześniu 1939 roku (przy podpisaniu radziecko-niemieckiego traktatu o przyjaźni i granicach) Występ Białostocki na 120 kilometrów wcinął się w teren okupowanej przez Niemców Polski. Taki zarys granicy otwierał przed Armią Czerwoną szeroki wachlarz możliwości.

Nie oddawszy ani jednego strzału, oddziały radzieckie znalazły się na głębokich tyłach suwalskiego i/albo lubelskiego zgrupowania sił nieprzyjaciela. Na pierwszy rzut oka, szczególnie przy skrajnie uproszczonym schemacie mapy, obiecująco wyglądało uderzenie na północny zachód, z „ostrza” Występu Białostockiego na Olsztyn – na drodze nacierających nie ma ani jednej większej rzeki, a od granicy do wybrzeża Bałtyku jest niecałe 200 kilometrów; jednym uderzeniem można było odciąć od Niemiec i otoczyć całe zgrupowanie Wehrmachtu w Prusach Wschodnich.

Wszystko się zmienia, gdy spojrzymy na wojskową mapę topograficzną – w oczach zaczyna się mienić od niezliczonych niebieskich plamek... Okolice Suwałk i Mazury to kraina gęstych iglastych lasów oraz niezliczonych, dużych i małych jezior i rzek. Idealne miejsce do uprawiania turystyki pieszej i wodnej, ale walczyć tam jest niezwykle trudno. W takim terenie Armia Czerwona nieuchronnie traciła główny atut – olbrzymie sfory szybkich lekkich czołgów; grzęznące w wąskich przejściach między jeziorami, na bagnistych brzegach leśnych strumyków czołgi radzieckie stawały się statycznym celem dla dział niemieckiej obrony przeciwpancernej.

Poważny problem dla nacierających stanowi nie tylko geografia, ale też historia regionu, który przez wiele stuleci była areną militarnej rywalizacji pomiędzy Rzeczpospolitą i niemieckimi zakonami rycerskimi. Przez setki lat zbudowano tam niezliczone fortyfikacje (największa w Europie średnio-wieczna twierdza znajduje się właśnie tam, w Malborku, niemieckim Marienburgu). Po rozbiórce Polski właśnie przez te tereny przebiegała linia granicy między Imperium Rosyjskim i Cesarstwem Niemieckim i dysponując nowymi siłami i możliwościami technicznymi, zaczęto tam wznosić warownie i bunkry. Ostatecznie południowy pas Prus Wschodnich stał się potężnym, prawie niemożliwym do pokonania obszarem obronnym.

A jednak pokusa prostego rozwiązania (jednym uderzeniem okrążyć Prusę Wschodnią) okazała się tak wielka, że ofensywa na Olsztyn i dalej do morza była wielokrotnie rozważana: w sierpniowym i wrześniowym (1940 rok) wariantach planu rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej, podczas gry operacyjnej w Zachodnim SOW (wrzesień 1940 roku) oraz w pierwszej z dwóch styczniowych (1941 rok) gier strategicznych. Ostatecznie jednak radzieckie kierownictwo wojskowo-polityczne pogodziło się z rzeczywistością i podjęło stanowczą decyzję o porzuceniu „wariantu północnego”, gdyż „walka na tym froncie może prowadzić do długotrwałych starć, unieruchomi nasze główne siły, nie da pożądanego i szybkiego rezultatu” (CAMO, f. 16, op. 2951, dz. 241, l. 15, 16).

Kierunek na południe od Występu Białostockiego również stwarzał poważne problemy dla nacierającej armii – na jej terenie znajdowały się trzy rzeki (Narew, Bug, Wieprz), na dodatek w dolnym, czyli najtrudniejszym do sforsowania odcinku. Już sama topografia przyszłego teatru działań wojennych podsuwała jedyne racjonalne rozwiązanie – do Wisły należy kierować się około stukilometrowym odcinkiem między Warszawą i Dębliem (czyli pomiędzy ujściami Bugu i Wieprzy). Właśnie ten wariant działań w różnych odmianach był przerabiany w 1941 roku podczas ćwiczeń dowódczo-sztabowych Zachodniego SOW.

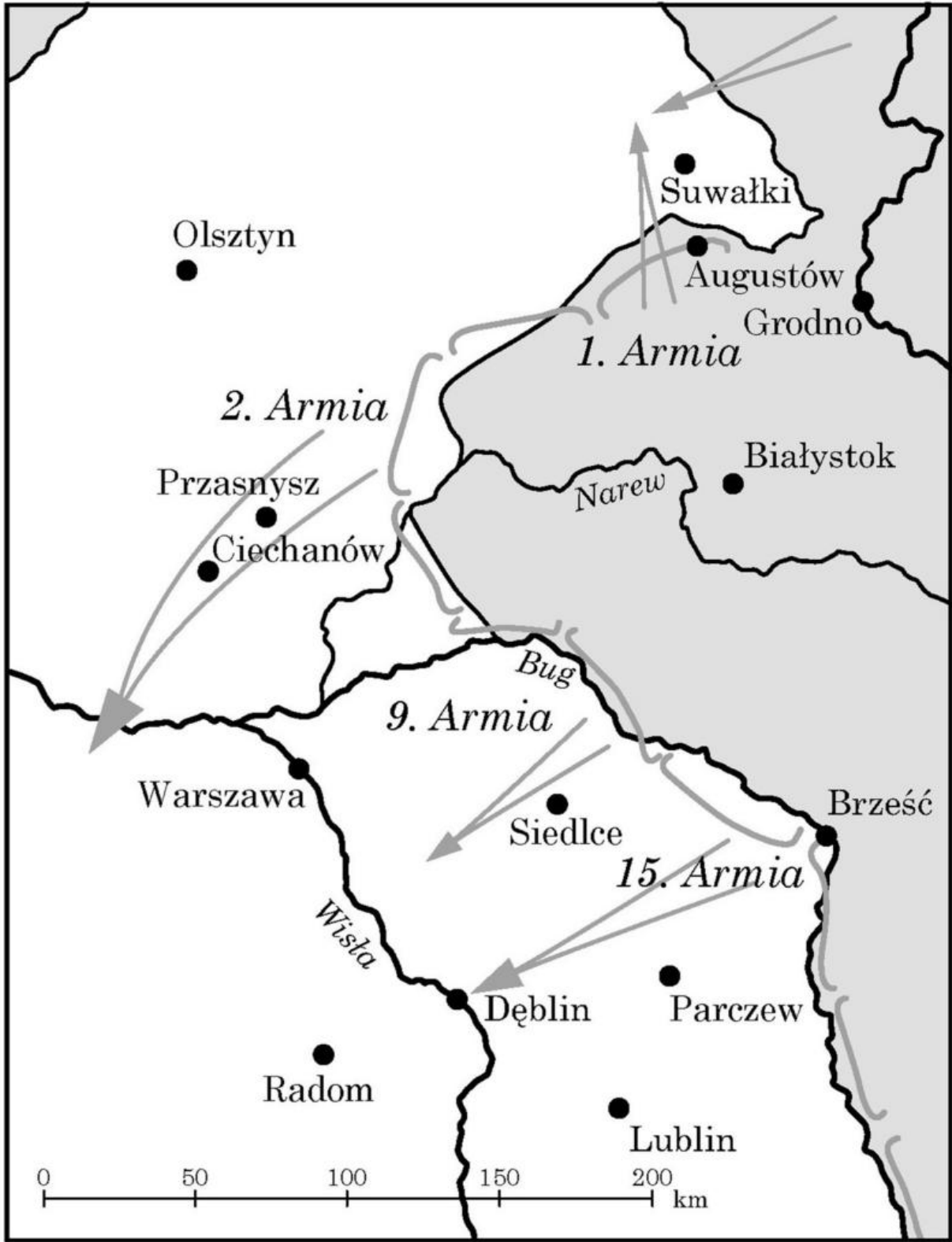
Pierwsza ze znanych obecnie frontowych gier operacyjnych Zachodniego SOW została przeprowadzona między 15 a 21 marca. Temat: „Operacja ofensywna frontu i armii”. Czasy kalendarzowy i umowny w tej grze się zbiegły (w zadaniu do gry czytamy: „długość dnia, stan pogody i warunki drogowe – zgodne z rzeczywistymi w dniach gry”) – jest to dość zastanawiające, skoro „działania bojowe” rozpoczęły się rankiem 16 marca, czyli po rozmokłych od wiosennych roztopów drogach.

Dyrektywa dowództwa Frontu Zachodniego nr 027 określała następujące zadania dla sił „wschodnich”: „Oddziały Frontu Zachodniego po wykonaniu wyznaczonej jej operacji zdobycia Występu Suwalskiego, dobrze osłonięte przez 1. Armię od północy, **ostatecznie** [podkreślenie moje – M.S.] rozgramiają nieprzyjaciela i przed 23.03. docierają do Wisły, przygotowane do dalszej ofensywy w kierunku Łodzi [130 kilometrów na południowy zachód od Warszawy – M.S.], aby wspólnie z Frontem Południowo-Zachodnim pokonać główne siły Zgrupowania Warszawsko-Sandomierskiego „zachodnich” (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 32, l. 6, 7).

Stwierdzenie o ostatecznym rozgromieniu nie pojawia się przypadkowo. Wcześniejsze wydarzenia zostały opisane we wstępie do gry następująco: „W wyniku walk spotkaniowych oddziały Frontu Zachodniego «wschodnich» odparły ofensywę «zachodnich» i przechodząc skoncentrowanymi siłami do kontrofensywy, po rozgromieniu zgrupowania wroga pod koniec 15.03. dotarły na linię Pisa–Narew–Bug. Położenie wojsk zgodnie z meldunkiem operacyjnym Frontu Zachodniego nr 017 z 15.03.1941 r.” (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 33, l. 3).

Tymczasem „walki spotkaniowe” i „ofensywa «zachodnich»” nie zostały w ogóle opisane, a tym bardziej opracowane na potrzeby gry. Wszystko przebiegło bez większego wysiłku – o czym można wnioskować na podstawie podanych we wstępie do gry stratach formacji pancernych „wschodnich”. Przed rozpoczęciem „walk” w ramach gry (do końca 15 marca) 8 dywizji pancernych i 20 brygad pancernych „wschodnich” – a zgodnie z etatem to około 7,5 tysiąca czołgów – bezpowrotnie straciło raptem 73 czołgi (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 33, l. 22). Jeden procent pierwotnej liczby! W 8 jednostkach pancernych strat bezpowrotnych nie odnotowano w ogóle. Nawet po uwzględnieniu 396 czołgów oddanych do mniejszej lub większej naprawy właściwe straty „wschodnich” są znikome.

Ale to nie umniejsza niezwykłego sukcesu „walk spotkaniowych”. Linia rzek Pisa–Narew–Bug to ustalona z Hitlerem we wrześniu 1939 roku linia granicy (dokładniej mówiąc: „linia rozgraniczenia interesów państwowych ZSRR i Niemiec na terenie byłego państwa polskiego” – właśnie tak sformułowano to w dokumentach). Gdy jednak zajrzemy do wspomnianego powyżej meldunku operacyjnego nr 017 i odnajdziemy na mapie wymienione w nim miejscowości Ksebki, Kadzidło, Brok, Sarnaki i Ossówkę, to okaże się, że „wschodni” nie tylko odsunęli „zachodnich” do granicy, ale też pokonali graniczne rzeki i dostali się na ich drugi brzeg. Co więcej, dokonali tego w dwóch krytycznie ważnych dla szykującej się ofensywy odcinkach: na północny zachód od Ostrołęki (na ostrzu Występu Białostockiego) i na północny zachód od Brześcia, gdzie „wschodni” znaleźli się nad Bugiem, 10 kilometrów od polskiej Białej Podlaskiej (patrz rys. 3).



Rys. 3

Takie niesamowite wyczyny podczas krótkiej (od 12 do 15 marca) „bitwy spotkaniowej” moim zdaniem potwierdzają przypuszczenie, że nikt nie zamierzał odierać ataku „zachodnich”. Wzmianka o tym to swoisty wytrych, „listek figowy”, który miał ukryć rzeczywiste plany najwyższego dowództwa Armii Czerwonej przed zaangażowanymi w grę osobami (tu należy zaznaczyć, że krąg poinformowanych ludzi był dość szeroki, a nawet samo zadanie do gry zostało wydrukowane jako broszura licząca 99 stron). A dla dowódców średniego szczebla, bez dostępu do tajemnic poziomu „Ścisłe tajne. W jednym egzemplarzu”, umowna „wojna” powinna była się rozpocząć zgodnie z regulaminem: „Jeżeli wróg narzuci nam wojnę, Robotniczo-Chłopska Armia Czerwona będzie najbardziej atakującą spośród wszystkich kiedykolwiek atakujących armii” (Regulamin połowy PU-39, rozdział 1, paragraf 2).

Aby wspólnie z Frontem Południowo-Zachodnim pokonać główne siły Zgrupowania Warszawsko-Sandomierskiego, do Frontu Zachodniego „wschodnich” włączono zawrotną liczbę jednostek: 67 (sześćdziesiąt siedem) dywizji strzeleckich i 3 dywizje kawalerii, 4 korpusy zmechanizowane i 20 brygad pancernych. Jednak to wciąż wydawało się niewystarczające i podczas „gry” front otrzymał jako wsparcie 21 dywizji strzeleckich i 8 brygad pancernych. Nigdy, w żadnym ze znanych planów rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej, w żadnym z wykazów rozmieszczenia sił nie przewidywano takiej ilości piechoty dla Frontu Zachodniego; rzeczywiste liczby wahają się między 41 a 24 dywizjami strzeleckimi. Owszem, Armia Czerwona dysponowała 198 dywizjami strzeleckimi i teoretycznie można było znaleźć 88 dywizji dla Frontu Zachodniego, ale to już zupełnie inny układ sił, zakładający odmienny od rzeczywistego plan wojny.

Zgodnie ze scenariuszem marcowej „gry” nieprzyjaciół w pasie Frontu Zachodniego miał tylko 33 dywizje piechoty i 2 dywizje pancerne w pierwszym rzucie oraz jeszcze 6 dywizji piechoty w odwodzie, w rejonie Warszawy i Nidzicy (80 kilometrów na północny zachód od Ostrołęki). Ponadto autorzy zadania piszą: „Na kierunku Augustów–Siedlce nieprzyjaciół używa wyłącznie czołgów średnich i lekkich starych typów” (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 32, l. 4, 5). W połączeniu z bardzo wczesnym (połowa marca) wybuchem „umownej wojny” sugeruje to, że opierano się na scenariuszu, według którego „uśpiony” nieprzyjaciół nie dostrzega koncentracji ogromnych sił Armii Czerwonej przy zachodniej granicy ZSRR i nie ma

dość czasu na zwiększenie własnego zgrupowania wojsk w okupowanej Polsce (w nawiasie można nawet przypomnieć o spodziewanym desancie Wehrmachtu na Wyspach Brytyjskich).

Przy takich danych wyjściowych wynik gry był dość przewidywalny. W ciągu sześciu dni „wschodni” doszczętnie rozgromili „zachodnich”. Główna siła uderzeniowa Frontu Zachodniego, 2. Armia (24 dywizje strzeleckie i 3 dywizje kawalerii, 2 korpusy zmechanizowane – nie każdy front w czasie Wojny Ojczyźnianej miał taką liczebność), dokonała głębokiego oskrzydlenia warszawskiego zgrupowania nieprzyjaciela, przez Przasnysz i Ciechanów na północ od Warszawy dotarła do Wisły i ją sforsowała. Nieco mniej liczna 15. Armia (20 dywizji strzeleckich i 2 korpusy zmechanizowane) pokonała 130 kilometrów od Brześcia do Dębłina i przygotowuje się do sforsowania Wisły z zadaniem wspólnego z jednostkami szybkimi 2. Armii zamknięcia pierścienia okrążenia pokonanego nieprzyjaciela. Dodatkowo przeprowadzony desant z powietrza dużych sił „wschodnich” błyskawicznie zdobył przeprawy na Wiśle.

W zadaniu do gry w dość nietypowy sposób została opisana wojna w powietrzu. „Lotnictwo «zachodnichá» 12– 15 marca aktywnie działało przeciwko oddziałom, węzłom kolejowym i lotniskom. Lotnictwo «wschodnich» 13– 15 marca **kontynuowało** [podkreślenie moje – M.S.] walkę o przewagę w powietrzu, osłaniało zgrupowanie uderzeniowe 2. Armii, współdziałało z jednostkami lądowymi przy zwalczaniu wycofujących się oddziałów wroga, zatrzymało transport kolejowy, niszczyło lotnictwo [nieprzyjaciela] na lotniskach i uniemożliwiało oddziałom rezerwowym nieprzyjaciela dotarcie na front drogami gruntowymi” (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 33, l. 4).

Nie wiadomo, kiedy lotnictwo „wschodnich” rozpoczęło to, co „kontynuowało” 13–15 marca. W każdym bądź razie posiadające 5657 samolotów (cztery razy więcej, niż było ich w rzeczywistym czerwcu 1941 roku) przeciwko 2611 samolotom „zachodnich” (dwa razy więcej niż w rzeczywistości) i oczywiście nieznikające po pierwszym uderzeniu na własne lotniska siły powietrzne „wschodnich” z sukcesem wykonały wszystkie powierzone im zadania: uzyskały przewagę w powietrzu, współdziałały, zatrzymały, zniszczyły i uniemożliwiły...

Niespokojne oczekiwania

Szczerze mówiąc, w Sztabie Generalnym Armii Czerwonej szybko zdano sobie sprawę, że praktyczna korzyść płynąca z gry sztabowo-dowódczej z bezzasadnie zawyżoną liczebnością własnych sił jest niewielka. Jeszcze nie ucichły ostatnie „salwy” marcowej gry, gdy 20 marca 1941 roku zastępca szefa Sztabu Generalnego generał lejtnant Watutin zatwierdził „Zadanie do rozwiązania dla narady armijnej” (CAMO, f. 28, op. 11627, dz. 15, l. 72–77). Co ciekawe, ten dokument rozesłano 1–3 kwietnia do sztabów 9 (!) okręgów wojskowych. Dowódcy mieli za zadanie przeanalizować sytuację spowodowaną umownymi „działaniami bojowymi”, podjąć decyzje jako dowódca umownej „3. Armii” Frontu Zachodniego i przygotować odpowiedni rozkaz bojowy. Termin realizacji (w różnych okręgach) – od 13 do 20 kwietnia.

A „wojna” tym razem wyglądała tak:

„Zachodni” ponieśli klęskę na froncie Grajewo–Brześć [tj. między północną i południową podstawą Występu Białostockiego] i wycofywali się w kierunku Warszawy, osłaniając przybywające i ześrodkowujące się rezerwy. 15 maja 1941 r. „zachodni” rozpoczęli ofensywę:

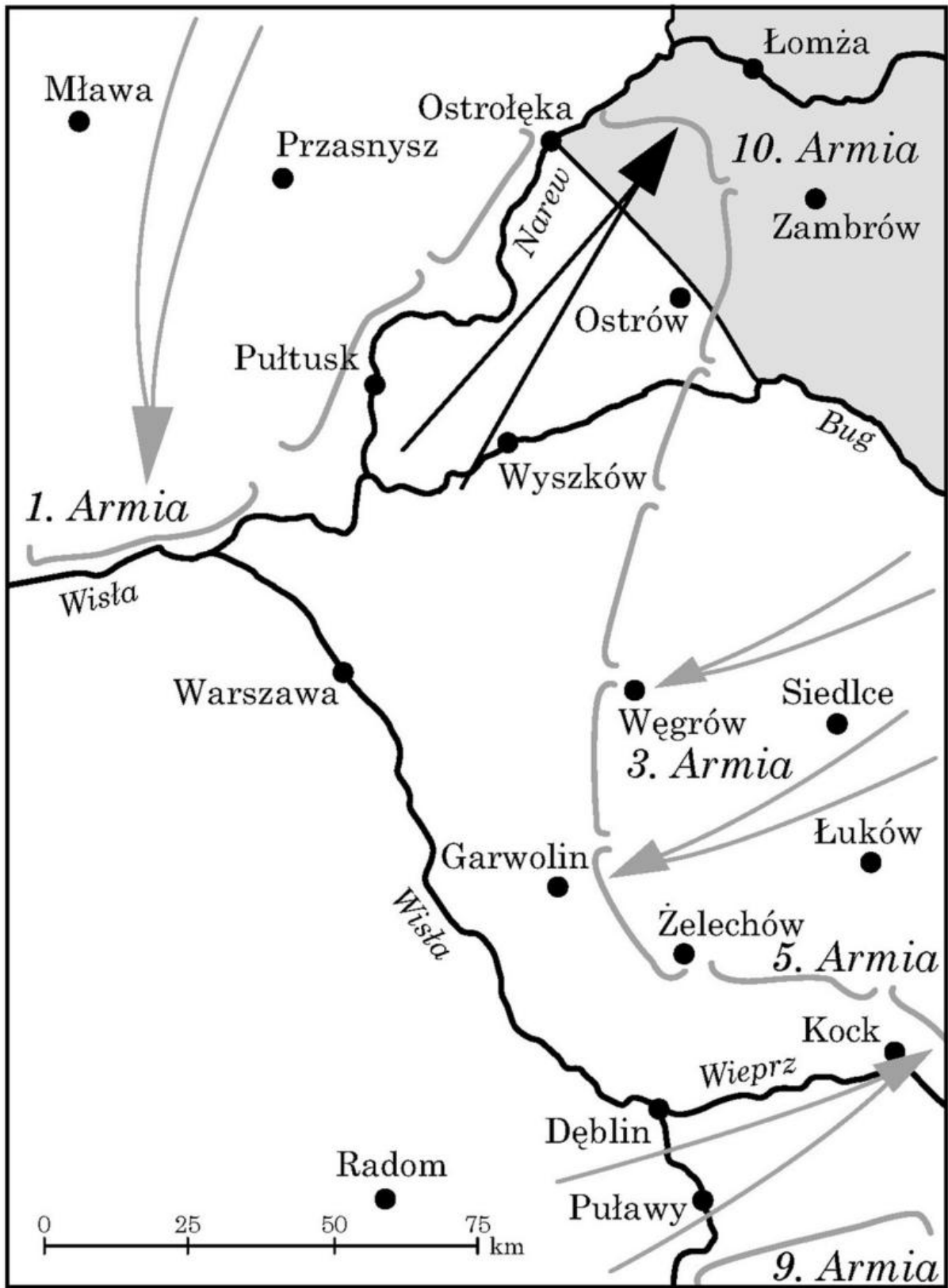
a) z rejonu Wyszaków–Ostrów Mazowiecka siłami 15–20 dywizji piechoty i 2 dywizji pancernych w kierunku na Białystok,

b) z rejonu Lublin–Kock–Dęblin siłami 25–30 dywizji piechoty i 2–3 dywizji pancernych w kierunku na Brześć.

Na kierunkach Przasnysz–Modlin i Siedlce–Warszawa „zachodni” pod naporem „wschodnich” kontynuują odwrót, stawiając zacięty opór na wcześniej przygotowanych rubieżach.

Front Zachodni „wschodnich” (1., 10., 3., 5. Armia) podczas starcia u zbiegu Narwi i Bugu pokonał „zachodnich” i zamierza dzięki koncentrycznemu uderzeniu 1. i 3. Armii w kierunku Warszawy rozgromić warszawskie zgrupowanie „zachodnich” i dojść do Wisły do końca 20 maja.

Jak widać, ogólna koncepcja operacji i kierunki głównych uderzeń „wschodnich” całkowicie pokrywają się z marcową „grą” w Zachodnim SOW. Nadal planuje się rozgromić warszawskie zgrupowanie „zachodnich” koncentrycznymi uderzeniami dwóch armii, z których jedna (zgodnie z grą – 1. Armia) naciera na północny zachód od Narwi i dochodzi do Wisły na północny zachód od Warszawy, a druga (w grze – 3. Armia) przebija się do Wisły z południowej części Występu Białostockiego przez Siedlce i Łuków. Dwie inne, znacznie mniejsze armie (w grze – 10. i 5. Armia) unieruchamiają siły nieprzyjaciela na odcinku między dwiema armiami uderzeniowymi Frontu Zachodniego oraz sąsiadującym z nim Frontem Południowo-Zachodnim (patrz rys. 4).



Rys. 4

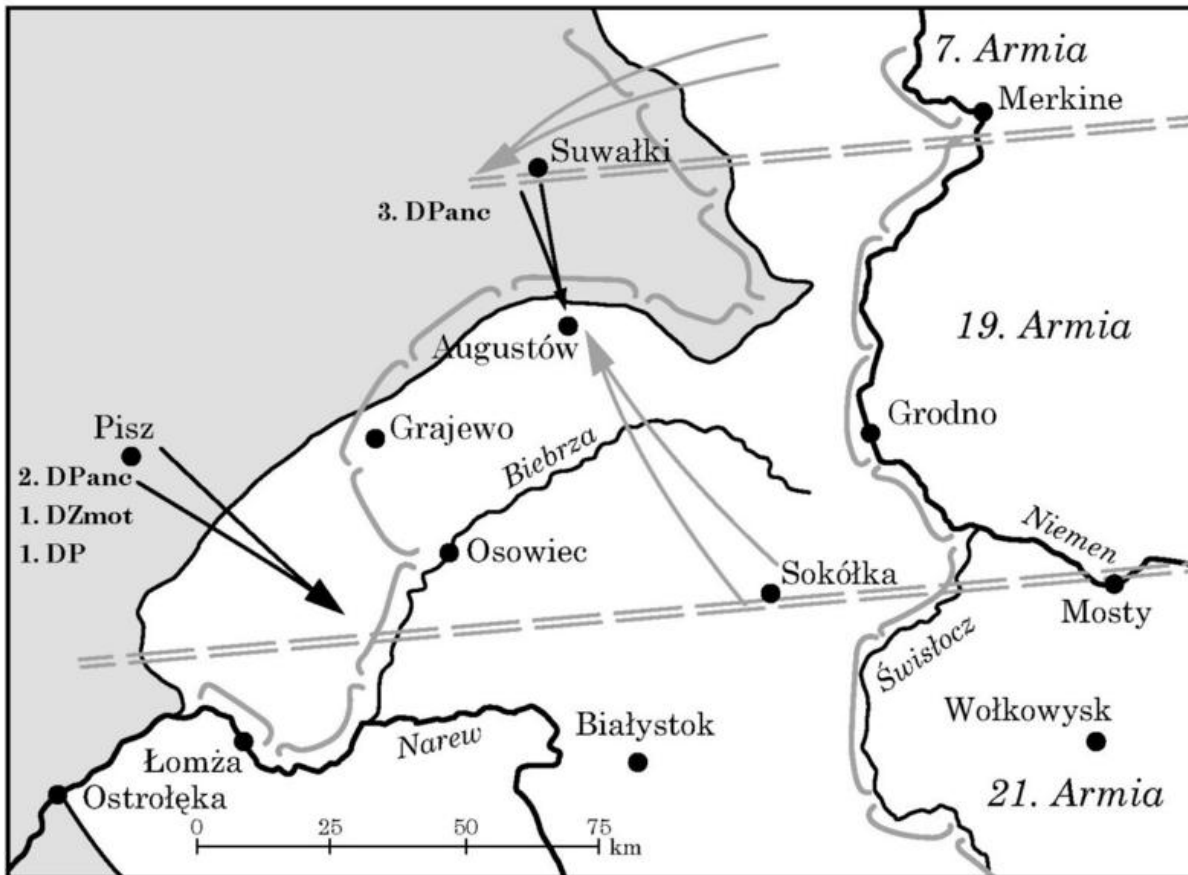
Jednocześnie w zadaniu na kwietniową „odprawę” można dostrzec dwie zasadnicze różnice wobec „gry” marcowej. Jedna z nich jest wyraźnie widoczna na schemacie: tym razem nieprzyjaciel nie ogranicza się do pasywnej obrony, a zdecydowanie kontratakuję dużymi siłami, uderzając na dwie najsłabsze armie Frontu Zachodniego i odnosząc znaczne sukcesy (w pasie Ostrołęka–Ostrów „działania bojowe” przeniesiono nawet na radzieckie terytorium!).

Po drugie, zupełnie inny jest stosunek sił: w pasie 10. Armii „zachodni” mają prawie dwukrotną przewagę liczebną (15–20 dywizji piechoty i 2 dywizje pancerne przeciwko 9 dywizjom strzeleckim i jednemu korpusowi zmechanizowanemu „wschodnich”), na południu, w pasie 5. Armii, przewaga „zachodnich” jest wręcz miażdżąca (25–30 dywizji piechoty i 2–3 dywizje strzeleckie przeciwko 6 dywizjom strzeleckim „wschodnich”). W rezultacie „rankiem 15 maja oddziały 5. Armii, napotkawszy kontruderzenie na rzece Wieprz, rozpoczęły odwrót do Tyśmienicy; lewe skrzydło zostało przełamane na odcinku Stoczek–Lublin, w wyłom między 5. Armią i 9. Armią Frontu Południowo-Zachodniego nacierają pancerne i zmotoryzowane oddziały nieprzyjaciela”.

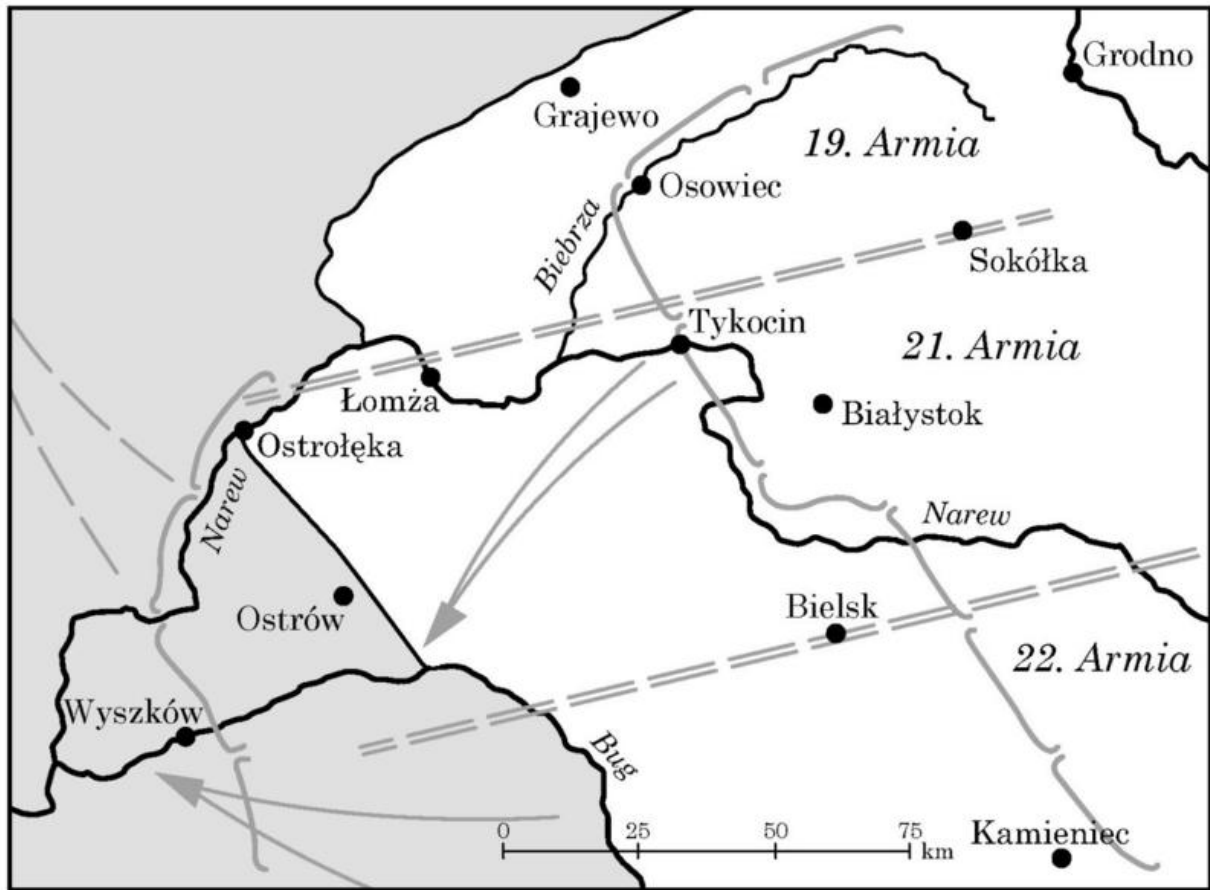
Jak już wspomniano, zadanie na „odprawę” zostało wysłane do 9 okręgów wojskowych. Wśród nich znaleźli się najbliżsi sąsiedzi Zachodniego SOW (Bałtycki Okręg i Kijowski Okręg) oraz bardzo odległe, jak Syberyjski czy Środkowoazjatycki (choć wydawać by się mogło – gdzie Wisła, a gdzie Amu-daria?). Brakuje na tej liście tylko okręgu, którego oddziały prowadzą umowne „działania bojowe”. Moim zdaniem jedynym wytłumaczeniem takiej sytuacji może być tylko fakt, że dowództwo Zachodniego SOW pracowało nad przytoczonym powyżej scenariuszem wojny w znacznie bardziej szczegółowej wersji, najprawdopodobniej w czasie okręgowej gry operacyjnej albo podróży polowej. Jednak nie znaleziono jeszcze żadnych dokumentów dotyczących tych przedsięwzięć.

Praktycznie nic nie wiadomo o ćwiczeniach dowódczo-sztabowych Zachodniego SOW w maju 1941 roku. Na temat wielkiej gry strategicznej w maju 1941 roku wiemy niewiele więcej. Nadal nie wiemy, jakie wnioski końcowe wyciągnięto z majowej gry strategicznej, jakie podjęto decyzje (a dokładniej – jakie wnioski przekazano uczestnikom) podczas narady najwyższego dowództwa w gabinecie Stalina 24 maja 1941 roku. Ostatnie tygodnie przed wojną to wciąż jeden z najbardziej tajemniczych okresów

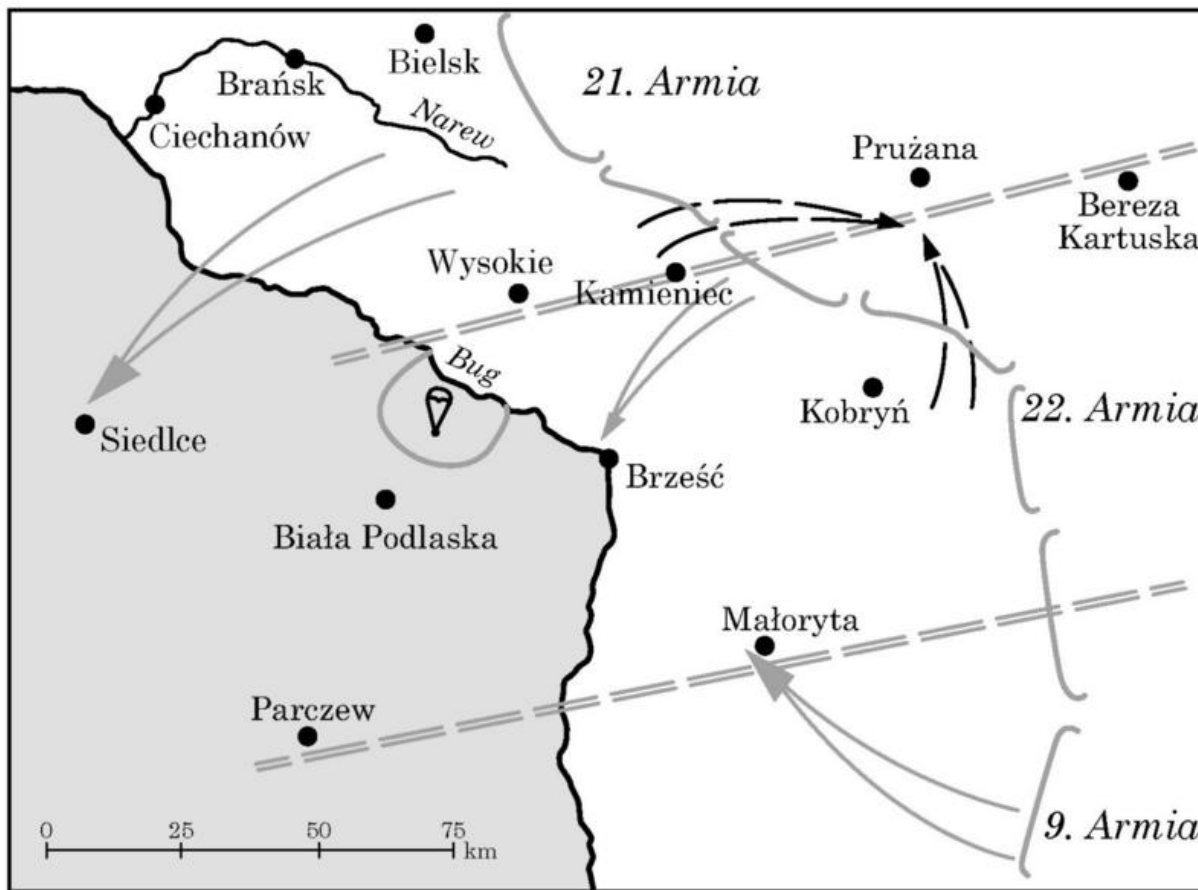
radzieckiej historii. Tym bardziej godne uwagi jest sześć dokumentów, które udało się odnaleźć w archiwach (CAMO f. 28, op. 11627, dz. 27, l. 160–165). Są to trzy wielkie mapy i trzy niewielkie kartki dołączone do każdej z map (patrz rys. 5, rys. 6, rys. 7).



Rys. 5



Rys. 6



Rys. 7

Na mapach przedstawiono „sytuację dla operacyjnej podróży polowej” sztabów odpowiednio 3., 10. i 4. Armii Zachodniego SOW (zgodnie z zadaniem na podróż polową mają numery 19, 21 i 22). Do Sztabu Generalnego z krótkim opisem mapy trafiły odpowiednio 4, 5 i 12 czerwca. Czas w grze został określony następująco: od umownego 13 do 18 czerwca dla 3. Armii, od 16 do 23 czerwca dla 10. Armii, od 26 do 29 czerwca dla 4. Armii. Nie wiadomo, czy odbyły się wszystkie te podróże albo przynajmniej niektóre z nich ².

Niezwykle ciekawe sformułowanie znajduje się w liście dołączonym do mapy podróży polowej sztabu 3. Armii. Zastępca szefa sztabu Zachodniego SOW generał major Siemionow melduje: „W związku z wezwaniem dowódcy do ludowego komisarza obrony na 11.06. podróż polowa została przełożona i odbędzie się od 5 do 9 czerwca”. To zdanie jest interesujące, ponieważ pozwala rozwiązać jedną z tajemnic czerwca 1941 roku. Z dzien-

nika odwiedzin gabinetu Stalina wiemy, że wieczorem 11 czerwca spotkał się on z dowódcą i członkami Rady Wojennej Bałtyckiego SOW. Jest to dość zaskakujące, ponieważ żaden inny dowódca okręgu nie pojawił się w gabinecie Stalina po naradzie 24 maja aż do wybuchu wojny. Skąd to szczególne zainteresowanie okręgiem, który, jak wynika ze znanych obecnie planów, leżał daleko od kierunku głównego uderzenia? Teraz już wiadomo, że Kuzniecowa i Dibrowa nie pojawili się w Moskwie sami, w tym czasie przebywał tam również dowodzący Zachodnim SOW Pawłow. Może się okazać, że odtajnienie dokumentów Kijowskiego SOW pozwoli rozszerzyć tę listę...

Jeżeli chodzi o scenariusz armijnych podróży polowych zaplanowanych na czerwiec 1941 roku w Zachodnim SOW, to tym razem w każdym z trzech przypadków pod uwagę brana jest kontrofensywa, przy czym przeprowadzona po tym, jak nieprzyjaciel **niezwykle głęboko (na 70–100 kilometrów) zapuszcza się na wschód – niczego podobnego w poprzednich grach nie było.**

Trzy mapy wyraźnie nie są „częściami tej samej układanki”, rubieże obronne i kierunki uderzeń sąsiednich armii nie pokrywają się ze scenariuszami podróży polowych. Z drugiej strony, porównując mapy z tekstem rozdziału VI planu osłonowego Zachodniego SOW („Możliwe warianty działań osłonowych głównych kierunków operacyjnych na wypadek przełamania obrony armijnej przez oddziały zmotoryzowane i zmechanizowane nieprzyjaciela”), dostrzegamy niemal całkowite podobieństwo zadań i rozwiązań operacyjnych. Najprawdopodobniej podczas podróży polowych planowano dopracować działania dowództwa i sztabów armii zgodnie z planem osłonowym, który został w czerwcu przygotowany i zatwierdzony.

Jedna odpowiedź i jedno pytanie

Podsumujmy. Pomimo tego, że dostępne informacje są dość chaotycznie rozproszone pod względem czasu (pierwsza połowa 1941 roku) i przestrzeni (zachodnie rejony ZSRR) i że nie mamy informacji dotyczących gier operacyjnych najpotężniejszego Kijowskiego SOW, omówione powyżej dokumenty pozwalają na wyciągnięcie kilku ważnych wniosków.

Pierwszy. Prowadzono przygotowanie operacyjne dowództwa i sztabów Armii Czerwonej do wojny z Niemcami, i to systematycznie i pracowicie. To smutne, że tak pospolity wniosek trzeba szczególnie podkreślać, ale nie brakuje u nas „historyków”, którzy opowiadają o tym, jak Stalin przygotowania do wojny zastąpił czułą kontemplacją podpisu Ribbentropa pod „paktem o nieagresji”.

Drugi. Między styczniem i czerwcem 1941 roku scenariusz gier operacyjnych uległ dość znacznym zmianom: liczebność oddziałów „wschodnich” stopniowo maleje, zadania i zwycięstwa stają się coraz mniej ambitne. Od wielkiej ofensywy na Kraków i Budapeszt do kontruderzeń pod Wilnem i Białymstokiem.

Trzeci. Ocena skuteczności bojowej własnych wojsk pozostaje niezmiennie wysoka. Można nawet nakreślić pewną umowną „piramidę oczekiwań”. Przy dwukrotnej przewadze liczebnej „wschodni” miażdżą „zachodnich”. Przy porównywalnej liczebności sił Armia Czerwona zwycięsko naciera – owszem, powoli, pokonując „tylko” po 10 kilometrów dziennie, ale naciera. Przy dwukrotnej przewadze liczebnej nieprzyjaciela „wschodni” wytrwale się bronią, przechodząc momentami do obrony manewrowej. Przełamanie frontu „wschodnich” udaje się dopiero wówczas, gdy „zachodni” dysponują siłami od trzech do pięciu razy większymi w piechocie i zdecydowaną przewagą w czołgach; zresztą również w tych przypadkach przełamanie nie oznacza „początku zrozumiałej dla was katastrofy”³, a nieunikniony w najbliższych dniach miażdżący kontratak Armii Czerwonej na sąsiednim, nieuchronnie osłabionym odcinku frontu wroga.

To wszystko pozwala na udzielenie uzasadnionej odpowiedzi na nie-szczęsne pytanie, które tysiąc i jeden raz pojawiało się na stronach książek i artykułów pod tytułami *Tajemnica 22 czerwca*, *Zagadka 22 czerwca*, *O północy 22 czerwca...* Jak to jest możliwe, że Stalin spokojnie położył się spać po tym, gdy wywiad doniósł...

Coś nie tak, drodzy towarzysze? Wywiad doniósł, że w pasie przygranicznym Prus Wschodnich znajduje się do 500 niemieckich czołgów? No, ale spodziewano się zobaczyć ich tam 4 tysiące. Osiem razy więcej. Na lotniskach Występu Suwalskiego zauważono do 300 niemieckich samolotów? Ale według scenariusza gry marcowej powinno ich być ponad tysiąc. No to dlaczego towarzysz Stalin miałby stracić apetyt i ochotę na sen? Stalin był

dumny ze swojego rozumowania i rozumował całkiem logicznie: wszystkie posiadane dane wywiadowcze świadczyły o tym, że ześrodkowanie grupy wojsk niemieckich przy granicy ZSRR – zgrupowania, którego spodziewano się zobaczyć na granicy – nie tylko nie zostało zakończone, ale nawet nie rozpoczęło się na dobre. I skoro oddziały niezwyciężonej Armii Czerwonej są w stanie przez dwa tygodnie uwikłać nieprzyjaciela w walki graniczne, to czy warto się przejmować nad tym, czy godzinę wcześniej czy godzinę później dyrektywa nr 1 trafi do żołnierzy?

Ale pytanie, na które nie mam żadnej sensownej odpowiedzi, jest inne. Z Kowna dowództwo 11. Armii, Komitet Centralny Komunistycznej Partii Litwy, czekiści i inni wysocy rangą urzędnicy uciekli po południu 22 czerwca. Nie czekano do wieczora. Białystok leży od granicy nieco dalej, po drodze do niego trzeba przepłynąć się przez dwie rzeki – ale z Białegostoku wszyscy czekiści, wojskowi, partyjni i inni działacze zwinęli się wieczorem 22 czerwca. Jeżeli oceniamy ludzi po uczynkach – od zawsze uważano to za jedynie słuszną ocenę – to okazuje się, że towarzysze generałowie nie mieli nawet cienia wątpliwości co do Armii Czerwonej i jej zdolności stawienia oporu Wehrmachtowi. No to dlaczego i dla kogo układali „zadania do gry na 117 stronach”? Po co dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, kreślili strzałki na mapach? Kogo chcieli oszukać? Siebie? Stalina? Siebie nawzajem?

1. Założenia dotyczące rozwinięcia oddziałów Armii Czerwonej na wypadek wojny z Finlandią z 18 września 1940 r., dyrektywa ludowego komisarza obrony ZSRR i Sztabu Generalnego Armii Czerwonej do dowódcy Leningradzkiego OW w sprawie opracowania planu operacyjnego rozwinięcia Frontu Północno-Zachodniego z 25 listopada 1940 r., dyrektywa ludowego komisarza obrony ZSRR i Sztabu Generalnego Armii Czerwonej dowódcy Archangielskiego OW w sprawie opracowania planu operacyjnego rozwinięcia oddziałów Frontu Północnego, bez daty (CAMO, f. 16, op. 2951, dz. 237, l. 82–92, 118–130, 138–156). [\[wróć\]](#)
2. W książce Sandałowa (w przededniu wojny – szef sztabu 4. Armii) czytamy: „Pod koniec maja przeprowadzono armijną podróż polową zakończoną grą na mapach. Rozegrano operację ofensywną z rejonu Prużana–Antopol–Bereza Kartuska w kierunku Brześć–Biała Podlaska”, co według mapy pokrywa się z zadaniem na operacyjną podróż polową. [\[wróć\]](#)
3. Słynne zdanie z doniesienia, które wysłał do Moskwy szef sztabu Frontu Południowo-Zachodniego 14 września 1941 roku po tym, jak oddziały 2. i 1. Grupy Pancerniej Wehrmachtu przedarły się na głębokie tyły kijowskiego zgrupowania wojsk Armii Czerwonej. [\[wróć\]](#)

BRAKUJĄCE OGNIWO

W latach 2006–2010 odtajniono niektóre dokumenty dowództwa najwyższego szczebla Armii Czerwonej, w tym korespondencję (przychodzące i wychodzące telegramy szyfrowe) Sztabu Generalnego i ludowego komisarza obrony ZSRR. Pomimo całej niekompletności i przypadkowości ten zestaw informacji pozwala dodać kilka nowych elementów do skomplikowanej układanki wydarzeń ostatnich przedwojennych miesięcy 1941 roku.

Przede wszystkim dokumenty potwierdzają informacje zawarte we wspomnieniach marszałka Żukowa oraz innych czołowych radzieckich dowódców, że wiosną 1941 roku Sztab Generalny pracował po 18 godzin na dobę. Jeśli nie więcej. Godziny nadania telegramów o drugiej, trzeciej, czwartej w nocy zdarzają się raz po raz. A jak można spokojnie spać w nocy, gdy próbowano zarządzać wszystkim z jednego ośrodka?

22 kwietnia 1941 roku (w kolejną rocznicę urodzin Uljanowa-Lenina i dokładnie dwa miesiące przed wybuchem wojny) o godz. 23.45 naczelnik Zarządu Tyłów generał major Jermolin wysłał ściśle tajny zaszyfrowany telegram do szefa sztabu Frontu Dalekowschodniego generała majora Smorodina. Ten dokument, przez ponad pół wieku skrywany przed historykami za zasłoną tajemnicy państwowej, jest interesujący tak pod względem formy, jak i treści:

Na podstawie polecenia Rządu generał armii Żukow rozkazał natychmiast wydać 5 ton kredy Nadmorskiemu Krajowemu Komitetowi Wykonawczemu na remont budynku przy ul. Sofijskiej 17 we Władywostoku z zasobów korpusu kolejowego. O wykonaniu proszę zameldować.

Fakt, że srogie wojskowe „zameldować o wykonaniu” złagodzone miękim „proszę”, jest całkiem zrozumiałe: generał major zwraca się do gene-

rała lejtnanta, czyli do starszego stopniem. Ale nawet najstarszy z nich, generał armii Żukow, jak się okazuje, sam tego nie wymyślił – szef Sztabu Generalnego tylko przekazuje polecenie Rządu (wielką literą). I wszyscy razem, trzej generałowie i nienazwany „rząd”, tracą cenne minuty na zajmowanie się sprawą, którą powinien załatwić lejtnant ze służby zaopatrzenia.

Myślicie może, że specjalnie szukałem i wreszcie znalazłem jeden taki unikatowy przypadek biurokratycznego kretynizmu? Gdyby tylko... Z każdej teczki z odtajnionymi dokumentami takich przykładów można podać dziesiątki. 2 kwietnia 1941 roku zastępca szefa Sztabu Generalnego, naczelnik Zarządu Organizacyjnego, generał major Czetwierikow kieruje do szefa sztabu Charkowskiego OW telegram z prośbą o wydanie kuchni polowych dla 55. batalionu inżynieryjnego. Tego samego dnia naczelnik Zarządu Operacyjnego Sztabu Generalnego generał lejtnant Małandin w telegramie do szefa sztabu Nadwożańskiego OW potwierdza przyznanie okręgowi plutonu chemicznego. 4 kwietnia zastępca szefa Sztabu Generalnego do spraw mobilizacyjnych generał lejtnant Sokołowski wydaje (również w zaszyfrowanym telegramie przesłanym za pośrednictwem bezpiecznego kanału łączności) tajne polecenie szefowi sztabu Syberyjskiego OW: „Sprzęt 543. korpuśnego pułku artylerii zamaskować brezentem”. Pierwszy zastępca szefa Sztabu Generalnego generał lejtnant Watutin telegrafuje do szefa sztabu Kijowskiego SOW: „Jedną składnicę zajętą przez magazyn 995 w Czerniowcach opróżnić i przekazać kolejom. Zameldować o wykonaniu”. I tak dalej, w nieskończoność...

Nic dziwnego, że zarządzając plutonami, składnicami i brezentami, generałowie Sztabu Generalnego przeoczyli wiele poważnych problemów. Nowe dokumenty, które zostały udostępnione, pozwalają między innymi wyjaśnić feralną historię powstania i rozgromienia brygad artylerii przeciwpancernej odwodu Naczelnego Dowództwa.

Decyzja o utworzeniu brygad artylerii przeciwpancernej została sformalizowana uchwałą KC WKP(b) i Rady Komisarzy Ludowych ZSRR z 23 kwietnia oraz stosownymi dyrektywami Ludowego Komisariatu Obrony z 26 kwietnia 1941 roku. Do 1 czerwca 1941 roku należało utworzyć 10 takich brygad (1., 2., 3., 4. i 5. BAPpanc w Kijowskim SOW, 6., 7. i 8. w Zachodnim SOW, 9. i 10. w Bałtyckim SOW). Decyzja była niewątpliwie potrzebna, słuszna i na czasie. Nasz główny potencjalny nieprzyjaciel –

hitlerowskie Niemcy – stworzył i z powodzeniem wykorzystywał w walkach polskiej i francuskiej kampanii zasadniczo nowe „narzędzie” wojny – duże, wysoce zmotoryzowane zgrupowania pancerne (dywizje i korpusy). Cienka „nitka” obrony dywizji piechoty nie mogła powstrzymać ciosu „pancernego klina” – ani w teorii, ani w rzeczywistości. Zmasowaniu sił i środków atakujących należało przeciwstawić podobne zmasowanie środków obronnych, czołgom – równie potężne i zmotoryzowane związki pancerne.

Zgodnie z zatwierdzoną normą etatową brygada artylerii przeciwpancernej powinna mieć 120 dział przeciwpancernych – i to jakich! 48 (4 dywizjony) dział F-22 kalibru 76 mm. Latem 1941 roku to wspaniałe wówczas działo mogło przebić czołowy (czyli najmocniejszy) pancerz każdego niemieckiego czołgu z odległości kilometra. Kolejne 4 dywizjony zostały uzbrojone w działa przeciwlotnicze 61-K wz. 1939 kalibru 85 mm. Wykorzystanie tej broni już było „nadmiernym okrucieństwem”; z odległości 1000 metrów działo mogło przebić płytę pancerną o grubości 110 milimetrów, a Niemcy nie mieli niczego podobnego – ani w jednostkach bojowych, ani nawet w projektach nowych czołgów. Ale nawet tego było za mało i do brygad artylerii przeciwpancernej wprowadzono 2 dywizjony (24 armaty) dział kalibru 107 mm! W sumie nie zaszkodzi, a może się przydać; nadmierna na pierwszy rzut oka moc dział mogła być (przy odpowiedniej optyce i wyszkoleniu celowniczym) wykorzystana do zwiększenia zasięgu ognia i pozwalała załodze armaty zniszczyć czołg wroga z takiej odległości, że ten nie zdążyłby nawet się zorientować, skąd nadleciał zabójczy pocisk.

Działa przeciwpancerne były głównym, ale nie jedynym uzbrojeniem brygad artylerii przeciwpancernej. Do brygady włączono też batalion saperów, batalion zaopatrzenia oraz niezwykle liczne środki obrony powietrznej: 16 szybkostrzelnych dział przeciwlotniczych kalibru 37 mm i 72 wielkokalibrowe karabiny maszynowe DSzK. Dowództwo Armii Czerwonej wiązało duże nadzieje z tymi brygadami, o czym bardzo wyraźnie świadczy dokument: zatwierdzone 3 czerwca 1941 roku przez szefa sztabu Kijowskiego SOW „Tymczasowe instrukcje w sprawie szkolenia bojowego, użycia bojowego i tworzenia szyków bojowych brygad artylerii przeciwpancernej”.

Użycie bojowe przedstawiono w następujący sposób. Na odcinku frontu o szerokości 3–4 kilometrów brygada powinna zatrzymać atak 400–500

nieprzyjacielskich czołgów (to nie jest błąd). Przy tym oczekiwano, że stalowa lawina będzie się poruszać „w następujących po sobie falach po 20–30 czołgów na kilometr frontu, tj. w około pięciu falach”, z prędkością 15 km/h (250 m/min). Szyk bojowy brygady stanowić miały dwa rzuty: w pierwszym 4 dywizjony dział kalibru 76 mm i dywizjon dział kalibru 107 mm na najbardziej zagrożonym odcinku, 4 dywizjony dział kalibru 85 mm oraz jeden rzut dział kalibru 107 mm (tj. o większej mocy) przekazywano do odvodu dowódcy brygady w celu zniszczenia ciężkich czołgów, które przedarły się w głąb obrony.

Działania pierwszego rzutu opisano następująco: „Każda armata o zasięgu 1200 m może wykonać minimum 3–4 strzały do celu na minutę, z czego jeden strzał unieszkodliwia czołg [przy mocy użytych dział ocena jest dość realistyczna – M.S.]. Zatem pierwszy i drugi rzut czołgów zostają zniszczone w 100%, nim znajdą się w odległości 200 m od pozycji ogniowych”. Innymi słowy, zakładano, że jedno działko powinno zniszczyć 4 nieprzyjacielskie czołgi, zanim dotrą one na pozycje ogniowe. W „Tymczasowych instrukcjach” nie opisano, co się wydarzy później; widocznie spodziewano się, że nieprzyjaciel po takiej rzezi zaprzestanie ataku albo najbardziej wytrwali zostaną unicestwieni przez działa drugiego rzutu brygady.

Wszystko byłoby dobrze, ale dobre rzeczy mają swoją cenę. Wielką moc rażenia przekazanych brygadom dział uzyskano kosztem ich monstrualnej (jak na typowe działa przeciwpancerne tego okresu) masy. Gdy podstawowe wówczas niemieckie działko przeciwpancerne PaK 36 kalibru 37 mm ważyło 450 kilogramów, a nasza „czterdziestkapiątka” wz. 1937 – 560 kilogramów, to masa działka przeciwlotniczego kalibru 85 mm wynosiła 4,3 tony (nieco lżejsza, bo o wadze 3,9 tony, była M-60 kalibru 107 mm). I gdy działko przeciwpancerne małego kalibru na polu walki mogła toczyć ostatkiem sił jej załoga, a po drodze mógł holować je na haku dowolny (nawet osobowy) samochód, to czterotonowe działa potrzebowały specjalnych ciągników gąsienicowych.

Teoretycznie, zgodnie z normą etatową, każda brygada artylerii przeciwpancernej powinna mieć 165 ciągników. W praktyce wszystko wyglądało znacznie gorzej. 17 maja do ludowego komisarza obrony marszałka Timoszenki wysłano podpisany przez wszystkich członków Rady Wojennej Kijowskiego SOW (Kirponos, Waszutin, Purkajew) telegram o następującej treści: „Tworzone brygady artylerii przeciwpancernej potrzebują 600 cią-

gników ST-2, 300 – STZ-5, jednostki artylerii formowanych dywizji motomechanizowanych [tak jest w tekście – M.S.], pancernych i strzeleckich potrzebują 503 ciągniki ST-2 i 792 – STZ-5. Przysyłanych dział nie ma czym wozić. Proszę o polecenie przyśpieszenia dostaw floty samochodowej dla formowanych jednostek”.

Minął miesiąc. Według stanu z 18 czerwca do Kijowskiego SOW dla brygad artylerii przeciwpancernej przekazano 75 ciągników ST-2 i 188 traktorów STZ-5, przy czym większość z nich (50 ST-2 i 120 STZ-5) trafiła do Łucka, czyli do 1. Brygady Artylerii Przeciwpancernej generała Moskalenki; 25 ST-2 i 68 STZ-5 przekazano do Skałat, czyli do 2. Brygady Artylerii Przeciwpancernej. Pozostałe trzy brygady okręgu nie otrzymały ani jednego ciągnika. I to był najpotężniejszy w całej Armii Czerwonej Kijowski SOW (przyszły Front Południowo-Zachodni); w innych okręgach sytuacja była jeszcze gorsza.

Według stanu z 18 czerwca 2 brygadam artylerii przeciwpancernej Bałtyckiego SOW przekazano tylko 18 ciągników CzTZ-65, a do 1 lipca (tj. dnia wyznaczonego decyzją partii, rządu i ludowego komisarza obrony na zakończenie formowania brygad artylerii przeciwpancernej) obiecano przysłać jeszcze 45 ciągników STZ-5. Najgorzej sytuacja wyglądała w Zachodnim SOW, czyli w pasie przyszłego natarcia największej w Wehrmachcie Grupy Armii „Środek”.

7 czerwca szef Wydziału Operacyjnego sztabu Zachodniego SOW generał major Siemionow melduje szefowi Sztabu Generalnego Żukowowi o przebiegu formowania brygad artylerii przeciwpancernej. Przy normie etatowej 5322 ludzi 3 brygady okręgu (6., 7. i 8.) mają odpowiednio po 5332, 5187 i 5147 ludzi. Prawie pełna obsada. Dział przeciwpancernych jest na razie mniej niż połowa normy (60, 52 i 54). „Przed 1 lipca otrzymają 72 działa kalibru 76 mm i 60 dział kalibru 85 mm”. Jednocześnie 6. Brygada Artylerii Przeciwpancernej posiada tylko 4 ciągniki, 8. BAPpanc – 7 ciągników, 7. BAPpanc – zero. Dalej Siemionow beznamiętnie stwierdza: „W maju jednostki okręgu otrzymały 73 ciągniki, na początku czerwca – 20”.

Unieruchomiona brygada przeciwpancerna jest jak packa na muchy przybita gwoździem do ściany; muchy w takim pomieszczeniu mogą latać zupełnie bezkarnie. Przy braku ciągników czterotonowe armaty w brygadach artylerii przeciwpancernej stały się ich główną wadą; gdyby bry-

gada została uzbrojona w karabiny przeciwpancerne ważące 16 kilogramów – byłoby to bardziej przydatne (zwłaszcza że latem 1941 roku jedną trzecią czołgów w niemieckich siłach stanowiły lekkie czołgi i tankietki).

Unieruchomiona BAPpanc mogła znaleźć się na szlaku natarcia niemieckiej dywizji pancerniej tylko przez przypadek, ale na Froncie Zachodnim nie było co na to liczyć – w przededniu wojny 3 brygady Zachodniego SOW stacjonowały odpowiednio w okolicach Białegostoku, Grodna i Lidy, czyli właśnie tam, gdzie nacierała niemiecka piechota! W pasie planowanego natarcia najpotężniejszej w Wehrmachcie 2. Grupy Pancerniej Guderiana, na kierunku Brześć–Kobryń–Baranowicze nie było żadnej BAPpanc. Nawiasem mówiąc, osłaniająca kierunek brzeski 4. Armia była jedyną (!) armią pierwszego rzutu strategicznego Armii Czerwonej, w której składzie BAPpanc nie było nawet teoretycznie – bardzo wymowna ilustracja powtarzanych przez wiele lat bzdurnych informacji o tym, że „tajemnice Hitlera lądowały na biurku Stalina dwa dni po podpisaniu odpowiednich dokumentów”.

I nie należy myśleć, że przysłowiowa „historia” dała Stalinowi zbyt mało czasu, że zadanie znalezienia 1650 ciągników dla pełnego wyposażenia wszystkich BAPpanc było niewykonalne. Mimo wszystko według stanu z 15 czerwca 1941 roku (czyli jeszcze przed ogłoszeniem jawnej mobilizacji i przekazania armii dziesiątków tysięcy traktorów z przedsiębiorstw cywilnych) Armia Czerwona miała 2601 ciągników artyleryjskich typu Woroszyłowiec, Komintern i ST-2 oraz 19 381 traktorów CzTZ-65 i STZ-5. Jest ich niewiele, jeżeli nie doda się do nich 14 277 „przestarzałych” traktorów typu CzTZ-60, STZ-3 i Kommunar, a także 6672 najnowszych ciągników opancerzonych Komsomolec, przeznaczonych do holowania dział przeciwpancernych kalibru 45 mm w dywizjach strzeleckich i zmotoryzowanych. Te liczby jakoś słabo korelują z doniesieniami, że jedna brygada artylerii przeciwpancernej ma 4 ciągniki, a inna – zero...

A żeby dopełnić obrazu „bezwzględного stalinowskiego porządku” – w oddziałach brakuje pocisków przeciwpancernych. 16 maja 1941 roku naczelnik Głównego Zarządu Artylerii marszałek Kulik wysłała do dowódcy artylerii Zachodniego SOW w Mińsku telegram nr 1481, w którym napisała: „Według Waszego telegramu nr 6 znajdujące się w magazynach okręgu pociski przeciwpancerne kalibru 76 mm trafią do oddziałów dopiero w czerwcu. Proponuję niezwłocznie poza zwykłym planem trans-

portowym wysłać pociski przeciwpancerne do jednostek, w pierwszej kolejności – do dywizji pancernych. Pozostańcie w kontakcie z dowódcami jednostek transportowych w okręgach, niezwłocznie zaopatrzcie w amunicję przybywający sprzęt”. Telegram z numerem 1482 o podobnej treści został wysłany tego samego dnia do Kijowskiego SOW.

Minęły miesiąc i cztery dni. 20 czerwca o godz. 15.30 marszałek Kulik wysłał kolejny telegram (nr 1543) do Mińska: „Według doniesienia jednego z dowódców [tak jest w tekście – M.S.] BAPpanc okręg nie przekazał brygadzie kompletu amunicji artyleryjskiej. Proponuję natychmiast wydać wszystkim BAPpanc komplety amunicji, w tym należne pociski przeciwpancerne. Przekażcie 21 czerwca Wasze polecenia i wyjaśnienie przyczyn niedopuszczalnego opóźnienia dostaw amunicji”. Jeszcze nie udało mi się dowiedzieć, czy dotarło do Moskwy jakiegokolwiek „wyjaśnienie przyczyn”, czy też epicka klęska Frontu Zachodniego sprawiła, że korespondencja na ten temat przestała mieć sens.

Zestrzelić – czy nie zestrzelić?

Jeden z najbardziej rozpowszechnionych i upórczywych mitów głosi, że niemieckie samoloty rozpoznawcze w przededniu wojny bezkarnie latały nad terytorium radzieckim, dokładnie obejrzały cały system rozmieszczenia radzieckiego lotnictwa (i nie tylko lotnictwa), a naszym sokołom-lotnikom nie pozwolono strzelać do bezczelnych, bo bezkarnych szwabów. A zdarzało się, że nie wytrzymało serce któregoś lotnika, rzucał się on do swego wiernego I-16, wzbijał do nieba i strącał celną serią faszystowskiego sępa. A po wylądowaniu tego bohatera zgarniali „oficerowie specjalni” i wlekli do lochu – nie prowokuj Niemców, nie łam „rozkazu Stalina”. Istnieje również podwersja tego mitu – słynny rozkaz zabraniający strzelania do wroga został rzekomo wydany nie przez Stalina (którego podle oszukano), a przez krwawego satrapę Berię...

W oryginalnych dokumentach ta historia wygląda inaczej. Nie tak barwnie.

Donoszę o przekroczeniu granicy państwowej przez niemieckie samoloty 25 maja br.

1) O godz. 11.23 w rejonie posterunku obserwacyjnego 2063 Wielinowo, 40 km na południowy zachód od Bielska [tj. 5-7 kilometrów od ówczesnej granicy - M.S.] jeden samolot typu Do 17 na dużej wysokości [przekroczył granicę], przeleciał nad punktami [tu podano listę wsi i miasteczek - M.S.] i w rejonie Śledzianowa o godz. 11.51 wrócił na swoje terytorium. O przekroczeniu granicy zawiadomiono lotniska Bielsk (godz. 11.23), Tarnowo (godz. 11.23), Białystok (godz. 11.41). Wylot nasze lotnictwo wykonało z lotnisk Bielsk (godz. 11.26), Tarnowo (godz. 11.26) i Białystok (godz. 11.43). Samolot nie został odnaleziony przez nasze lotnictwo.

2) Jeden samolot typu Do 17 na wysokości H=1000 m przekroczył granicę i znajdował się nad naszym terytorium przez 2 minuty.

3). O godz. 13.05 jeden dwusilnikowy samolot nieustalonego typu na wysokości H=7000 m naruszył granicę państwową w rejonie Damaczewa (na południe od Brześcia), przeleciał z kursem 360 stopni do Brześcia, skręcił o 180 stopni i o godz. 13.37 odleciał na własne terytorium w rejonie Przyborowa (10 kilometrów na południe od Damaczewa). O naruszeniu o godz. 13.06 powiadomiono lotnisko Brześć. Nasze lotnictwo wystartowało z lotniska w Brześciu o godz. 13.08. Samolot nie został odnaleziony przez nasze lotnictwo.

To treść telegramu wysłanego 26 maja 1941 roku przez szefa sztabu Zachodniego SOW generała majora Klimowskicha do szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej generała armii Żukowa.

Oto jeszcze jeden telegram, podpisany przez całą Radę Wojenną Zachodniego SOW:

Do zastępcy przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych tow. Mołotowa

Do ludowego komisarza obrony tow. Timoszenki

Według doniesienia dowódcy 10. Mieszanej Dywizji Lotniczej [dywizja stacjonowała w pasie Brześć-Kobryń-Pińsk - M.S.] pułkownika Biełowa o godz. 19.30 26 maja samolot Me 110 w rejonie Siemiatycz [miasteczko na granicy znajdujące się w odległości 60 km na północny zachód od Brześcia - M.S.] na wysokości H=8500 m naruszył granicę państwową. Kapitan Sawczenko, dowódca eskadry 123. pułku lotnictwa myśliwskiego, który wystartował na przechwycenie intruza, na samolocie I-153 na wysokości H=8600 m poprzez ewolucje zażądał od załogi Me 110 udania się na nasze lotnisko. Intruz otworzył ogień zaporowy. Z kolei kapitan Sawczenko również odpowiedział ogniem. Intruz z dużą prędkością wycofał się na swoje terytorium. Kapitan Sawczenko pomyślnie wylądował na lotnisku w Łuszczycach. Nasz samolot nie miał uszkodzeń. W celu dokładnego zbadania sprawy na miejscu o godz. 4.00 27 maja udał się zastępca szefa sztabu 10. Dywizji major Timczenko. Zamelduję o wynikach.

Jednocześnie informuję, że 25 i 26 niemieckie samoloty podejrzanie często, przy dobrej pogodzie, traciły orientację i leciały na dużych wysokościach na nasze terytorium, podążając wzdłuż granicy w niewielkiej odległości (3-10 km), a jeden z samolotów 25 maja przedarł się do miejscowości Bocoki (10 km na południowy zachód od Bielska). Po wystartowaniu naszych samolotów intruzi natychmiast wracają na swoje terytorium.

Pawłow, Fominych, Klimowskich

30 maja. Telegram podpisany przez Watutina dociera z Moskwy do sztabu Leningradzkiego OW:

W szyfrogramie nr 40 z 30 maja szef sztabu Leningradzkiego OW [generał major] Nikiszew doniósł o naruszeniu granicy państwowej przez fiński samolot. Z doniesienia wynika, że ani lotnictwo myśliwskie, ani artyleria przeciwlotnicza

nie podjęły próby przeciwdziałania. Ludowy komisarz obrony polecił:

1) Zwiększyć gotowość lotnictwa myśliwskiego i środków obrony przeciwlotniczej. Zwalczać intruzów, nie pozwalając naszym samolotom na przekroczenie granicy.

2) Zameldować za pośrednictwem Sztabu Generalnego, dla-
czego 29.05. nie wystartowały myśliwce, aby zniszczyć intruza.

6 czerwca. Naczelnik Wydziału Operacyjnego sztabu Zachodniego SOW generał major Siemionow melduje szefowi Sztabu Generalnego Żukowowi:

6 czerwca bieżącego roku według raportu posterunku granicznego nr 2087 Studzieniczno o godz. 13.05 w rejonie Augustowa nielegalnie przekroczył granicę niemiecki samolot rozpoznawczy na H=2000 m. Samolot znajdował się nad naszym terytorium do godz. 13.11 i w punkcie Studzieniczno (10 km na północny wschód od Augustowa) wrócił na swoje terytorium. O zajściu poinformowano lotnisko w Nowym Dworze [42 kilometry od Augustowa - M.S.] o godz. 13.05, start nastąpił o godz. 13.06. Niemiecki samolot został wykryty na północny zachód od miejscowości Gruzki. Samolotu nie udało się zmusić do wylądowania, gdyż wycofał się nad własne terytorium.

9 czerwca 1941 roku. Szef sztabu Odeskiego Okręgu Wojskowego generał major Zacharow przesyła telegram do Sztabu Generalnego. Sytuacja jest standardowa: o godz. 12.00 obcy samolot przekroczył granicę, o godz. 12.26 wrócił na terytorium Rumunii.

O godz. 12.04 ze stanowiska Cuza Vodă (2 kilometry na północ od Etulii) wystartowały dwa myśliwce I-16, które dostrzegły w powietrzu wskazany samolot lecący w kierunku południowo-zachodnim. Pościg zakończył się bezskutecznie.

Na dokumencie widnieje nakreślona niebieskim ołówkiem notatka z podpisem Żukowa:

Telegram błyskawiczny. Do tow. Zacharowa. Co to znaczy „pościg zakończył się bezskutecznie”, nie możemy [dalej nieczytelne - M.S.]. Udzielam wam upomnienia za tak nieodpowiedzialny raport. Przekazać wyczerpujące dane w celu poinformowania ludowego komisarza i rządu. Kto zawinił?

Tu zrobimy przerwę, uważnie przeczytamy jeszcze raz i zastanowimy się nad tym, co przeczytaliśmy. Przede wszystkim przyjrzymy się odstępowi czasu między powiadomieniem lotniska i startem dyżurnego zastępu. Nikt nie drzemie na „uśpionych lotniskach”; system obserwacji i ostrzegania, łączność punktów obserwacyjnych z lotniskami lotnictwa myśliwskiego pracują jak w zegarku. Jednocześnie nie udaje się przechwycić, zmusić do lądowania lub zniszczyć samolotu-intruza – ale bynajmniej nie z powodu sabotażu czynionego przez satrapa Berię. Wszystko jest o wiele prostsze i bardziej banalne: chcieli, ale nie potrafili. A nie potrafili dlatego, że ówczesny sprzęt nie nadawał się do takich zadań.

Przeciętny samolot myśliwski z początku lat 40. potrzebował 6–7 minut, żeby wzbić się na wysokość 5 kilometrów. Bardzo dobremu, takiemu jak radziecki I-153 albo niemiecki Bf 109F, wystarczyło 5,3 minuty. Im wyżej, tym gorzej, wraz ze wzrostem wysokości lotu prędkość wznoszenia myśliwców tłokowych maleje i wzniesienie się na 8 kilometrów może zająć 10 minut. Ale nawet jedna minuta to 60 sekund, w ciągu których zwiadowca typu Me 110 może bez żyłowania silnika oddalić się o 8 kilometrów. W ciągu pięciu minut – o 40 kilometrów. Po czym, przy braku systemu radiolokacyjnego dozoru i naprowadzania na cel, przechwycenie staje się praktycznie niemożliwe.

A skoro dowódca eskadry 123. pułku lotnictwa myśliwskiego kapitanowi Sawczenko udało się dogonić Me 110 i to na wysokości 8600 metrów – to nie był to zwykły pułk i zwykły kapitan. Utworzony w marcu 1940 roku 123. pułk już przed wojną stał się jednym z najlepszych w Zachodnim SOW, a jego piloci przed rozpoczęciem działań bojowych zdążyli wykonać 7600 godzin lotów. W pierwszym dniu wojny 123. pułk został najsukcesywniejszym pułkiem myśliwskim we wszystkich zgrupowaniach radzieckich

sił powietrznych – zestrzelono lub uszkodzono 8–10 nieprzyjacielskich samolotów. Wynik tym bardziej niesamowity, że na swoich rzeczywiście przestarzałych czajkach myśliwce 123. pułku walczyli z elitarnym pułkiem lotniczym Möldersa (JG-51), który do tego czasu został przebrojony w najnowsze messerschmitty Bf 109 serii F. Po tym, jak w południe 22 czerwca dowódca pułku major Surin zginął w czasie wykonywania czwartego wylotu bojowego, dowództwo nad ocalałymi resztkami 123. i 33. pułku myśliwskiego objął wspomniany już kapitan Sawczenko. 22 czerwca zestrzelił (dokładniej – zameldował o zestrzeleniu) 2 nieprzyjacielskie samoloty, 23 czerwca – 2 kolejne. Niestety los nie był dla niego łaskawy – kilka dni później kapitan Sawczenko zginie podczas lotów szturmowych przeciwko niemieckiej kolumnie zmotoryzowanej w okolicach Bobrujska...

Jednak wróćmy do wydarzeń z ostatnich dni przed wojną. Związek Radziecki miał jeszcze jedną „gorącą granicę”, na Dalekim Wschodzie. I nie przez przypadek znajdujące się tam oddziały już w czasie pokoju zostały połączone we Front Dalekowschodni. To tam doszło do pierwszego (spośród odnalezionych przeze mnie w dokumentach) zniszczenia samolotu-intruza. Dziwnym zrządzeniem losu samolot był produkcji niemieckiej – czteremiejskowy Bf 108A Taifun.

Przekroczyć (przelecieć) granicę w pobliżu rzeki samurajom się udało – ale tylko w jedną stronę. 9 czerwca 1941 roku szef sztabu Frontu Dalekowschodniego generał lejtnant Smorodinow melduje szefowi Sztabu Generalnego generałowi armii Żukowowi:

Po tym, jak japoński samolot mimo żądań pilota, aby wylądował, i serii ostrzegawczej obniżył wysokość lotu i rozpoczął odwrót na dużej prędkości, pilot młodszy lejtnant Kondik wypuścił jedną serię w kierunku samolotu i samolot japoński spadł w rejonie Czernianina. Pilot Kondik został przesłuchany w Woroszyłowskoje osobiście przez dowódcę wojsk frontu towarzysza Apanasienkę. Kondik poinformował, że podjął ryzyko i zbliżył się do japońskiego samolotu, ostrzegł o lądowaniu, ale samolot japoński mimo ostrzeżeń kontynuował odwrót. Po serii ostrzegawczej młodszy lejtnant Kondik, kierując się instrukcjami dowódcy pułku majora Subbotina, zdecydował się otworzyć ogień do samolotu. (...)

W instrukcji dla dyżurnych zastępów, zatwierdzonej przez dowódcę 40. pułku lotnictwa myśliwskiego Subbotina, w pkt. 7 znajduje się następujące polecenie: „Wszystkie obce samoloty przelatujące nad naszym terytorium powinny być zmuszone poprzez ewolucje do lądowania, a w skrajnych przypadkach, podczas prób wycofania się na własne terytorium – zniszczone”. Major Subbotin tłumaczy włączenie tego punktu do swojej instrukcji tym, że w ten sposób zrozumiał i interpretuje punkt 1 rozkazu ludowego komisarza obrony, który stanowi: „Przy naruszeniu granicy przez japońskie samoloty lub statki powietrzne należy otwierać ogień tylko w skrajnych przypadkach – przedostania się do strefy zamkniętej w głębi terytorium okręgu”.

Japoński samolot przeleciał w głąb naszego terytorium do Galenki – 40 km od granicy – i znajdował się nad rejonem umocnionym, który jest zamkniętą strefą. Dowódca wojsk frontu uważa pilota Kondika za niewinnego.

Ten raport jest godny uwagi z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, pojawia się w nim wreszcie rozkaz. Nie mityczny „rozkaz Stalina, który zakazał strzelania”, a bardzo realny rozkaz ludowego komisarza obrony ZSRR precyzujący sytuację, w której nie tylko można było zestrzelić obcy samolot, a wręcz należało. Po drugie, dokument pozwala zrozumieć, z jakich realnych faktów zrodził się późniejszy mit. Owszem, zestrzelenie japońskiego samolotu uznano za incydent nadzwyczajny i do „zbadaania sprawy” młodszego lejtnanta przybył osobiście dowódca Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego, generał armii. Niemniej jednak za sprawą twardego stanowiska wyższych dowódców, którzy nie obarczali odpowiedzialnością podwładnego, nic złego tak celnie strzelającemu pilotowi („Kondik wypuścił jedną serię w kierunku samolotu”) się nie stało.

W drugiej połowie czerwca sytuacja powietrzna na północnym skrzydle przyszłego frontu gwałtownie się pogorszyła – Niemcy przygotowywali się do ofensywy na Murmańsk i gorączkowo nadrabiali stracony czas. 18 czerwca 1941 roku 4 samoloty przekroczyły granicę, zostały ostrzelane przez naszą artylerię przeciwlotniczą, ale odleciały na północ bez szwanku. Szef sztabu Leningradzkiego OW generał major Nikiszew melduje Żuko-

wowi: „Jednostkom wydano polecenie zwiększenia czujności; przy pojawieniu się niezidentyfikowanych samolotów naruszających granicę należy je zestrzelić”. 19 czerwca 1941 roku podobny rozkaz („zniszczyć niezidentyfikowane samoloty naruszające granicę”) wydał podwładnym również dowódca Północnej Strefy Obrony Powietrznej generał major Kriukow.

Rozkazy, nawet najbardziej jednoznaczne, nie pomogły jednak w rozwiązaniu głównego problemu taktyczno-technicznego – mała prędkość i mała moc wznoszenia myśliwców nie pozwalały na przechwycenie intruzów przez samoloty dyżurujące na lotniskach. Okoliczności wymusiły podjęcie niezwykle kosztownych dyżurów powietrznych. 19 czerwca 1941 r. o godz. 14.15 generał major Nikiszew kieruje do Sztabu Generalnego kolejny niepokojący telegram: „Melduję: 19 czerwca o godz. 12.55 samolot Me 110 na wysokości H=1500 m przeleciał granicę państwową i dotarł do lotnisk Szonguj i Murmasze [obwód murmański]. 6 naszych myśliwców nie mogło go dogonić. Rozkazano dyżurnym zastępom przeprowadzać patrole w powietrzu i zestrzelić w przypadku naruszenia granicy”.

20 czerwca Nikiszew przekazał telegraficznie do Sztabu Generalnego szczegółowy raport „O naruszeniach granicy państwowej przez obce samoloty w rejonie Kandałaksza i Murmańsk w okresie 1–19 czerwca”. Opisano 13 przypadków naruszenia, w tym w grupach po 2 i 3 samoloty. Niestety ani myśliwcom, ani artylerii przeciwlotniczej nie udało się nikogo zestrzelić. Ostatnie zdanie raportu brzmi następująco: „Wszystkie samoloty naruszające granicę państwową polecono zestrzelić bez ostrzeżenia przy użyciu wszelkich środków”.

Niestety w przedwojennych dokumentach z czerwca 1941 roku temat lotnictwa nie ogranicza się do doniesień o nieudanych próbach przechwycenia niemieckich samolotów rozpoznawczych. 8 czerwca o godz. 10.00 dowódca Sił Powietrznych Leningradzkiego Okręgu Wojskowego generał major Nikiszew przesyła do ludowego komisarza obrony ZSRR nader lakoniczny telegram: „Melduję, [że o] godz. 15.00 7 czerwca generał major Lewin Aleksander Aleksiejewicz został aresztowany przez szefa III Wydziału”. Kropka. Żadnych pytań ani komentarzy. Tak wzbierała na sile rozpoczęta pod koniec maja fala aresztowań najwyższego dowództwa radzieckiego lotnictwa (generał Lewin w chwili aresztowania zajmował stanowisko zastępcy dowódcy sił powietrznych Leningradzkiego OW). Tego samego dnia, 8 czerwca 1941 roku, zostanie aresztowany generał, inspektor

Sił Powietrznych Armii Czerwonej, zastępca szefa Sztabu Generalnego do spraw lotnictwa, dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego generał major Smuszkiewicz.

Do tej samej kategorii mitów, do której należy słynny „rozkaz Stalina, który zabronił strzelać do niemieckich samolotów”, należy odnieść również szeroko znaną historię o Żukowie i przedpolach ukraińskich rejonów umocnionych. W skrócie przypominam jej treść. Ktoś kiedyś odnalazł i upublicznił (co jest dziwne, skoro stosowne archiwalne akta – CAMO, f. 48, op. 3408, dz. 14 – do dziś są objęte tajemnicą) taki oto dokument:

Do Rady Wojennej Kijowskiego SOW, b/n, 10.06.1941

Dowódca wojsk ochrony pogranicza NKWD USRR doniósł, że dowódcy rejonów umocnionych otrzymali polecenia, żeby zająć przedpola.

Proszę o zameldowanie do ludowego komisarza obrony, na jakiej podstawie jednostki rejonów umocnionych KSOW otrzymały polecenie zajęcia przedpoli. Takie działanie może spowodować Niemców do konfliktu zbrojnego i pociąga za sobą różnego rodzaju konsekwencje. Natychmiast odwołajcie polecenie i zameldujcie, kto dokładnie wydał taki samowolny rozkaz. Żukow.

Publiczności bardzo spodobał się ten tekst. Cytował go każdy, komu się chciało. Wyszukiwarka Yandex od razu podaje do niego 30 tysięcy linków. Jak tu się nie oburzyć – oto mamy „fatalne samooszukiwanie się Stalina”, bohaterskich generałów w terenie i tępych przywódców w Moskwie, którzy myśleli tylko o tym, żeby odwlekać... Ciekawe, że nikt nawet nie zapytał: co wydarzyło się później? Jak potraktowano sprawcę „samowolnego rozkazu”? Oddano na pożarcie wilkom?

Na szczęście wówczas wszyscy przeżyli i dziś możemy zapoznać się z późniejszą korespondencją w sprawie przedpoli:

Do szefa Sztabu Generalnego Armii Czerwonej tow. Żukowa.

W odpowiedzi na 59/SzG melduję, że konstrukcje żelbetowe i część bunkrów batalionowych rejonów umocnionych nr 7, 8, 9, 10 budowy 1940 r. Kowelskiego RU są zajęte przez żołnie-

rzy dwóch batalionów Kowelskiego RU **zgodnie z telegramem szyfrowym podpisanym przez towarzysza Watutina** [tu i dalej podkreślenia moje – M.S.] nr 9/485 z 4.06.br. W pozostałych rejonach umocnionych obiekty polowe nie zostały zajęte.

Dzisiaj polecono wyprowadzić garnizony z punktów ogniowych Kowelskiego RU, które znajdują się mniej niż 3 kilometry od granicy i niezależnie od odległości, ze wszystkich miejsc możliwych do obserwacji od strony niemieckiej. Rozkaz dla komendanta Kowelskiego RU podpisał szef sztabu Purkajew.

Proszę o wskazanie, czy garnizony powinny **kontynuować zajmowanie** obiektów ogniowych na pierwszej linii Włodzimiersko-Wołyńskiego, Strumiłowskiego, Rawsko-Ruskiego i Przemyskiego RU.

Kirponos, Waszugin, Purkajew, 10.06.1941

Uważny czytelnik mógł zauważyć, że na liście rejonów umocnionych Kijowskiego SOW wówczas już obsadzonych garnizonami brakuje dwóch najbardziej wysuniętych na południe. Ale to się szybko zmieniło – 16 czerwca, ponownie z podpisami całego składu Rady Wojennej Kijowskiego SOW, do Sztabu Generalnego wysłano następujący telegram: „Proszę o pozwolenie na zajęcie przez obsadę Kamieniecko-Podolskiego i Mohylewo-Jampolskiego Rejonu Umocnionego obiektów żelbetowych pierwszej linii tych RU”. Na dokumencie widnieje długa decyzja napisana czarnym ołówkiem: „Zezwalam na zajęcie Kamieniecko-Podolskiego i Mohylewo-Jampolskiego RU. Ostropolski RU na starej granicy również przygotować do zajęcia przez oddziały w celu przeszkolenia. Pilnie zakończyć formowanie jednostek do rejonów umocnionych dla Kijowskiego RU, po czym przygotować rejon do zajęcia przez obsadę”. Podpis: „Żukow. 18.06.”.

To, że szef Sztabu Generalnego Żukow zapomniał o poleceniu, które wydał jego pierwszy zastępca Watutin, nie dziwi – nie można pamiętać o wszystkim, szczególnie gdy szef Sztabu Generalnego z Moskwy osobiście dzieli 5 ton kredy we Władywostoku. Zasmuca to, że całkowicie rutynowa korespondencja w sprawach trzeciorzędnych dzięki żywemu pióru współczesnych autorów nabrała walorów dziejowego znaczenia. Przedpola rejonów umocnionych tzw. linii Mołotowa to pas o szerokości kilku kilo-

metrów (a na niektórych odcinkach – setek metrów) wzdłuż granicy. Co mogło zmienić umieszczenie w tym pasie kilku batalionów strzeleckich? W konkretnej sytuacji, jaka zaistniała rankiem 22 czerwca, im mniej było ludzi na przedpolach, tym mniejsze okazały się straty z powodu nagłego pierwszego uderzenia niemieckiej artylerii.

Nowe buty Suworowa

Być może o jednej z najważniejszych decyzji świadczy kartka papieru, na której 11 czerwca 1941 roku zastępca szefa Wydziału Operacyjnego Sztabu Generalnego generała majora Wasilewskiego napisał:

Do dowódcy wojsk Zachodniego SOW

1) W celu zwiększenia gotowości bojowej wojsk okręgu wszystkie dywizje strzeleckie i sztaby korpusów strzeleckich wraz z oddziałami korpuśnymi znajdujące się w głębi okręgu wyprowadzić do obozów na obszarze przewidzianym dla nich w planie osłonowym (dyrektywa ludowego komisarza obrony nr 503859, ściśle tajne/najwyższej wagi).

2) Pozostawić na miejscu przygraniczne dywizje i wziąć pod uwagę, że wysunięcie ich w wyznaczone rejony na granicy w razie potrzeby zostanie przeprowadzone w oddzielnym rozkazie. (...)

4) Wysunięcie wymienionych oddziałów zakończyć przed 1 lipca 1941 r.

Nie ma tu sensacji. Dokument o podobnej treści dla Kijowskiego SOW (dyrektywa ludowego komisarza obrony i Sztabu Generalnego nr 504265 z 13 czerwca 1941 roku) opublikowano w połowie lat 90. (a w pamiętnikach marszałka Bagramiana został prawie dosłownie powtórzony jeszcze w czasach „zastoju”). Zachowany w archiwum rękopis Wasilewskiego pozwala jedynie ustalić datę podjęcia decyzji i potwierdzić dość oczywiste przypuszczenie, że ruchy zaczęły się nie tylko w drugich rzutach wojsk Kijowskiego SOW, ale także innych okręgów przygranicznych. A aspiro-

wać do miana sensacji może 7 stron maszynopisu (CAMO, f. 48, op. 3408, dz. 46, l. 72, 87, 103, 130, 150), na których widnieją meldunki operacyjne sztabu Zachodniego SOW z 12, 13, 14, 15, 16 czerwca. Meldunki mają numery 2, 3, 4, 5, 6. Bardzo zastanawiające numery jak na połowę szóstego miesiąca roku.

W dzienniku działań bojowych Frontu Zachodniego wydarzenia ostatnich przedwojennych dni opisano następująco: „Oddziały ściągaly do granicy zgodnie z poleceniem Sztabu Generalnego Armii Czerwonej. Korpusom i dywizjom nie wydawano rozkazów i poleceń na piśmie. Dowódcy dywizji otrzymywali ustne instrukcje od szefa sztabu okręgu generała majora Klimowskicha. Żołnierzom powiedziano, że szykują się do dużych ćwiczeń. Jednostki zabierały ze sobą cały sprzęt do ćwiczeń (narzędzia, tarce itd.)”.

Podobnie sytuacja przedstawiała się w sąsiednim Bałtyckim SOW. Od 18 czerwca (czyli w połowie roku kalendarzowego i trzy–cztery dni przed „niespodziewanym atakiem”) w sztabach Bałtyckiego SOW pojawiają się dokumenty operacyjne o numerach 1, 2, 3... Najwcześniejszy z ujawnionych dokumentów dotyczy 48. Dywizji Strzeleckiej. Meldunek operacyjny dywizji nr 1 podaje, że „zgodnie z rozkazem dywizja rozpoczęła marsz z Rygi o godz. 23.00 17.06.1941 i po nocnym przemarszu (30 kilometrów) przed godz. 9.00 18.06.1941 ześrodkowała się w lesie na południowy wschód od wsi Dalbie”. Następnie ta sama informacja (o ześrodkowaniu przed godz. 9.00 18 czerwca w lesie przy miejscowości Dalbie) powtarza się w dokumencie o niezwykłym tytule „meldunek bojowy” z numerem 2. Później (19–21 czerwca) dokumenty zatytułowane „meldunek operacyjny”, „meldunek bojowy”, „instrukcja bojowa”, „rozkaz bojowy” z kolejnymi numerami porządkowymi pojawiają się, jak to się mówi, jak „grzyby po deszczu”.

Dalej jest jeszcze ciekawiej. 21 czerwca o godz. 16.45 szef sztabu Frontu Północno-Zachodniego, generał lejtnant Klonow (faktycznie dokument podpisał jego zastępca generał major Truchin) polecił przekazać z zachowaniem tajemnicy szefom wydziałów sztabów oraz zarządów okręgu następujące polecenie: „Niektóre sztaby jednostek oraz wydziały zarządu okręgu w dokumentach i podczas rozmów używają określenia «FRONT», Front Północno-Zachodni itd., ujawniając w ten sposób miejsce i istnienie zarządu frontu. Natychmiast to powstrzymać i w przyszłości sztab oraz

zarządy określać jako Bałtycki SOW”. Oznacza to, że wszyscy (jeżeli mówimy o starszych oficerach) doskonale rozumieli sens i znaczenie faktu rozwinięcia frontu na bazie okręgu: wszyscy rozumieli, co to oznacza, co się później wydarzy i dlaczego takiej tajemnicy nie można przelać na papier nawet z nadrukiem „ściśle tajne” zamkniętym w pancernym sejfie.

A tak przy okazji w odtajnionych dokumentach Bałtyckiego SOW potwierdziła się historia o nowych butach, tak barwnie opisana przez Wiktora Suworowa ćwierć wieku temu:

Meldunek operacyjny nr 3 sztabu 12. KZmech z godz. 15.00
20.06.1941

Jednostka wojskowa 9447 [47. samodzielny zmotoryzowany batalion inżynieryjny 12. Korpusu Zmechanizowanego – M.S.] po wykonaniu przemarszu ma do 50% składu osobowego z otarciami i oparzeniami stóp. To ostatnie według wstępnych danych tłumaczy się tym, że marsz odbył się po drodze z twardą nawierzchnią z posiadaniem nowych butów.

Wróćmy jednak do stolicy ZSRR. 15 czerwca kursanci szkół wojskowych przedterminowo zakończyli drugi rok nauki. Stosowne zarządzenie ludowego komisarza obrony nr 0170, podpisane przez Timoszenkę i Żukowa, wydano 14 maja 1941 roku („Zakończyć rok bez egzaminów, na podstawie wyników w nauce. Po zakończeniu kadetów natychmiast wysłać do jednostek docelowych”). Nie była to jedyna decyzja kadrowa warta odnotowania. 4 czerwca 1941 roku na posiedzeniu Biura Politycznego KC WKP(b) postanowiono „zatwierdzić powołanie w Armii Czerwonej jednej dywizji strzeleckiej obsadzonej żołnierzami polskiej narodowości i znającymi język polski”. Wykonanie – 1 lipca 1941 roku. Po co Stalinowi dywizja mówiąca po polsku? Czy rosyjska ziemia nie rodzi już bohaterów i do obrony granic ZSRR pilnie są potrzebni Polacy?

I nie tylko Polacy. 20 czerwca 1941 roku Sztab Generalny otrzymuje telegram od szefa sztabu Kijowskiego SOW generała lejtnanta Purkajewa: „Zgodnie z decyzją Rady Wojennej okręgu proszę o zgodę na przeprowadzenie od 10 lipca trzymiesięcznego obozu szkoleniowego dla radiooperatorów-spadochroniarzy dla rozpoznania na czas wojny w liczbie 400 osób oraz o polecenie zaopatrzenia obozu w materiały. Szkolenie zostanie prze-

prowadzone wśród poborowych i osób podlegających obowiązkowi służby wojskowej ze znajomością języka niemieckiego, polskiego, rumuńskiego i węgierskiego przy 394. i 561. dywizjonie radiotechnicznym”. Decyzja zapisana niebieskim ołówkiem: „Do tow. Sokołowskiego. Zgoda. Wydać polecenia. Żukow”.

Zamierzali bronić się nie tylko przy pomocy spadochroniarzy znających język węgierski i rumuński, ale także w ścisłej współpracy z marynarką wojenną. 4 czerwca szef sztabu Odeskiego OW generał major Zacharow przesyła do Sztabu Generalnego telegram: „W celu dopracowania kwestii współdziałania pomiędzy szturmowym desantem morskim i powietrznym podczas zbliżających się ćwiczeń Floty Czarnomorskiej w dniach 15–17 czerwca planowane jest lądowanie desantu powietrznego. Proszę o instrukcje dla Głównego Zarządu Sił Powietrznych Armii Czerwonej w sprawie przekazania okręgowi 5 samolotów TB-3 wraz z ich lądowaniem na lotnisku Wozniesiensk 10 czerwca 1941 r.”.

20 czerwca o godz. 3.00 do wydziału szyfrów Sztabu Generalnego wpłynęły trzy telegramy od Watutina, adresowane do dowódców Odeskiego, Bałtyckiego i Leningradzkiego Okręgu. Polecały „najpóźniej do 23.06.1941 przekazać do Sztabu Generalnego opracowanie w kwestii współdziałania” z flotami – odpowiednio Czarnomorską, Bałtycką i Północną. O godz. 5 rano 21 czerwca telegram o podobnej treści wysłano również do dowódcy Zakaukaskiego Okręgu Wojskowego.

Dwa Dni „M”?

Istnieje uwieczniony na papierze opis reakcji Stalina na doniesienie o niemieckim najeździe. Sporządził go jeden z głównych uczestników wydarzeń – marszałek Żukow. 19 maja 1956 roku przygotował i przedłożył Chruszczowowi do akceptacji projekt referatu na Plenum KC KPZR. Plenum się nie odbyło, ale w archiwach do naszych dni zachował się tekst niewygłoszonego przemówienia Żukowa: „Stalin, oddychając ciężko do słuchawki, przez kilka minut nie mógł nic powiedzieć, a na zadane ponownie pytania odpowiedział: «To jest prowokacja niemieckich wojskowych. Nie otwierać ognia, żeby nie rozpętać szerszych działań». (...) Po przybyciu do KC Sta-

lin potwierdził swoją myśl o prowokacji Niemców. Nie przekonały go informacje, że oddziały niemieckie na szeregu odcinków już wdarły się na nasze terytorium i że nieprzyjaciel rozpoczął prawdziwą, przygotowaną wcześniej wojnę”.

Czy można w to wierzyć? Żukow miał wygłosić referat na plenum w obecności żywego świadka tego wydarzenia (wiosną 1956 roku Mołotow wciąż był członkiem KC) i dlatego istnieją poważne powody, by przypuszczać, że tym razem pamięć nie zawiodła Żukowa. W każdym razie istnieje nieporównywalnie bardziej ważne potwierdzenie, że rankiem 22 czerwca Stalin nie spodziewał się niemieckiego najazdu.

Powszechną mobilizację w ZSRR ogłoszono nie przed rozpoczęciem wojny i nawet nie w dniu jej wybuchu, a dopiero 23 czerwca. To absolutnie niemożliwa, niewiarygodna sytuacja. To się nigdzie nie zdarzyło: Niemcy i Polska, Francja i Finlandia, Włochy i Belgia – wszystkie te kraje rozpocząły mobilizację kilka dni lub nawet kilka tygodni przed wojną. Jeżeli chodzi o przestawienie radzieckich kolei na tryb przewozów wojennych, to dokonano tego nie 22 i nawet nie 23, a dopiero o godz. 18.00 24 czerwca, trzeciego dnia wojny! Dla porównania – Niemcy wprowadzili specjalny tryb przewozów wojennych miesiąc przed rozpoczęciem najazdu (22 maja 1941 r.), a podczas rozwijania Armii Czerwonej przed wojną z ledwo żywą Polską koleje w europejskiej części ZSRR przestawiono na tryb specjalny 12 września 1939 roku, czyli pięć dni przed rozpoczęciem operacji.

Uderza zaskakująco beznamiętny ton stosownego dekretu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR, nie ma w tekście najmniejszej wzmianki o najeździe niemieckich wojsk. Wszystko jest zupełnie zwyczajne: „Na podstawie art. 49 pkt L Konstytucji ZSRR Prezydium Rady Najwyższej ogłasza mobilizację na terytorium okręgów wojskowych [wymieniono okręgi – M.S.]. Mobilizowane będą osoby podlegające obowiązkowi służby wojennej urodzone między 1905 i 1918 rokiem włącznie. Pierwszym dniem mobilizacji będzie 23 czerwca 1941 roku”. To wszystko. Ani „bezprecedensowego w historii cywilizacji wiarołomstwa”, które piętnował w przemówieniu radiowym Mołotow, ani „niesłychanego w swej zuchwałości ataku”, wspomnianego w ściśle tajnej, nieprzeznaczonej dla celów propagandowych dyrektywie nr 2 (podpisana przez Timoszenkę, Żukowa i Malenkowa ukażała się o godz. 7.15 22 czerwca).

Odtajnione dokumenty pozwalają przybliżyć i dokładniej się przyjrzeć procesowi ogłoszenia mobilizacji w ZSRR. Przy tym wyłania się nadzwyczaj dziwny obraz.

Za pierwszą z szeregu zaskakujących rzeczy należy uznać fakt, że w archiwalnej teczce „Wysłane szyfrogramy ludowego komisarza obrony od 3.01. do 28.12.1941 r.” (CAMO, f. 48, op. 3408, dz. 3, odtajnione 4.06.2010 r.) brakuje telegramu ludowego komisarza obrony Timoszenki z ogłoszeniem mobilizacji, nie ma żadnych śladów podjęcia tej bardzo poważnej decyzji. Jeśli chodzi o archiwalną teczkę „Wysłane szyfrogramy szefa Sztabu Generalnego od 7.01. do 27.06.1941 r.” (CAMO, f. 48, op. 3408, dz. 14), to niestety do dziś nie została odtajniona.

Nie mamy tekstu telegramu zapowiadającego mobilizację, ale jest jego zwielokrotnione „echo”, odnotowane w przychodzących dokumentach Ludowego Komisarzatu Obrony i Sztabu Generalnego (CAMO, f. 48, op. 3408, dz. 47). Karty 20–57 wspomnianego zespołu archiwalnego stanowią telegramy, w których szefowie sztabów okręgów wojskowych potwierdzają otrzymanie rozkazu o mobilizacji. „Telegram dotyczący mobilizacji nr 2206 do schematu «Przerwa» otrzymano 22 czerwca o godz. 17.40. (...) Telegram mobilizacyjny nr 2206 do schematu «Niepokój» otrzymano 22 czerwca o godz. 18.28. (...) Telegram dotyczący mobilizacji z nazwą schematu «Młot» otrzymano 22 czerwca o godz. 18.30 (...) Telegram mobilizacyjny do schematu «Nawałnica» odebrany przez sztab okręgu o godz. 18.30. (...) Schemat «Zwycięstwo» (...) «Burza» (...) «Gwiazda»”.

Wszystko pięknie – tylko co oznaczają te „Gwiazda”, „Nawałnica” i „Burza” z „Młotem”? Jaką mobilizację zapowiedział telegram ludowego komisarza obrony?

Wyjaśnię pytanie. Plan mobilizacyjny z 1941 roku (MP-41) przewidywał **dwa warianty** przeprowadzenia mobilizacji. W jednym przypadku **decyzją rządu** (Rady Komisarzy Ludowych ZSRR) prowadzono ukrytą mobilizację poszczególnych okręgów wojskowych, formacji i jednostek. W tym przypadku mobilizacja rezerwistów odbywała się na podstawie personalnych wezwań, bez ogłaszania w gazetach i radiu. Drugi wariant, jawnej (ogłoszanej publicznie) mobilizacji całych Sił Zbrojnych Związku Radzieckiego lub poszczególnych okręgów wojskowych, był wprowadzany **dekretom Prezydium** Rady Najwyższej ZSRR.

A teraz uważnie przyglądamy się telegramowi nr M/618, pismu wychodzącemu nr 20093, które zastępca szefa Sztabu Generalnego do spraw mobilizacji generał lejtnant Sokołowski skierował (przekazano do wydziału szyfrów 22 czerwca o godz. 18.00, wysłano do adresatów między godz. 20.40 i 23.40) do dowódców Zakaukaskiego, Środkowoazjatyckiego i Zabajkalskiego Okręgu oraz Frontu Dalekowschodniego: „Na terytorium Związku Radzieckiego z **wyjątkiem ZakOW**, SAOW, ZabOW i FDW **rząd** [podkreślenie moje – M.S.] ogłosił mobilizację. Ludowy komisarz obrony polecił: Pozostałe okręgi powinny wykonać wyznaczone im normy naboru za pomocą niejawnych wezwań i skierować do jednostek tych okręgów według opracowanych planów”.

Czy generał Sokołowski, „szef mobilizacji”, się pomylił? Zapomniał o różnicy między powszechną jawną i częściowo ukrytą mobilizacją, pomylił rząd z Prezydium Rady Najwyższej, a więc, strach powiedzieć, przyrównał Wodza Narodów towarzysza Stalina do wszechzwiązkowego starosty Kalinina? To też jest możliwe, ludzie się mylą. Jednak wówczas będziemy musieli przyznać, że Sokołowski dwukrotnie się pomylił w jednym telegramie. Chodzi o to, że w dekrete Prezydium Rady Najwyższej ZSRR wśród okręgów podlegających mobilizacji wymieniono również Zakaukaski Okręg!

Potem nastąpiła nerwowa wymiana telegramów między Tbilisi i Moskwą. O godz. 19.20 22 czerwca do wydziału szyfrów Sztabu Generalnego wpłynął telegram podpisany przez Radę Wojenną ZakOW w pełnym składzie (Kozłow, Szamanin, Tołbuchin): „Do tej pory nie mam instrukcji. Proszę telegrafować”. Nie otrzymano jeszcze telegramu Sokołowskiego nr M/618, publiczne ogłoszenie jawnej mobilizacji na mocy dekretu Prezydium, jak można zrozumieć, również nie nastąpiło.

Już po północy (otrzymano o godz. 2.45 23 czerwca) szef sztabu Okręgu Zakaukaskiego generał major Tołbuchin wysyła do szefa Sztabu Generalnego następujący telegram: „Dekretem Prezydium Rady Najwyższej ZSRR ogłoszono mobilizację ZakOW. W telegramie Waszego zastępcy towarzysza Sokołowskiego nr M/618 wręcz przeciwnie podano, że ZakOW nie prowadzi mobilizacji. Telegramu mobilizacyjnego nie otrzymaliśmy. Próby ustalenia, czym się kierować i czy będzie telegram mobilizacyjny, nie powiodły się ani bezpośrednio, ani telefonicznie. Proszę podać ostateczną instrukcję”.

A oto „ostateczna instrukcja” od Sokołowskiego (telegram nr M/627, pismo wychodzące nr 20229, przekazano do wydziału szyfrów o godz. 3.40 23 czerwca): „Do dowódcy Zakaukaskiego OW. Do wiadomości: dowódca PKOW, MOW, LOW. **Na mocy dekretu Prezydium** [podkreślenie moje – M.S.] Rady Najwyższej ZSRR z 22.06.1941 r. ogłoszona zostaje powszechna jawna mobilizacja rezerwistów zgodnie z PM-41 na terytorium Zakaukaskiego OW. Pierwszym dniem mobilizacji będzie 23 czerwca 1941 r. Telegram nr M/618 z 22.06.1941 r. dotyczący ZakOW – odwołać. Zawiadomienie przeprowadzić na mocy rozkazu okręgu”.

Przed telegramem nr M/627 były oczywiście telegramy Sokołowskiego o numerach 625 i 626. Przekazane do wydziału szyfrującego Sztabu Generalnego o godz. 3.00 23 czerwca, skierowane odpowiednio do dowódców Północnokaukaskiego i Charkowskiego Okręgu Wojskowego. Zwróćmy uwagę, że pierwszy telegram w sprawie mobilizacji otrzymały o godz. 17.30 i 18.00 22 czerwca. Ponadto dowódca Charkowskiego OW generał lejtnant Smirnow – na szczęście dla przyszłych historyków – potwierdzenie odbioru sformułował w następujący sposób: „Telegram [w sprawie] przeprowadzenia **częściowej** [tu i dalej podkreślenia moje – M.S.] mobilizacji otrzymałem 22.06. o godz. 18.00”. Mało tego, generał Smirnow wysłał do Moskwy jeszcze jeden telegram: „W związku z ogłoszeniem w Charkowskim Okręgu Wojskowym **częściowej** mobilizacji nadajcie polecenie wykonania”.

I dopiero później, o godz. 3 nad ranem 23 czerwca, Sokołowski telegrafuje do Charkowskiego i Północnokaukaskiego Okręgu: „Na terytorium Waszego okręgu ogłoszono **powszechną** mobilizację. Wszystkie jednostki wojskowe i instytucje przewidziane w planie rozwinięcia podlegają mobilizacji”. Najciekawsze są drobne szczegóły. Tekst telegramów nr M/625 i 626 został napisany odręcznie, jednym piórem i jednym atramentem. Do tych gotowych „szymeli” innym atramentem wpisano: numery telegramów, adnotację „Pilne, poza kolejnością”, podpis Sokołowskiego, datę (23) przy słowie „czerwca”. Przy tym w telegramie wysłanym do Charkowskiego Okręgu zapomniano wpisać datę, więc zostało tam „... czerwca 1941 r.”.

Pozorny chaos telegramów, numerów i dat po prostu tworzy całkiem jasny obraz: mobilizacje były dwie. O godz. 16.00 22 czerwca Timoszenko i Żukow wyszli z gabinetu szefa rządu ZSRR towarzysza Stalina. Następnie, gdzieś około godz. 17.00, do okręgów trafia pierwszy telegram z rozka-

zem ogłoszenia tajnej mobilizacji na mocy decyzji rządu. Telegram otrzymano, wysłano potwierdzenia do Moskwy, zadano pytania. Wszyscy zabrali się do pracy. Po czym niezależnie od tego w okolicach północy pojawia się dekret Prezydium Rady Najwyższej ZSRR o ogłoszeniu jawnej mobilizacji od 23 czerwca 1941 roku. O godzinie 3 nad ranem 23 czerwca zastępca szefa Sztabu Generalnego do spraw mobilizacji generał lejtnant Sokołowski zaczyna rozsyłać drugi telegram, używając do tego wcześniej przygotowane odręczne formularze, w których już wcześniej wpisano jako miesiąc czerwiec.

Chronologia jest jasna. Zupełnie niezrozumiała jest logika: po co dwa razy w ciągu jednego dnia (a dokładnie nocy) ogłasza się dwie mobilizacje?

Przed sformułowaniem hipotezy wymieńmy pokrótce to, co nie może już budzić wątpliwości.

Pierwsze. W czerwcu 1941 roku Armia Czerwona była w stanie ukrytego rozwinięcia. Na bazie sztabów i jednostek okręgów wewnętrznych tworzono armie odwodu Naczelnego Dowództwa, te armie załadowano do składów kolejowych i z zachowaniem ścisłej tajemnicy przetransportowano na linię Dźwiny i Dniepru. Krótkimi nocnymi przemarszami zmierzały na zachód tzw. dywizje głębinowe, czyli drugie rzuty oddziałów okręgów przygranicznych. Pod przykrywką ćwiczeń powołano do armii prawie 800 tysięcy rezerwistów. Od 12–18 czerwca (w każdym okręgu inaczej) w dokumentach okręgów pojawiają się meldunki operacyjne i rozkazy o numerach 1, 2, 3... Co najmniej przed 20–21 czerwca na bazie okręgów przygranicznych powstały fronty, których zarządy przenoszą się na polowe punkty dowodzenia. Korpusy zmechanizowane opuszczają miejsca stałego rozmieszczenia i ruszają do schowanych w lasach punktów ześrodkowania. Jeszcze raz podkreślmy, że to dzieje się przed niemieckim najazdem, przed ogłoszeniem powszechnej mobilizacji, przy zachowaniu trybu pracy kolei dla czasu pokoju.

Drugie. Najazd wojsk niemieckich, który rozpoczął się o świcie 22 czerwca 1941 roku, wprawił towarzysza Stalina i jego najbliższych współpracowników w stan całkowitego zdumienia. Zamieszanie i chaos na najwyższych szczeblach władzy były tak duże, że nawet zupełnie oczywiste i pilne decyzje (mobilizacja i koleje) podjęto w sposób niezwykle niezorganizowany i z niedopuszczalnym opóźnieniem.

A teraz pozostaje nam dodać tylko jedno brakujące ogniwo, żeby wszystkie te różnorodne, a czasami wykluczające się fakty połączyły się w jeden harmonijny system. Załóżmy, że na 22 czerwca Stalin zaplanował ważne wydarzenie. Jedno z najważniejszych w ogólnej sekwencji tajnego rozwinięcia strategicznego sił zbrojnych.

Założmy, że na 22 czerwca zaplanowano prowokację (serię prowokacji), która miała upozorować agresywne działania Niemiec przeciwko ZSRR. Mogło to być ostrzelanie przez artylerię posterunku granicznego, zbombardowanie radzieckich miast, „atak” grupy przebranych w niemieckie mundury „dywersantów” itd. Po przeprowadzeniu zaplanowanego przedstawienia następnego dnia (23 czerwca) lub w jeden z najbliższych dni miało nastąpić ogłoszenie jawnej mobilizacji. Bardzo możliwe, że o zaplanowanej mobilizacji nie wiedzieli nawet ludowy komisarz obrony Timoszenko i szef Sztabu Generalnego Żukow; Stalin postawił przed nimi zadanie: nie poddawać się na prowokacji, i oni konsekwentnie zmuszali do tego (i zmusili!) swoich podwładnych.

Rankiem 22 czerwca, po otrzymaniu wiadomości, że zamiast zamówionego przedstawienia rozpoczął się prawdziwy niemiecki najazd, Stalin wpadł w chwilowy stupor. Miał powody! Taki zbieg okoliczności nie mógł się wydarzyć, bo nie mógł się wydarzyć nigdy... Upłynęło około 12 godzin, zanim „kolektywny Stalin” doszedł do siebie i zaczął podejmować jakieś przemyślane działania, między innymi sformalizowano decyzję rządu ZSRR dotyczącą ogłoszenia częściowej mobilizacji. Jednocześnie i równoległe z tym wciąż obracały się tryby pierwotnego planu rozpętania wojny. Blżej północy 22 czerwca odpowiednie elementy się zazębiły i ogłoszono (przed niemieckim najazdem) dekret Prezydium Rady Najwyższej w sprawie powszechnej jawnej mobilizacji od 23 czerwca.

Ta hipoteza nie ma bezpośredniego potwierdzenia w dokumentach i nigdy nie będzie go miała. Jeśli istniały jakieś zapisane na papierze decyzje przeprowadzeniu prowokacyjnych działań (co samo w sobie jest bardzo wątpliwe), to zostały one zniszczone już w czerwcu 1941 roku. Wraz z wykonawcami wtajemniczonymi w tego rodzaju sprawy. Niemniej jednak ośmielę się przypomnieć wykształconym czytelnikom, że żaden człowiek na Ziemi nie widział protonów, neutronów i elektronów krążących wokół jądra. Hipoteza o ich istnieniu została powszechnie uznana za prawdę

naukową tylko dlatego, że w jej ramach można było w sposób spójny wyjaśnić zjawiska faktycznie obserwowane w makrokosmosie.

Rękopisy nie płoną

Pewnego pięknego dnia w czytelni Centralnego Archiwum Ministerstwa Obrony w Podolsku podszedł do mnie nieznamy młody człowiek (jak się okazało, Michaił Timin, autor bardzo pouczających artykułów z historii lotnictwa). „Pan Mark Sołonin? Proszę spojrzeć, może uzna to pan za interesujące”. Na jego biurku leżała opaska teczka z dokumentami. Nie były to „specjalne teuczki” Biura Politycznego KC WKP(b), lecz protokoły komso-molskich zebrań i doniesienia polityczne jednostek 19. Dywizji Lotnictwa Bombowego (CAMO, f. 20075, op. 1, dz. 11).

1. 8 J/w 2622. Wiec w związku z zuchwałą prowokacją niemieckiego faszyzmu. (...) Jesteśmy gotowi w każdej chwili, nie szczędząc życia, rzucić się na bezczelnego prowokatora wojny. (...)

1. 10 Towarzysze kursanci! [To wiec w dywizyjnej szkole młodszych specjalistów lotniczych – M.S.] Komunikat Rady Wojennej Kijowskiego SOW o dywersyjnej napaści faszyzmu niemieckiego na terytorium Związku Radzieckiego wywołuje u mnie przemożną chęć udania się na pierwszą linię, aby rozgromić wroga. (...)

1. 12 Po wysłuchaniu informacji zastępcy kierownika szkoły do spraw politycznych politruka Margulisa w sprawie bezczelnego prowokacyjnego wybryku niemieckiego faszyzmu i bombardowania miast żołnierze i oficerowie uznali ten dywersyjny wypad za działania prowokacyjne mające na celu wciągnięcie Związku Radzieckiego do wojny.

Dywizja stacjonowała na południowy zachód od Kijowa, w pasie Berdyczów–Biała Cerkiew. Tego dnia na pozycje dywizji nie spadła ani jedna niemiecka bomba, a 300 kilometrów od granicy nie słyhać było dział artyler-

ryjskich; nad Białą Cerkwią świeciło słońce i śpiewały ptaki. W pierwszym dniu wojny piloci 19. Dywizji Lotnictwa Bombowego nie wykonali ani jednego lotu (bombardowania czy rozpoznania), więc komsomolcy i kadeci nie mieli „własnych” źródeł informacji o tym, co się dzieje. Było tylko przemówienie zastępcy szefa rządu, najbliższego współpracownika Wielkiego Stalina towarzysza Mołotowa w ogólnokrajowym radiu (o godz. 12.00). A o czym mówił towarzysz Mołotow? O tym, że zaczęła się WOJNA. To słowo powtarza się w przemówieniu Mołotowa trzykrotnie. Wojna. Wojna! WOJNA!!!

Ale kadeci go nie słyszą, a politruk Margulis upiera się przy swoim: prowokacja, działania prowokacyjne, prowokacyjny wybryk, dywersyjny atak... Skąd się to wzięło? Czy w przemówieniu Mołotowa użyto słowa „prowokacja”? Użyto, nawet dwukrotnie – ale za każdym razem w związku z działaniami ZSRR, a dokładniej w związku z tym, co wrogowie przypisują Związkowi Radzieckiemu („komunikat rumuńskiego radia o rzekomym ostrzelaniu rumuńskich lotnisk przez lotnictwo radzieckie jest absolutnym kłamstwem i **prowokacją**. Podobnie jak dzisiejsza deklaracja Hitlera również jest kłamstwem i **prowokacją**”). Jeżeli chodzi o Niemców, to ich działań Mołotow ani razu nie określił jak prowokacji! Tylko jako atak albo wojnę.

Te dziwne dokumenty przypomniały mi historię, którą słyszałem 10 lat temu. Zostałem przedstawiony starszemu mężczyźnie. Szanowany człowiek, przed wojną był redaktorem jednej z leningradzkich gazet. Późną jesienią 1939 roku wezwano go do „wydziału”, gdzie wręczono mu zalakowaną kopertę; nakazano nie dotykać pieczęci, zamknąć ją w sejfie i otworzyć po otrzymaniu polecenia. Polecenie nadeszło 26 listopada 1939 roku. W kopercie były informacje, że białofińska klika wojskowa podle i wiarolomnie ostrzelała radzieckie terytorium w pobliżu wsi Majniła oraz wytyczne – jak to przedstawić w gazecie. „Wyobrażasz sobie – ekscytował się starszy pan – jak działał nasz wywiad! Miesiąc wcześniej wszystko o Finach wiedzieli! I kiedy, i gdzie, i co”.

LEBIEŻANY–NOWA MYSZ

Lebieżany i Nowa Mysz. Spróbujcie wpisać w dowolnej wyszukiwarce te dwie nazwy miejscowości, a od razu otrzymacie kilkaset linków do tekstów wojennohistorycznych różnych autorów, w których powtarza się to samo zdanie: „4. Dywizja Pancerna o godz. 18.00 24 czerwca ześrodkowała się w rejonie Lebieżany–Nowa Mysz”. Większość autorów cytuje siebie nawzajem, ale pierwotne zdanie pochodzi z meldunku operacyjnego nr 8 sztabu Frontu Zachodniego z godz. 20.00 27 czerwca 1941 r. Dokument ukazał się dawno temu, w latach 60. w serii „Sbornik bojowych dokumentów WOW” (SBD, nr 35, s. 51).

Co w tym prostym zdaniu przyciągnęło tak wielką uwagę pisarzy i czytelników? Niestety. Zupełnie nie to, co było w nim naprawdę ważne, a ciąg dalszy: „ze stratami sięgającymi 20–26%, głównie wśród małych czołgów; czołgi KW nie zawsze ponoszą straty, nawet wskutek bezpośredniego trafienia pociskiem”. Właśnie to wydało się niezwykle interesujące dla współczesnego czytelnika literatury wojennohistorycznej, spędzającego wolny czas przy komputerze na symulatorach wojennych i zażartych internetowych dyskusjach na odwieczny temat „Czy samolot może zniszczyć czołg”? Prawdziwy, niepodważalny, „archiwalny” (!!!) dokument w takich dyskusjach jest rzeczą niezbędną. Właśnie dlatego Lebieżany i Nowa Mysz stały się tak popularne.

Podczas pracy nad pierwszą książką (*22 czerwca 1941, czyli jak zaczęła się Wielka Wojna Ojczyźniana*) próbowałem odnaleźć tę Nową Mysz, ale chociaż długo się wpatrywałem w mapę działań bojowych 4. Dywizji Pancerniej, nie udało mi się znaleźć tej miejscowości lub jakiegokolwiek podobnej. Minęło ponad 10 lat i w zasobach archiwalnych Zarządu Operacyjnego Frontu Zachodniego, w teczce nr 29 o niewiele mówiącym tytule „Korespondencja różna”, odnalazłem doniesienie, na którego podstawie prawdo-

podobnie spisano meldunek operacyjny nr 8 sztabu Frontu Zachodniego. Zwykłym ołówkiem na pożółkłej już teraz kartce papieru zanotowano:

Dane zebrane przez delegatów sztabu frontu wykazały:

1. 25.06. Baranowicze były w naszych rękach. 17. Korpus Zmechanizowany zorganizował obronę, zniszczył ogniem artylerii do 40 nieprzyjacielskich czołgów i nadal utrzymuje pozycje.

2. 4. Dywizja pancerna 24.06. o godz. 17-18 znajdowała się w rejonie Lebieżany-Nowa Mysz (delegat osobiście widział dywizję); straty do 20-25%, głównie czołgi lekkie, KW nie szkodzą nawet bezpośrednio trafienia pocisków.

3. 7. Dywizja Pancerna była w drodze między Wołkowyskiem i Baranowiczami, prowadząc arriergardę walki na zachód od Wołkowyska.

4. Resztki 13. Korpusu Zmechanizowanego 24.06. zbierały się w rejonie Stołbcy-Baranowicze [nieczytelne] pojedynczy ludzie i pojazdy.

5. 24.06. o godz. 23.00 w rejonie Stołbcy [odkryto] resztki pułku motocyklowego 6. Korpusu Zmechanizowanego (poniósł duże straty, kiedy walczył z desantem lotniczym [nieprzyjaciela] siłami do 300 ludzi, przy wsparciu potężnego nalotu lotnictwa).

Delegaci: inżynier wojskowy trzeciego stopnia S... [nieczytelne] oraz intendent trzeciego stopnia Sidorow zameldowali:

1. 22. Dywizja Pancerna w rejonie Prużan dwukrotnie atakowała nieprzyjaciela, niszcząc do 40 czołgów. Sama jest prawie całkowicie zniszczona (pozostało 25 czołgów).

2. 30. Dywizja Pancerna straciła większość czołgów [nieczytelne], gdy opuszczając miasteczko, została zbombardowana przez lotnictwo. Ogółem w korpusie [14. Korpusie Zmechanizowanym] pozostało do 60 czołgów.

3. 4. Dywizja Pancerna 24.06. o godz. 14.00 wyruszyła ze Słonimia do Baranowicz.

Poniżej dopisano innym charakterem pisma, z jakiegoś powodu zaczynając od numeru ósmego:

8. Stare Drogi i Słuck zajęte w nocy z 26 na 27 przez nieprzyjaciela.

W pobliżu Bobrujska znajdują się resztki 42., 121. Dywizji Strzeleckiej oraz sztab 47. Korpusu Strzeleckiego. Brak danych dotyczących sztabu 4. Armii. (CAMO, f. 208, op. 2511, dz. 29, l. 67)

„Co za bzdury – pomyślałem. – Jakie Baranowicze?” Jak 4. Dywizja Pancerna mogła wyruszyć ze Słonimia do Baranowicz, skoro w tym samym czasie brała udział w kontrofensywie 6. Korpusu Zmechanizowanego w rejonie Indura–Dubowa Stara (25 kilometrów na południe od Grodna)? Gdzie Grodno, a gdzie Baranowicze... Ale długo nie musiałem się dziwić. Był to 2012 rok, istniały szybki internet i wyszukiwarka Google Maps. Nowa Mysz ¹ znalazła się błyskawicznie. 7 kilometrów na północny zachód od Baranowicz, przy autostradzie Brześć–Mińsk. W przedwojennej Polsce mieściła się tu siedziba gminy. Do gminy należało miasteczko Lebieżany (na współczesnych mapach już go nie ma); obie miejscowości przylegały do wiejskiej drogi wiodącej z Baranowicz do miasteczka Mołczadź. To tam wieczorem 24 (dwudziestego czwartego) czerwca 1941 roku znalazła się 4. Dywizja Pancerna. Wydaje się, że fakt ten zaskoczył również autora doniesienia, który uznał za konieczne sprecyzować: „delegat osobiście widział dywizję”.



Teraz od prostego (cytowanie dokumentów) przejdźmy do jeszcze prostszego: do arytmetyki i geografii. Od Dubowej Starej i Indury (gdzie według niektórych współczesnych pisarzy jeden dywizjon niemieckich armat przeciwlotniczych kalibru 88 mm zniszczył 300 czołgów T-34 i KW z 6. Korpusu Zmechanizowanego) do Baranowicz jest 140 kilometrów w linii prostej. Czołgi jednak nie latają w linii prostej, a wśród bagnistych lasów zachodniej Białorusi ogromna wielokilometrowa kolumna dywizji pancernej mogła się poruszać tylko po kilku krętych drogach, więc rzeczywista odległość staje się jeszcze większa. Trasę między Indurą i Baranowiczami przecinają 4 (!) rzeki: Świsłocz, Roś, Zelwianka, Szczara. Może nie są to największe rzeki, nie Amur i Jenisej, ale dla przeprawienia się przez nie czołgi potrzebują mostu. I nie może to być wiejski drewniany most, a solidna konstrukcja, która utrzyma trzydziestotonowy T-34 i pięćdziesięcotonowy KW. Znalezienie takiego mostu w tamtej okolicy nie było łatwe, a jeszcze trudniejsze było zbudowanie przeprawy promowej o wymaganej nośności.

Ale to nie wszystko! 24 czerwca 1941 roku toczyła się wojna. Po zdobyciu przewagi w powietrzu niemieckie lotnictwo bombardowało mosty i przeprawy. Niemiecki 47. Korpus Pancerny, z marszu przebijając się przez obronę wojsk radzieckich na północ od Brześcia, pokonał w ciągu dwóch

dni 150 kilometrów wzdłuż drogi Prużany–Rużana i rankiem 24 czerwca dotarł do miasta Słonim, na głębokie tyły białostockiego zgrupowania oddziałów Frontu Zachodniego. Przez cały dzień 24 czerwca w pobliżu Słonimia trwała zacięta bitwa, w której szale zwycięstwa przechylały się to na jedną, to na drugą stronę, i żeby sprawdzić, skąd się wzięło nieoczekiwane opóźnienie ofensywy, na miejsce przybył osobiście Guderian, dowódca 2. Grupy Pancерnej Wehrmachtu. Dopiero następnego dnia, 25 czerwca, zaangażowawszy rezerwy, Niemcy zdołali przełamać obronę 121., 143. i 155. Dywizji Strzeleckiej (drugi rzut oddziałów Frontu Zachodniego), zając Słonim i wyjść na wschodni brzeg rzeki Szczary.

W takich okolicznościach „prześlizgnąć się niczym mysz” przez Słonim do Baranowicz (43 kilometry współczesnymi drogami) dywizji pancерnej byłoby trudno; najprawdopodobniej kierująca się na wschód pancerna lawa ominęła Słonim od północy i ruszyła leśnymi drogami na Nową Mysz.

Z tego, co zostało wcześniej powiedziane, wyłania się następujący, oczywisty i niewiarygodny obraz: aby wieczorem 24 czerwca znaleźć się w pobliżu Lebieżan i Nowej Myszy 4. Dywizja Pancerna musiała wyruszyć z Białegostoku i Gródka (wyjściowa linia ześrodkowania dywizji) w południe 23 czerwca. 150 kilometrów drogi i cztery przeprawy w półtora dnia to granica rzeczywistych możliwości marszowych ówczesnej radzieckiej dywizji pancерnej. Innymi słowy, na pole walki przy Indurze i Dubowej Starej dywizja nawet nie zajrzała. Była zbyt zajęta... Niewiele dłużej, według „danych zebranych przez delegatów sztabu frontu”, walczył pułk motocyklowy 6. Korpusu Zmechanizowanego, który późnym wieczorem 24 czerwca znalazł się aż w Słobcach – a to kolejne 50 kilometrów na północny wschód od Baranowicz.

Zupełnie „nie na swoim miejscu” znalazła się 7. Dywizja Pancerna 6. Korpusu Zmechanizowanego. Delegaci sztabu frontu odnaleźli ją (przyuszczalnie 24–25 czerwca, jak można wnioskować z kontekstu doniesienia) „w drodze między Wołkowyskiem i Baranowiczami”, ale w słynnym raporcie dowódca dywizji generał major Borziłow stwierdził, że dopiero „w nocy z 26 na 27.06. przeprowadzono się przez rzekę Świsłocz na wschód od wsi Krynki”. Dalej, „na przeprawach [przez rzekę Roś] niedaleko Wołkowyska” sztab dywizji znalazł się, jak donosi Borziłow w raporcie, potem, „pod koniec dnia 27 czerwca”, a „w lasach na wschód od Słonima” resztki dywizji wycofały się jeszcze później: „29.06. o godz. 11”.

Na temat walczącej (czy niewalczącej?) na prawo od niego 4. Dywizji Pancерnej Borziłow w raporcie zamieścił tylko jedno zdanie: „według wstępnych danych 4. Dywizja Pancerna 6. Korpusu w nocy z 25 na 26 czerwca wycofała się za rzekę Świsłocz, wskutek czego zostało odsłonięte skrzydło 36. Dywizji Kawalerii”. Jeśli to prawda i 25 czerwca 4. DPanc wciąż się znajdowała na zachód od Świsłoczy, to kto i w jaki sposób znalazł się wieczorem 24 czerwca w okolicach Lebiezan i Nowej Myszy? Jeszcze kilka wzmianek związanych z działaniami 4. Dywizji Pancерnej znajduje się w raporcie (sporządzonym na początku sierpnia 1941 roku) dowódcy 11. KZmech generała majora Mostowienki: „Natarcie 6. KZmech nie powiodło się. 4. DPanc dotarła do Kuźnicy i zaczęła się wycofywać” (CAMO, d. 38, r. 11360, t. 2, k. 288). Z kontekstu raportu wynika, że te ruchy tam i z powrotem przeprowadzono 24–25 czerwca.

Musimy cytować urywki cudzych (niepochodzących ze sztabu 4. DPanc) doniesień, ponieważ zarówno dywizja, jak i cały 6. Korpus Zmechanizowany nie pozostawiły praktycznie żadnych dokumentów. Zasoby archiwalne korpusu i należących do niego dywizji (4. i 7. DPanc, 29. DZmot) są dziewiczo czyste, dokumenty operacyjne z pierwszego tygodnia wojny po prostu nie istnieją (a drugiego tygodnia te jednostki już nie doczekały). Wszystko to jest bardzo dziwne, skoro zgodnie z normą etatową sztab korpusu zmechanizowanego powinien mieć 11 kancelistów oraz jeszcze 13 osób, których stanowiska określono jako „odpowiedzialne za sprawy kancelaryjno-administracyjne” – miał kto napisać meldunek operacyjny, miał kto ją przygotować (96 osób na stanowiskach kierowniczych). W takiej sytuacji sam fakt braku dokumentów jest dość wymowny...

Na nieszczęście dla kraju – i aby ułatwić życie współczesnym historykom – na polu walki pojawił się także przeciwnik. Zachowało się wiele niemieckich dokumentów z lata 1941 roku i w ostatnich latach stopniowo udostępniane są radzieckim czytelnikom. Z dokumentów niemieckich jasno wynika, że dwudniowa (24–25 czerwca) bitwa w rejonie Kuźnica–Sokółka–Indura się odbyła i jakieś radzieckie czołgi zawzięcie atakowały pozycje 256. i 162. Dywizji Piechoty Wehrmachtu (w dzienniku działań bojowych 20. Korpusu Armijnego Wehrmachtu czytamy: „12 potężnych ataków pancernych nieprzyjaciela z kierunku południowo-zachodniego i południowo-wschodniego zatrzymały ofensywę dywizji”). Wszystkie do Nowej Myszy nie uciekły... Zachował się również dokument niezwykle cenny dla

naszego tematu: raport z przesłuchania pojmanego do niewoli dowódcy 4. Dywizji Pancerniej generała majora Potaturczewa (opublikowany w „WIŻ”, nr 8, 2011 r.).

Jeniec bardzo chętnie składał zeznania, co bardzo zaskoczyło przesłuchujących.

Poproszony o krótki opis głównych zasad użycia rosyjskich wojsk pancernych poprosił o kartkę i narysował załączony schemat. (...) Z pewną dumą i satysfakcją człowieka zdającego egzamin z taktyki po wykonaniu rysunku odchylił się na krześle. (...) Warto zauważyć, że chętnie podaje dane o swojej dywizji, jej strukturze i przeznaczeniu bojowym, o taktycznych podstawach rosyjskich sił pancernych. Najwyraźniej zupełnie nie przychodzi mu do głowy, że w ten sposób – z naszego punktu widzenia – sprzeniewierza się najświętszemu obowiązkowi oficera. Brakuje mu świadomości narodowego honoru i poczucia obowiązku, które dla nas są czymś oczywistym.

Przytoczyłem ten długi cytat nie po to, aby rzucić kamieniem w zmarłego generała – za swoje grzechy Potaturczew zapłacił pełną miarą, której nikomu nie można życzyć (zmarł podczas śledztwa w więzieniu NKWD). Ważne jest co innego: jeniec wcale nie próbował udawać przed Niemcami kogoś w rodzaju szlachetnego rycerza i gdyby wraz ze swoim sztabem już 23 czerwca rzucił się na wschód, to raczej nie wstydziliby się o tym mówić. Jednak na schemacie rozmieszczenia i działań bojowych dywizji, własnoręcznie sporządzonym przez Potaturczewa dla Niemców, daty są dość wyraźne: 22 czerwca dywizja jest w pobliżu Białegostoku, 23 czerwca sztab ukrył się w lesie między Białymstokiem i Gródkiem, 24 i 25 czerwca 4. DPanc atakuje w pasie Indura–Kuźnica, z 7. DPanc na prawym skrzydle; odwrót za Świsłocz i dalej na Wołkowysk jest na schemacie z datą 26 i 27 czerwca. Ogólnie wszystko pokrywa się z opisem wydarzeń w raporcie dowódcy 7. DPanc generała Borziłowa.

Tu jednak pojawia się interesujące pytanie: a skąd sam Potaturczew dowiedział się o tym, co opowiedział i narysował Niemcom?

Stanowisko dowodzenia dywizji znajdowało się w gęstym lesie (Puszcza Knyszyńska) na zachód od Gródka, co widać na schemacie i co bezpośrednio potwierdza protokół z przesłuchania („Punkt dowodzenia znajdował się w pobliżu Gródka”). Od miejsca, w którym znajdował się sztab, do pola walki – ponad 40 kilometrów; dowódca nie mógł słyszeć nawet huku odległych dział. „Co do kwestii schematu podporządkowania i przekazywania rozkazów nie potrafił udzielić jasnych odpowiedzi. (...) Do utrzymywania łączności używano samochodów pancernych. Nie wykorzystywano łączności radiowej, żeby uniemożliwić Niemcom podsłuchiwanie i namierzanie”. Dowództwo dywizji ukryło się przed namierzeniem tak skutecznie, że Potaturczew nie wiedział nawet, że wieczorem 25 czerwca korpus otrzymał rozkaz wycofania się na linię rzeki Szczary („Miał stanowczy rozkaz, aby się nie wycofywać. W wyniku obejścia i okrążenia przez przemieszczające się z Grodna do Wołkowysku wojska niemieckie dywizja zmuszona była się wycofać i podczas walk w okolicach Białegostoku została rozproszona i całkowicie rozgromiona. 30.06. wraz z kilkoma żołnierzami i oficerami opuścił już nieistniejącą jednostkę”).

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz. „Na pytanie, jak skuteczne były działania niemieckiego lotnictwa przeciwko czołgom, odpowiedział, że podczas uderzenia na kolumnę 16 czołgów żaden nie został uszkodzony. Nie było bezpośrednich trafień pocisków, a odłamki nie wyrządziły żadnych szkód”. Technicznie wszystko się zgadza, ale na poprzedniej stronie Potaturczew oświadcza, że „już w pierwszych dniach oddziały jego dywizji zostały rozgromione przez niemieckie siły powietrzne”. No to jak było naprawdę?

Moim zdaniem dostępne fragmenty dokumentalnych informacji pozwalają zrekonstruować wydarzenia w następujący sposób. 22 czerwca 1941 roku wybuchła wojna. Po kilku dniach 4. Dywizja Pancerna – podobnie jak cała 6. Korpus Zmechanizowany – stała się jednostką ochotniczą. Każdy robił, co chciał; scentralizowana kontrola zniknęła w ogóle (w nawiasie zaznaczmy, że słynni niemieccy dywersanci „przecinający wszystkie przewody” z tą utratą kontroli nie mieli bezpośredniego związku – korpus posiadał 5 radiostacji RSB, o zasięgu do 200 kilometrów, 46 radiostacji 5AK, o zasięgu do 50 kilometrów, i 51 „batalionowych” radiostacji 6PK i RB; jak wykorzystano całe to bogactwo – patrz powyżej).

4. Dywizja Pancerna rozpadła się na trzy, a dokładniej mówiąc, nawet na cztery niepowiązane ze sobą grupy. Pierwszą stanowiły dowództwo i sztab, które zamaskowały się w głębokim lesie, wyłączyły kontakt radiowy i wymieniały z podwładnymi meldunki przekazywane przez gońców w samochodach pancernych. Druga grupa zawzięcie, bez należynej koordynacji działań, bez łączności i współpracy z własną artylerią i piechotą, atakowała Niemców w pobliżu Kuźnicy. Trzecia bez chwili namysłu rzuciła się na wschód i już wieczorem 24 czerwca pomyślnie dotarła do Baranowicz. A na czwartą składały się załogi licznych czołgów, samochodów pancernych, motocykli, samochodów osobowych, blokujące porzuconym sprzętem całą drogę między Wołkowyskiem i Słonimiem (potwierdzają to liczne dokumenty, wspomnienia i zdjęcia).

Najważniejsze i najtrudniejsze pytanie: ilu żołnierzy było w każdej grupie? Tutaj wreszcie trzeba przypomnieć czytelnikowi o stanie liczbowym 4. Dywizji Pancerniej. Spośród 6 tuzinów dywizji pancernych Armii Czerwonej tylko 3 otrzymały ciężkie czołgi KW według pełnej normy etatowej (63 sztuki); jedną z tych dywizji była 4. DPanc.

Trudniej jest określić liczbę najnowszych T-34: na początku czerwca było ich co najmniej 88 sztuk; następnie, między 1 i 22 czerwca, do Białegostoku dla 6. KZmech z fabryk wysłano jeszcze 114 czołgów T-34, nie wiadomo, w jaki sposób zostały one rozdysponowane pomiędzy dywizjami korpusu (4. i 7.). Niektórzy autorzy piszą, że 4. DPanc miała do 160 „trzydziestekczwórek”, a z kolei arytmetyczna różnica między ogółem czołgów T-34 w 6. KZmech (322 sztuki) i podaną w raporcie Borziłowa liczbą czołgów T-34 w 7. DPanc (150 sztuk) wynosi 172; jeśli ostatnia liczba odpowiada rzeczywistości, to 4. Dywizja Pancerna staje się absolutnym „rekordzistą” pod względem liczby czołgów nowych typów (235 T-34 i KW) w całej Armii Czerwonej.

Oprócz nowych pojazdów dywizja miała 30 trzywieżowych czołgów T-28, 135 czołgów BT (wszystkie najnowszej modyfikacji BT-7), 43 T-26 i 30 chemicznych ChT-26. W sumie od 389 do 473 czołgów (nie każdy niemiecki korpus pancerny na froncie wschodnim miał taką ilość czołgów). A także 54 samochody pancerne BA-10, 36 lekkich BA-20, 86 traktorów i ciągników, 56 samochodów osobowych, 1322 ciężarówki, 244 pojazdy specjalne, 84 cysterny samochodowe, 139 motocykli. Nawet na postoju (nie wspominając już o wielkości kolumny marszowej) tego gigantycznego

nagromadzenia sprzętu bojowego nie można było ogarnąć spojrzeniem i gdyby tylko połowa wozów 4. DPanc wieczorem 24 czerwca ześrodkowała się w pobliżu nieszczęsnej Nowej Myszy, to również w tym przypadku delegaci sztabu frontu, oszołomieni takim widowiskiem i niezdolni do policzenia dokładnie każdego czołgu, mogli z czystym sumieniem zameldować przełożonym, że „osobiście widzieli dywizję”.

Jeśli chodzi o liczbę czołgów, które wzięły udział w bitwie, to tylko dokumenty nieprzyjaciela mogą być wiarygodnym źródłem informacji. Po wypisaniu z dziennika działań bojowych 20. Korpusu Armijnego Wehrmachtu (BA-MA, RH24-20/8) wszystkich wzmianek dotyczących działań czołgów radzieckich 24–25 czerwca, otrzymujemy, co następuje:

162. Dywizja została zaatakowana przez nieprzyjacielskie czołgi od południa od strony Sidry. (...) Około godz. 17.30 sztab armii został poinformowany drogą radiową, że w rejonie Łunna-Indura-Sokołka zaobserwowano duże skupisko czołgów nieprzyjaciela (prawdopodobnie dotarły one na pozycje wyjściowe do ataku). (...)

Do wieczora 256. Dywizja skutecznie odparła 12 ataków czołgów wroga. Podczas walk zniszczono około 80 nieprzyjacielskich czołgów. (...) 162. Dywizja po drodze do Sidry również musiała odpierać ataki czołgów nieprzyjaciela. Zniszczono ponad 20 nieprzyjacielskich czołgów. (...) Około godz. 21.00 sztab 162. Dywizji powiadomił o niespodziewanym potężnym ataku czołgów nieprzyjaciela na Sidrę.

Ostatni wpis z 24 czerwca: „Pomimo zmasowanych ataków (około 100 czołgów ze wsparciem artyleryjskim), nieprzyjacielowi nie udało się dotrzeć do Kuźnicy. Zniszczono tutaj 80 nieprzyjacielskich czołgów. Duży udział w zniszczeniu czołgów miały samobieżne «armaty szturmowe» i artyleria przeciwlotnicza. 162. Dywizja zniszczyła 24 czołgi”.

Najbardziej zmasowane użycie czołgów odnotowano we wpisie z 25 czerwca: „O godz. 14.00 generał Kaufmann, dowódca 256. Dywizji, osobiście melduje o potężnym ataku czołgów nieprzyjaciela, w tym superciężkich, na Kuźnicę i pozycje jego dywizji (około 200 czołgów) z kierunku południowo-wschodniego”.

To wszystko. Dalej są tylko pojedyncze wzmianki o sporadycznych starciach z radzieckim czołgami.

Teraz bierzemy dziennik dołączonego do korpusu 2. dywizjonu 4. pułku artylerii przeciwlotniczej (BA-MA, RH24-20/18). Wpis z 24 czerwca:

Około godz. 13.00 obie baterie zajęły pozycje 4 km na południowy wschód od Kuźnicy. (...) Czołgi wroga atakowały nasze pozycje od początku pierwszej połowy dnia do późnego wieczora. (...) Podczas zaciętych walk obronnych, pod ciągłym ostrzałem ognia maszynowego czołgów, odparto 9 ataków nieprzyjaciela. Do godz. 18.30 24 czerwca obie baterie zniszczyły w sumie 20 nieprzyjacielskich czołgów. (...)

6. bateria około 14.00 opuściła stanowisko znajdujące się 2 km na południowy zachód od Kuźnicy i przeniosła się na wzniesienie leżące 2 km na wschód Kuźnicy. Cele: obrona powietrzna oraz obrona przed atakami czołgów, które zmierzają z południa na Kuźnicę. O godz. 16.50 15 nieprzyjacielskich czołgów kierowało się na Łunno i Kuźnicę. 6. bateria otworzyła ogień i zniszczyła 5 czołgów. Pozostałe czołgi się wycofały. (...) W nocy z 24 na 25 czerwca około godz. 3.45 3 czołgi nieprzyjaciela zaatakowały stanowiska 8. i 9. baterii 4. pułku. Jeden wóz wroga został zniszczony, reszta się wycofała.

Następny dzień był dla niemieckiej obrony przeciwlotniczej spokojniejszy: „25 czerwca około godz. 4.30 7. bateria pułku została przerzucona z rejonu na północ od Kuźnicy do miejsca dyslokacji 162. DP, aby przeciwdziałać zauważonym w pobliżu Sidry pojazdom opancerzonym nieprzyjaciela i je zniszczyć. Po wykonaniu zadania 7. bateria wróciła do 256. DP na pozycje na północ od Kuźnicy”.

I to wszystko. Później, 26–27 czerwca, odnotowano tylko pojedyncze potyczki z niewielkimi grupami czołgów. Wynik: w ciągu pięciu dni wojny działa przeciwlotnicze zniszczyły 31 czołgów (nie podano typów zniszczonych maszyn, ale nie wspomniano w ogóle o obecności ciężkich czołgów).

W rezultacie możemy przyjąć, że w bitwie pod Kuźnicą wzięło udział nie więcej niż 200–250 radzieckich czołgów. Przypomnijmy raz jeszcze, ile

ich tam MOGŁO być: około 380 czołgów należących do 4. Dywizji Pancерnej, mniej więcej tyle samo w 7. Dywizji Pancерnej, 160–180 czołgów (według różnych źródeł) miała 29. Dywizja Zmotoryzowana, około 120 czołgów w 33. Dywizji Pancерnej 11. Korpusu Zmechanizowanego (22 czerwca została ześrodkowana w pobliżu Kuźnicy, a następnie podporządkowana operacyjnie dowódcy 6. Korpusu Zmechanizowanego). W sumie – ponad tysiąc czołgów (nie licząc lekkich czołgów pływających T-37/38/40, przestarzałych tankietek T-27, półtorej setki wyposażonych w armaty samochodów pancernych oraz innej lekkoopancerzonej drobny). Do kompletu należy jeszcze dodać pułk pancerny 36. Dywizji Kawalerii (kolejne pół setki czołgów).

W ten sposób co szósty żołnierz został ochotnikiem. Być może przy najbardziej optymistycznym założeniu co piąty. Dla całej reszty wojna była inna:

Rankiem 23 czerwca ostrzelało nas niemieckie lotnictwo. Mieliśmy najnowsze czołgi, same T-34 i KW. Ukrywaliśmy się po lasach. W tym czasie naszym batalionem dowodził jeszcze kapitan Rassadniew, ale od południa 23 czerwca już go nie widziałem, dlatego że tego dnia kilka razy uciekaliśmy, kto gdzie mógł. (...) Wycofywaliśmy się przez lasy, bagna, po bezdrożach, bo Niemcy zajęli wszystkie dobre drogi. Opuściliśmy Wołkowysk, Słonim, Baranowicze. Nie mieliśmy kontaktu z wrogiem. Wydaje mi się, że panikę wywoływali sami oficerowie. Na oczach żołnierzy zrywali oficerskie naramienniki. (...) Tak doszliśmy prawie do Smoleńska, a tam też zostawiliśmy tyle sprzętu! Wszyscy uciekali, a sprzęt i uzbrojenie (czołgi, armaty) porzucali. Nie mogę powiedzieć, gdzie toczyły się walki, bo prawie ich nie było. Na naszym kierunku tylko jednej nocy przedzieraliśmy się przez niemiecki desant, pod Słonimem albo Stołbcami.

Tym fragmentem ze wspomnień S. Afanasjewa, czołgisty 8. pułku czołgów 4. Dywizji Pancерnej (czyli jednego z tych, którzy wieczorem 24 czerwca „ześrodkowali się” w pobliżu Lebieżan i Nowej Myszy), zamierzałem zakończyć artykuł, gdy w moje ręce trafił jeszcze jeden niemiecki

dokument. Doniesienie bojowe sztabu 12. Dywizji Pancernej Wehrmachtu z 30 czerwca (NARA, t. 313, roll 224, f. 0670). 12. DPanc nie ma nic wspólnego z bitwą przy Kuźnicy (wchodziła w skład 3. Grupy Pancernej Wehrmachtu), prowadziła ofensywę setki kilometrów dalej na północ i pierwsza wkroczyła do spalonego Mińska. Los jednak chciał, że gdzieś na północny wschód od Mińska przecięły się szlaki pułku piechoty zmotoryzowanej dywizji niemieckiej i dowódcy artylerii 4. Dywizji Pancernej Armii Czerwonej:

Wieczorem 29.06.1941 [na odcinku] 2. batalionu 25. pułku piechoty zmotoryzowanej wzięto do niewoli rosyjskiego pułkownika, który powiedział, że jest Mołdawianinem (Bessarabier) i że przeszedł do nas dobrowolnie, dlatego że nie zgadza się z radziecką ideą. Z tego powodu zerwał swoje dystynkcje. Zeznał, że był dowódcą artylerii 4. Dywizji Pancerniej 10. Armii. Artyleria dywizji składa się z jednego pułku haubic kalibru 120 mm i 150 mm. Jego dywizja wycofywała się w trakcie walk z Białegostoku do Mińska. Z dowództwem armii nie miał kontaktu od 26.06.

Dywizja [sztab niemieckiej dywizji] przez tłumacza skłoniła rosyjskiego pułkownika, żeby wrócił do swojej jednostki i powiedział, że opór jest bezcelowy i że rosyjscy jeńcy nie są rozstrzeliwani. Bez większego namysłu rosyjski pułkownik na to przystał. Dzisiaj około godziny 5 rano został wypuszczony [na odcinku] 2. batalionu 25. pułku piechoty zmotoryzowanej do wojsk rosyjskich. Dwie godziny później zameldowano o dużej liczbie zbiegów w tym miejscu. Trudno powiedzieć, czy ma to związek z działalnością pułkownika. Podczas przesłuchania przez tłumacza ten pułkownik powiedział jeszcze, że jego zdaniem cała rosyjska armia rozpadnie się w ciągu 12 dni.

Jak dzisiaj wiemy, pułkownik J. Cwik radykalnie się pomylił w swoich prognozach. Ale jak trudno było zauważyć ten błąd wtedy, w czerwcu 1941 roku...

1. Ta Mysz nie ma nic wspólnego z małym szarym gryzoniem, pochodzenie toponimu odwołuje się do litewskiego *miškas* – leśny; pisemne wzmianki o miasteczku pojawiają się w dokumentach z 1563 roku. [wróć](#)

HISTORIA KLĘSKI W DOKUMENTACH

Nazwisko Pawła Fiodorowicza Batickiego na stałe jest wpisane do historii wojskowej Związku Radzieckiego. Wojnę rozpoczął w krajach bałtyckich, gdzie w stopniu podpułkownika zajmował stanowisko szefa sztabu 202. Dywizji Zmotoryzowanej 12. Korpusu Zmechanizowanego, a zakończył w Berlinie w stopniu generała majora. Po wojnie Baticki otrzymał złote gwiazdki marszałka Związku Radzieckiego i stanowisko głównodowodzącego Wojskami Obrony Powietrznej Kraju.

Krótką historią działań bojowych powierzonej mu 202. Dywizji Zmotoryzowanej nie różni się zasadniczo od losów setek innych dywizji rozmieszczonych w okręgach przygranicznych: kilka dni walk, następnie gorączkowy odwrót i ostateczna klęska (nawiasem mówiąc, w podobnym tempie i na podobną skalę została rozgromiona również należąca do 12. Korpusu Zmechanizowanego 28. Dywizja Pancerna, którą wówczas dowodził przyszły generał armii I. Czerniachowski). Nietypowe jest jednak to, że dowódca dywizji nie uciekł pierwszy, nie „udał się do sztabu frontu w celu wyjaśnienia sytuacji”, a był ze swoim sztabem i w swoim czasie zadbał o sporządzenie i bezpieczeństwo dokumentów operacyjnych (rozkazów, raportów, doniesień). Dlatego dzisiaj możemy przyrzeć się zniszczeniu dywizji w dość dużej „rozdzielczości”.

W przededniu wojny 202. Dywizja Zmotoryzowana stacjonowała niedaleko miasteczka Radziwiliszki (20 kilometrów na południowy wschód od Szawli). Wieczorem 18 czerwca dywizja (jak i pozostałe jednostki 12. Korpusu Zmechanizowanego) otrzymała rozkaz postawienia oddziałów w stan gotowości bojowej i udania się do rejonu ześrodkowania w lasach na południowy zachód od Szawli. Rankiem 22 czerwca 202. Dywizja Zmotoryzowana zajmowała obronę w dwudziestokilometrowym pasie na zachód od

szosy Tylża–Szawle–Ryga. Właśnie wzdłuż tej autostrady rozwijała się ofensywa 41. Korpusu Pancernego Wehrmachtu (1. i 6. Dywizja Pancerna, 36. Dywizja Zmotoryzowana).

Zgodnie z rozkazem dowództwa Frontu Północno-Zachodniego siłami 23. i 28. Dywizji Pancernej 12. Korpusu Zmechanizowanego (z północnego zachodu) oraz 2. Dywizji Pancernej 3. Korpusu Zmechanizowanego (z południowego wschodu) należało przeprowadzić miażdżący kontratak na nacierające zgrupowanie nieprzyjaciela w rejonie Rosienie–Kielmy; 202. Dywizja Zmotoryzowana i 9. Brygada Artylerii Przeciwpancernej miały za zadanie zapobiec przedarciu się czołgów nieprzyjaciela do szosy na Szawle.

Rozkaz nr 03 dla jednostki wojskowej 3744

[202. DZmot]

20 czerwca 1941 r.

Las 1,5 kilometra na wschód od Sienkanów

Niezwłocznie wykonać następujące prace:

1. Sprawdzić samookopywanie każdego czerwonoarmisty, dowódcy, obsługi cekaemów, moździerzy i dział, załóg czołgów i kierowców. Samookopywanie powinno zostać przeprowadzone w taki sposób, aby okop zapewniał bezpieczeństwo żołnierzowi przy pobliskiej eksplozji pocisku lub przejechaniu nad nim czołgu.

2. Ochrona i maskowanie sztabów - nikt nie może wejść do kwatery bez uprzedniej weryfikacji, w tym celu ustalić hasło i odzew. Do obrony sztabu wykopać głębokie rowy. Bardzo dokładnie zamaskować przedmioty dające odblask.

3. Rozkazać całemu składowi [osobowemu] zawsze o każdym czasie i w każdym miejscu mieć przy sobie przynależne uzbrojenie i wyposażenie. Posiadane w poszczególnych jednostkach piramidy dla broni zniszczyć i rozkazać czerwonoarmistom zawsze mieć przy sobie karabin, erkaem oraz inne przynależne im uzbrojenie.

4. Zorganizować całodobową obserwację przestrzeni powietrznej, zaopatrzyć posterunki obserwacyjne w łączność przewodową. Powiadomienie o obecności w powietrzu samolotów

nieprzyjaciela telefonicznie słowem „POWIETRZE”, następnie wszelkie inne rozmowy powinny zostać przerwane, a cała łączność telefoniczna ma być wykorzystana do powiadomienia wszystkich sztabów i pododdziałów o obecności nieprzyjaciela w powietrzu.

5. Surowo zakazać palenia ognisk w nocy oraz jazdy samochodami z włączonymi światłami na terenie jednostek. W każdej jednostce wyznaczyć miejsce do przygotowania posiłków, zbudować przystosowane do tego szałas, w których rozpalać ogniska i przygotowywać posiłki.

6. Zakazać całkowicie używania płaszczy-pałatek, zbudować dla jednostek szałas [dalej skreślono „a indywidualne pakiety przeciwchemiczne w przypadku wydania zwrócić” - M.S.].

7. Zezwolić na używanie kuchni polowych do przygotowania posiłków.

8. Samochody wymagające naprawy naprawić na miejscu. Nie nadające się do naprawy na miejscu zgodnie z wytycznymi dowódcy oddziałów samochodowych 202. Dywizji Zmotoryzowanej wysłać do naprawy do jednostki nr 3575.

Wszystkie powyższe prace wykonać do godz. 20.00 20.06.1941 roku.

Po otrzymaniu tego rozkazu niezwłocznie wyznaczyć dyżurne oddziały do zwalczania ewentualnych desantów. Pododdziały powinny być przygotowane do natychmiastowego wyjazdu do rejonu lądowania desantu w celu zniszczenia go w powietrzu.

dowódca 202. Dywizji pułkownik Gorbaczow
szef sztabu podpułkownik Baticki

Rozkaz bojowy nr 005, Sztab Dywizji 202.

Godz. 12.40 22 czerwca 1941 r.

Zagajnik na północny wschód od Graużyszek

1. Rankiem 22.06.1941 r. nieprzyjaciel po przygotowaniu artyleryjskim i przekroczeniu granicy próbował zająć Taw-

rogi. Na kierunku Płungiany znajdują się czołgi wroga, na kierunku Kretynga znajdują się oddziały motocyklowe wroga, w rejonie na południowy zachód od Tawrogów ześrodkowano około 50 czołgów.

2. Rubieży Tawrogów broni 125. Dywizja Strzelecka.

3. 202. Dywizja Zmotoryzowana razem z [9.] Brygadą Przeciwpancerną organizuje silną obronę przed czołgami w pasie Korklany-Pakrażanus-Kielmy-Junkilai [dalej znajduje się długa lista toponimów z oznaczeniem linii obrony każdego oddziału dywizji - M.S.].

Wszyscy dowódcy oddziałów po otrzymaniu niniejszego rozkazu mają natychmiast sprawdzić gotowość wszystkich rodzajów broni, otworzyć ogień z pozycji ogniowych, skontrolować wydanie pełnych norm amunicji dla karabinu, kaemu, moździerzy i armaty. Skontrolować wydanie masek przeciwgazowych BS i indywidualnych pakietów przeciwchemicznych.

Każda jednostka ma posiadać dyżurne pododdziały uzbrojone w broń maszynową do natychmiastowego zniszczenia w powietrzu ewentualnych desantów nieprzyjaciela. Każdy dowódca, przełożony i czerwonoarmista powinien podjąć wszelkie działania z własnej inicjatywy do zwalczania oddziałów desantowych nieprzyjaciela.

4. Transport samochodowy, tyły oddziałów pozostawić w rejonach stacjonowania oddziałów sprzed zajęcia obrony, zapewniając im dostateczną ochronę.

5. Dodatkowe stanowisko ogniowe w lesie na wschód od Szawkiany zgodnie z wcześniej wydanym rozkazem.

6. Punkt dowodzenia - zagajnik na północny wschód od Graużyszek.

Towarzysze dowódcy i żołnierze, wróg pierwszy rozpoczął wojnę zaborczą z wielkim i kochającym wolność ludem radzieckim. Armia Czerwona wykazała się odwagą i męstwem w walce z wrogami i teraz my, dowódcy i żołnierze, powinniśmy swą nieustraszoną okryć chwałą niezwyciężoną Armię Czerwoną.

Śmierć wrogom Związku Radzieckiego. Śmierć kapitalizmowi.
Niech żyje komunizm.

Do dowódców wydziałów propagandy politycznej, oficerów politycznych jednostek

Dobitnie wyjaśnić żołnierzom, że niemiecki faszyzm złamał umowę i w niektórych rejonach przekroczył granicę Związku Radzieckiego. Wpoić żołnierzom przekonanie o potędze i sile Związku Radzieckiego i jego Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej.

Zmobilizować żołnierzy do wykonania każdego zadania bojowego w celu pokonania wroga, skąd by się nie pojawił. Zaktywizować oficerów politycznych. Zmusić oficerów politycznych i komunistów do prowadzenia nieprzerwanej partyjnej pracy propagandowo-politycznej z każdym żołnierzem i oficerem z osobna. Opierając się na przewodniej roli komunistów i komsomolców, zapewnić jak najlepsze wykonanie misji bojowej pokonania wroga. Wszelkimi środkami zwalczać panikarzy, niesubordynowanych [nieczytelne], którzy będą usiłowali się uchylić przed wykonaniem zadania. Kiedy jednostki ruszą do przodu, wszystkie dokumenty i rejestry partyjne zabrać ze sobą.

naczelnik Wydziału Propagandy Politycznej
12. Korpusu Zmechanizowanego
komisarz brygady Lebediew
godz. 9.10 22.06.1941 r.
[dokument napisany ręcznie - M.S.]

Wychodzące nr 068

22.06.1941 r.

Tajne

Do szefa sztabu 12. Korpusu Zmechanizowanego

[dokument napisany ręcznie - M.S.]

Na podstawie rozkazu dowódcy 12. Korpusu Zmechanizowanego do sztabu 8. Armii wysłano o godz. 14.40 22.06.1941 roku jeden batalion strzelecki z 682. zmotoryzowanego pułku strzeleckiego oraz jeden pluton czołgów z 125. pułku pancernego.

Na rozkaz sztabu 8. Armii samodzielny batalion rozpoznawczy ma za zadanie przeprowadzić rozpoznanie desantu lotniczego wysadzonego w rejonie Rosieni - który udał się na wykonanie zadania o godz. 15.00 22.06.1941 r.

Na rozkaz szefa sztabu 8. Armii o godz. 19.30 22.06.1941 r. przydzielono 35 żołnierzy do zapewnienia łączności sztabowi 8. Armii.

Na rozkaz generała lejtnanta Lwowa w Poniewieży przydzielono do zapewnienia ochrony sztabowi 120 żołnierzy.

Zgodnie z ostatnim Waszym rozkazem należy przekazać jedną kompanię i jeden pluton czołgów do dyspozycji sztabu 8. Armii.

Dowódca [202. DZmot] pułkownik Gorbaczow uważa [za konieczne] zameldować [dowódcy 12. KZmech] generałowi majorowi tow. Szestopałowowi o znacznych stratach w ludziach i o dużym froncie obrony dywizji.

Prosi o wyjaśnienie [rozkazu] o przydzieleniu jednej kompanii strzeleckiej i plutonu czołgów, gdyż uważa, że to polecenie uchyla polecenie o przydzieleniu jednego batalionu strzeleckiego i jednego plutonu pancernego.

Rozkaz bojowy nr 7, Sztab Dywizji 202.

Grauzyszki

Godz. 22.00 23.06.1941 r.

1. W dniu 23.06.1941 oddziały 202. DZmot prowadziły prace inżynierskie w celu umocnienia rejonów obrony. O godz. 20.00 23.06. po przygotowaniu artyleryjskim nieprzyjaciel rozpoczął ofensywę, głównie na froncie 682. zmotoryzowanego

pułku strzeleckiego. O godz. 20.00 7 czołgów nieprzyjaciela próbowało pokonać most na południe od Plusek. 2 nieprzyjacielskie czołgi zostały zniszczone ogniem artylerii 2. batalionu i kompanii czołgów 125. pułku pancernego, 5 wycofało się na pozycje wyjściowe. Kilka minut później na tymże kierunku nieprzyjaciel zaatakował 20 czołgami, ale stracił 6 i został wyparty.

O godz. 21.00 23.06. na froncie 1. batalionu 682. pułku strzeleckiego czołgi i piechota nieprzyjaciela rozpoczęły natarcie i przedostały się w rejon obrony batalionu; dowódca 1. batalionu zdecydował kontratakem pokonać nieprzyjaciela, żołnierze i dowódcy 1. batalionu tak jak należy wykonali rozkaz swojego dowódcy, arogancki wróg został zniszczony, a jego niedobitki szybko wycofały się na pozycje wyjściowe.

Do rejonu obronnego 2. batalionu 682. pułku strzeleckiego przedostały się pojedyncze grupy nieprzyjaciela, ale wskutek kontrataków żołnierzy i oficerów 2. batalionu zostały zniszczone i wycofały się na pozycje wyjściowe.

2. Walki 23.06. unaocznily, jak silni i wytrwali są żołnierze i oficer 202. Dywizji Zmotoryzowanej, pokazały, że świńska mordka nie przedrze się przez naszą niezłomną obronę. Wszyscy dowódcy i żołnierze powinni brać przykład z 1. batalionu 682. pułku strzeleckiego, który nie oddał ani okrucza swojego rejonu obrony. Tylko śmierć może stać się przyczyną wpuszczenia wroga, wszyscy oficerowie i żołnierze powinni do ostatniego pocisku, ostatniego człowieka, walczyć o zajmowane pozycje obronne. Wróg jest bezczelny, podły, upojony alkoholem i przy zorganizowanym systemie ognia, kontrataków, śmiałych i zdecydowanych uderzeń bagnatów łatwo ulega. Każdy oficer i żołnierz muszą zapamiętać, że powinniśmy przynieść na bagnetach śmierć faszyzmowi bez względu na cenę.

3. W nocy z 23 na 24.06. wszyscy dowódcy oddziałów i pododdziałów mają doprowadzić podwładnych do porządku, zaopatrzyć w pełni w amunicję, umożliwić żołnierzom zabra-

nie tyle amunicji, ile mogą unieść, a w przyszłości zorganizować nieprzerwane dostawy amunicji, zapewnić żołnierzom i dowódcom prowiant i pomoc lekarską rannym.

4. W nocy należy się spodziewać pojedynczych wypadów nieprzyjaciela oraz ataku jutro o świcie. Podjąć wszelkie środki do obserwacji i zabezpieczenia obrony, od drużyny do formacji.

5. Wyróżniam odwagę i gotowość do poświęcenia dowódców i żołnierzy 1. batalionu 682. pułku strzeleckiego oraz kompanii czołgów 125. pułku pancernego. Wszyscy dowódcy i żołnierze, którzy wykazali się odwagą, mają wnioskować do mnie w celu odznaczenia najwyższą nagrodą Związku Radzieckiego.

Rozkaz bojowy nr 9, Sztab Dywizji 202.

Grauzyszki

Godz. 17.00 24.06.1941 r.

1. 202. DZmot od godz. 23.00 24.06. wycofuje się do Kanału Windawskiego [odwrót na 27 kilometrów do Szawli - M.S.].

[Dalej w punktach 2-9 opisano szczegółowe trasy przemarszu poszczególnych oddziałów dywizji - M.S.].

10. Dowódcom oddziałów zwrócić szczególną uwagę na to, żeby cały sprzęt i amunicja zostały zabrane, ani jeden ranny, armata, karabin, cekaem nie może pozostać; artylerii dywizyjnej dodać ochronę. Z możliwymi prowokacjami i działaniami dywersyjnymi wrogich elementów rozprawiać się własnymi siłami.

Do naczelników wydziałów propagandy politycznej, oficerów politycznych oddziałów

Otrzymano o godz. 6.30 26.06.1941 r.

Proszę wyjaśnić naszym żołnierzom, że zdolności bojowe naszych oddziałów są nieporównywalnie większe niż niemieckich. Szczególnie podkreślać siłę i potęgę naszego bagnetu, którego najbardziej boi się żołnierz niemiecki. Opowiadajcie wszystkim żołnierzom i oficerom, że w oddziałach nieprzyjaciela już są elementy degradacji i niepewności.

Wytłumaczcie wszystkim żołnierzom, że każdy, kto uciekł z pola walki, siał panikę i złamał przysięgę Armii Czerwonej, zostanie bezlitośnie ukarany z całą surowością prawa wojennego. Wprowadźcie atmosferę powszechnej pogardy i nienawiści wobec panikarzy, tchórzy i dezertersów z pola walki. Każdego dnia wpajajcie żołnierzom i oficerom przekonanie o naszym ostatecznym zwycięstwie.

szef Wydziału Propagandy Politycznej 8. Armii
komisarz brygady Mariejew

Rozkaz bojowy nr 12, Sztab Dywizji 202.
Las na południowy wschód od Jędryszek
Godz. 16.30 27.06.1941 r.

1. Pod koniec 26.06. nieprzyjaciel zajął Szawle i zagraża swoimi oddziałami zmechanizowanymi lewemu skrzydłu 202. DZmot w przemarszu szosą ryską na północny wschód. Brakuje informacji o obecności nieprzyjaciela na prawym skrzydle i przed frontem [dywizji].

2. 26.06. resztki 10. Dywizji Strzeleckiej broniły rz. Windawy na odcinku Wieksznie-Popielany; przypuszczalnie 10. DS wycofała się na północny wschód, od lewej 11. DS kieruje się na północ. Szosa ryska jest zatłoczona przez pozbawione wszelkiej kontroli jednostki tyłowe.

Brakuje informacji o obecności naszych oddziałów w rejonie Mitawa [obecnie Jełgawa - M.S.]-Joniszki tak samo ze względu na brak jakiegokolwiek łączności ze sztabem 11. Armii [tak jest w tekście, chociaż z kontekstu wynika, że powinno być: 8. Armii - M.S.] i 10. Korpusu Strzeleckiego.

3. 202. DZmot., wobec braku danych na temat własnych oddziałów, wycofuje się z zajmowanego obszaru do rejonu lasów na południowy zachód od Mitawy [odwrót na 80 kilometrów - M.S.], przemieszczając się w dwóch kolumnach [dalej szczegółowy opis tras - M.S.].

4. Ja ze sztabem dywizji, batalionem rozpoznawczym, będą się poruszał na czele prawej kolumny. Po ześrodkowaniu - punkt dowodzenia w Guszti.

Doniesienie bojowe nr [b/n]

Las 4 km na południowy wschód od Madony

Godz. 5.00 1.07.1941 r.

[dokument napisany ręcznie, nieczytelny charakter pisma - M.S.]

1. Rankiem 28.06.1941 nieprzyjaciel sforsował Dźwinę i zajął Krustpils. Broniąca miasta kompania NKWD, wycofała się, tracąc prawie wszystkich żołnierzy (zostało dwóch czerwonoarmistów i dowódca kompanii).

Rankiem 29.06. pojedyncze oddziały nieprzyjaciela znajdujące się w pobliżu miejscowości Płaviņas i Gostini, w lasach na północny zachód od Krustpils, zostały zniszczone i rozproszone przez 645. i 682. pułk zmotoryzowany.

Od godz. 21.00 29.06. nieprzyjaciel próbował otoczyć i zniszczyć połączony oddział szefa sztabu 645. ps (batalion strzelecki, batalion inżynieryjny, dywizjon artylerii przeciwlotniczej) w lesie na południe od Spuņģēni [miejscowość 5 kilometrów na północ od Krustpils - M.S.]. Od godz. 5.00 30.06. nieprzyjaciel siłami do dwóch batalionów strzeleckich, jednego dywizjonu artylerii i czołgów po przygotowaniu artyleryjskim, przy wsparciu ognia artylerii pancernej z zagajnika 1,5 km na południe od Płaviņas atakował Gostini z południa i po dwugodzinnej walce zajął miasteczko.

O godz. 19.00 30.06. nieprzyjaciel w małych grupach przy wsparciu samochodów pancernych zaatakował połączony oddział (składający się z batalionów szturmowych i uciekających z frontu czerwonarmistów) utrzymujący obronę na linii [nieczytelne]. Połączony oddział w panice uciekł do rz. Ewikszta [prawy dopływ Dźwiny - M.S.], a nieprzyjaciel dotarł do Laudony. 29-30 czerwca nieprzyjaciel dominował w powietrzu i prawie wszystkie oddziały zostały zbombardowane.

2. Po dwóch dniach obrony 15 kilometrów na południowy zachód od Janiszek [tu autor doniesienia zaczyna opisywać wydarzenia z poprzednich dni, sprzed odwrotu na prawy brzeg Dźwiny - M.S.], bez jakiegokolwiek łączności z 11. Korpusem Strzeleckim i 8. Armią, [cztery słowa nieczytelne] oddziałom łączności lokalizacji, bez poinformowania o tym. Odszukany dowódca 11. Korpusu Strzeleckiego generał major Szumiłow odmówił objęcia dowództwa 202. DZmot i przekazał jej wszelkie prawa do samodzielnego decydowania o dalszych działaniach.

O godz. 16.00 28 czerwca 202. DZmot po **160 km marszu** [podkreślenie moje - M.S.] zaczęła się zbliżać do Rygi pojedynczymi rozproszonymi pododdziałami, ponieważ w czasie marszu była nieraz bombardowana, a bezładna ucieczka i chaos na szosie ryskiej dodatkowo zmieszały szyki dywizji. W miarę ściągania oddziałów do Rygi przedstawiciele sztabu 8. Armii [pułkownik Smirnow?] kierowali je do Krustpils szosą dźwińską [magistrala samochodowa biegnąca wzdłuż prawego brzegu Dźwiny - M.S.].

W ten sposób zostały wysłane 645. ps, 682. ps i 652. part, o czym dowiedziałem się dopiero po ich skierowaniu do Krustpils. Ponieważ [nieczytelne] jednostki nie zostały zaopatrzone w paliwo i amunicję, to pododdziały oddaliły się od siebie po całej trasie, a dowództwo nad nimi zostało utracone. Pojedynczymi grupami, w sposób niezorganizowany schodząc z trasy marszu, 645. ps i 682. ps zdobyły miasteczko Gostini rankiem 29.06., a połączony oddział, skła-

dający się z jednostek specjalnych dywizji i pododdziałów 645. ps, o godz. 19.00 29.06. zaatakował Krustpils z północy, niszcząc około kompanii piechoty wroga, ale przed godz. 21.00 cały oddział znalazł się w okrążeniu nieprzyjaciela w pobliżu lasu na południe od Spuņģēni [wspominaliśmy już o tym powyżej w punkcie 1 - M.S.].

Po ataku nieprzyjaciela od Gostini o godz. 11.00 30.06. zaczęły się wycofywać resztki 645. ps i wieczorem dotarły w okolice Gulbene [miejscowość położona 85 kilometrów na północny wschód od Dźwiny - M.S.]. 682. ps rozproszonymi grupami wycofał się w nieznanym kierunku. Po osobistym rozpoznaniu o godz. 24.00 30.06. wysłałem sformowane z resztek oddziałów bataliony: 125. pułk pancerny (250 żołnierzy) na linię [nieczytelne], 645. ps (250 żołnierzy) na przeprawę przy Lyegrade. Pozostałe pododdziały zbierają się w rejonie Madony do dalszej [nieczytelne].

Doniesienie bojowe nr [b/n], Sztab Dywizji 202.
Las 1 km na północny zachód od Jangulbene
Godz. 17.00 2.07.1941 r.

1. Nieprzyjaciel siłami do pułku [piechoty] z czołgami, przy wsparciu dwóch dywizjonów artylerii, o godz. 13.00 zaatakował prawe skrzydło oddziałów 202. DZmot broniących rubieży Madony. Po trwającej półtorej godziny walce batalion 682. ps został odrzucony z rubieży Łyndes, wzniesienie 218,3, odsłaniając skrzydło i tyły batalionu 645. ps.

2. Oba bataliony około godz. 17.00 z dużymi stratami wycofały się na linię Kraukļi-Bebri-stacja Dzelzava.

3. Jestem zdania, że resztki oddziałów 202. DZmot straciły zdolność bojową wskutek długotrwałego udziału w walkach, braku artylerii przeciwpancernej, cekaemów, pocisków do dział kalibru 122 mm i 152 mm, niewielkiej liczby żołnierzy i oficerów. Dlatego też postanowiłem 2.07.1941 r. bronić się na linii zajmowanej przez wycofujące się

oddziały, wzmocniwszy je pułkiem pancernym liczącym 120 ludzi i dwoma działami przeciwpancernymi z mojego odwodu.

Dołożę wszelkich starań, aby tę linię utrzymać. Jednocześnie proszę przekazać do mojej dyspozycji 10 czołgów, gdyż bez nich resztki dywizji zostaną rozpędzone przez nieprzyjaciela.

Wychodzące nr 069

3.07.1941 r.

Do dowodzącego 8. Armiją
generała lejtnanta tow. Sobiennikowa
[dokument napisany ręcznie - M.S.]

1. Przed frontem 202. DZmot działa nieprzyjaciel siłami jednego pułku piechoty, jednego batalionu motocyklowego, dwóch lub trzech dywizjonów artylerii i dwóch lub trzech kompanii wozów opancerzonych z czołgami.

2. Około godz. 7.00 3.07.1941 r. po ciężkich walkach w rejonie Krustpils i Gostini, trzech atakach na Lyegrade, obronie Madony 202. DZmot wycofała się i broni linii [nieczytelne cztery nazwy - M.S.].

3. Dywizja straciła prawie całkowicie ludzi - w pułkach pozostało 200-250 żołnierzy. Cekaemy i artyleria przeciwpancerna zostały zniszczone przez nieprzyjaciela, dostępnej artylerii brakuje pocisków.

Brak materiałów wybuchowych, a sprzętu inżynieryjnego, pocisków, min przeciwpiechotnych i reszty brakuje od wybuchu wojny i nie wiadomo, gdzie można je zdobyć.

Brak środków łączności, benzyny i prowiantu trzeba szukać po okolicy. Nie wiadomo, gdzie kierować rannych i skąd brać leki.

4. 202. DZmot całkowicie straciła zdolność bojową i przy ataku nieprzyjaciela na zajmowane pozycje dywizja nie jest w stanie w przyszłości utrzymać obrony.

Do dowodzącego Frontem Północno-Zachodnim
generała lejtnanta tow. Sobiennikowa
Wychodzące nr 0073
11.07.1941 r.

Podczas odwrotu 202. DZmot przez Rygę naczelnik wydziału operacyjnego 8. Armii bez mojej wiedzy wysłał niektóre rzuty oddziałów dywizji w kierunku Krustpils, przez co zostało zdeorganizowane dowodzenie dywizją na marszu i co doprowadziło do tego, że poszczególne grupy i pododdziały dywizji nie mogły znaleźć swoich jednostek i udały się w rejon Pskowa.

Dowódcy, którzy zorganizowali [tak jest w tekście - M.S.] te pododdziały, skontaktowali się ze sztabem frontu w sprawie lokalizacji 202. DZmot i otrzymali odpowiedź od dowódcy wojsk samochodowo-pancernych frontu, że 202. DZmot została zniszczona przez nieprzyjaciela, [a] sztab dywizji kieruje innymi siłami.

Na tej podstawie dowódca wojsk samochodowo-pancernych frontu bez mojej wiedzy, rzekomo z upoważnienia Rady Wojennej frontu, z tych żołnierzy sformował zbiorczy pułk pod dowództwem szefa sztabu 682. ps 202. DZmot kapitana Ałdoszyna, który zdezerterował wcześniej z pola walki [w innych źródłach jego nazwisko podaje się jako Awdoszyn - M.S.], i wysłał go do dyspozycji dowódcy 21. Korpusu Zmechanizowanego. Pułk miał około 1200 żołnierzy i oficerów, kompletny batalion samochodowy, dywizjon parkowy dywizji i batalion medyczny.

Dowódca 24. KS po trasie przejazdu dywizji [202. Zmotoryzowanej] zabrał z kolumny 17 ciężarówek z kompletnie uzbrojonymi czerwonoarmistami, a gdy dowództwo próbowało się sprzeciwić jego działaniom, generał major zagroził, że zastrzeli każdego, kto ośmieli się nie wykonać jego rozkazu, tłumacząc te dezorganizujące działania jako konieczne w zaistniałych okolicznościach.

Moich przedstawicieli posłanych po zwrot ciężarówek i żołnierzy dowódca 24. KS potraktował po chamsku i kłamliwie poinformował, że 202. DZmot rzekomo jest zniszczona i rozpędzona przez nieprzyjaciela, ale pojazdów i ludzi nie oddał.

Następnie stojący na wszystkich skrzyżowaniach dróg pułkownicy, podpułkownicy i majorzy próbowali przechwytywać z kolumn i szyków bojowych dywizji samochody i całe pododdziały, tłumacząc te dezorganizujące działania upoważnieniami Rad Wojennych frontu i 8. Armii.

Uznałem za konieczne poinformować Was osobiście o niniejszych faktach, gdyż uważam je za wyjątkowo ważne, a także dlatego, że już niejednokrotnie poruszałem sprawę zwrócenia mi moich ludzi i środków transportu, ale z niezrozumiałych powodów dowódcy 21. KZmech i 24. KS nie zwracają mi ludzi i sprzętu.

Jednocześnie proszę o decyzję w sprawie zwrotu do dywizji batalionu strzeleckiego oddelegowanego do sztabu 8. Armii, ponieważ dywizja cierpi na duży niedobór ludzi.

Komunikat informacyjny
według stanu z 2 sierpnia 1941 r.

W czasie wszystkich działań wojennych i w ostatnich dniach duch polityczny i moralny żołnierzy w jednostkach jest zasadniczo zdrowy. Jednocześnie odnotowano szereg przypadków tchórzostwa, paniki, defetyzmu i nastrojów antyradzieckich ze strony chwiejnych elementów.

naczelnik Wydziału Specjalnego NKWD 202. DZmot lejtnant
bezpieczeństwa państwowego Bodiagin
2.08.1941 r. nr 644

OSTATNIA PRÓBA

17 lipca 1941 roku w pobliżu miasteczka Łoźno (obwód witebski) wśród wielu tysięcy innych jeńców Niemcy odnaleźli starszego lejtnanta Jakowa Dżugaszwilego, rodzzonego syna Ojca Narodów, dowódcę baterii artylerii z 14. Dywizji Pancerniej 7. Korpusu Zmechanizowanego. Ten epizod – niewątpliwie tragiczny, ale też zupełnie znikomy w skali historycznej – do dzisiaj pozostaje jedynym znanym powszechnie wydarzeniem związanym z kontrofensywą korpusów zmechanizowanych Frontu Zachodniego w okolicach Lepła i Sienna. Szkoda – bo przecież mowa o dużej operacji, która pod względem liczby biorących w niej udział czołgów i formacji zmechanizowanych stoi w jednym szeregu z największymi bitwami pancernymi II wojny światowej. Bitwa przy Lepłu i Siennie to ostatni zryw, ostatnia podjęta przez dowództwo Armii Czerwonej próba zadania miażdżącego kontruderzenia przy użyciu związków pancernych; korpusy zmechanizowane podczas tego starcia ostatecznie zniknęły i wszelkie kolejne wysiłki w celu przejęcia inicjatywy w 1941 roku sprowadzały się do czołowych ataków piechoty (na większą lub mniejszą skalę).

Jest jeszcze jeden powód, dla którego bitwa przy Lepłu, Siennie zasługuje na bardzo wnikliwą uwagę historyków. „Co by było, gdyby Stalin ubiegł Hitlera i pierwszy cios zadałaby zmobilizowana i rozwinięta do walki Armia Czerwona?” Oto sakramentalne pytanie, w odpowiedzi na które zapisano już góry papieru. Na pierwszy rzut oka można tylko snuć jałowe dywagacje na ten temat („historia nie zna trybu warunkowego”), ale właśnie operacja lepelska jawi się nam dzisiaj jako idealny „wehikuł czasu”, który pozwala odrzucić liczne „jeśli”.

Zmobilizowane (w niektórych przypadkach nawet ponad normy etatowe) korpusy zmechanizowane wcześniej (w odniesieniu do 7. KZmech to stwierdzenie jest bezsporne) ześrodkowano na pozycjach wyjściowych; straty na etapie wymarszu i ześrodkowania były minimalne albo w ogóle

zerowe. Kierunki przyszłego natarcia zostały przepracowane na mapach i w terenie; sam teren (wschodnia Białoruś przy granicy ze Smoleńszczyzną) żołnierz radziecki dobrze znał i rozumiał. W kalendarzu – lipiec, środek lata, najlepszy czas do działania dla związków zmechanizowanych. Stosunkowo nieliczny nieprzyjaciel nawet nie podejrzewa, że do frontu zbliża się potężna pancerna „pięść”.

Na tym praktycznie idealnym obrazie znajdował się tylko jeden budzący przerażenie szczegół – szesnastego dnia wojny rejonem ześrodkowania uderzeniowych związków szybkich były Witebsk i Orsza. 500 kilometrów na wschód od granicy. W połowie drogi między Brześciem i Moskwą.

Kto zwycięży w tej walce?

Centralny odcinek Frontu Wschodniego (linia Mińsk–Smoleńsk–Moskwa) został wybrany przez najwyższe dowództwo Wehrmachtu jako kierunek najważniejszej – w skali całej kampanii przeciwko ZSRR – ofensywy; tam rozwinięto najpotężniejszą Grupę Armii „Środek”, która pod pewnymi względami górowała nad obiema pozostałymi (GA „Północ” i GA „Południe”). Znajdujące się w składzie GA „Środek” dwa zmotoryzowane zgrupowania uderzeniowe (2. i 3. Grupa Pancerna, łącznie 9 dywizji pancernych i 7 dywizji zmotoryzowanych) umożliwiły zaplanowanie i przeprowadzenie operacji głębokiego otoczenia i okrążenia wojsk radzieckich.

Korpusy pancerne Wehrmachtu w ciągu tygodnia pokonały około 350 kilometrów (to odległość w linii prostej, nieuwzględniająca rzeczywistej długości dróg i manewrowania bojowego) od Suwałk do Wilna i Mińska oraz od Brześcia do Baranowicz i Mińska; dywizje piechoty zamknęły „mały pierścień” okrążenia około 50–70 kilometrów na zachód od Baranowicz, a jeden z trzech korpusów 2. Grupy Pancerniej przez Słuck dotarł do Berezyny w pobliżu Bobrujska. Ostatnie ogniska zorganizowanego oporu oddziałów Frontu Zachodniego zdławiono do 2–3 lipca. Dwie trzecie oddziałów frontu zostały rozgromione całkowicie, liczebność dywizji, które wydostały się z „kotła” w najlepszych i rzadkich przypadkach osiągała 1,5–2 tysiąca ludzi. Ciężkie uzbrojenie (czołgi, samoloty, artyleria dużych i średnich kalibrów) porzucono praktycznie całkowicie, nie doliczono się

520 tysięcy sztuk broni strzeleckiej, kilku tysięcy wagonów amunicji, dziesiątków tysięcy ton paliwa. Dowództwo frontu zostało aresztowane, a następnie rozstrzelane.

Teoria i (co ważniejsze) praktyka sztuki wojennej dają jednoznaczną odpowiedź na pytanie, jakie mogą być plany po zakończeniu operacji ofensywnej na głębokość 300 kilometrów. Naprawić i uzupełniać uszkodzony sprzęt bojowy, podciągnąć tyły, uzupełnić zapasy paliwa i amunicji, nakarmić ocalałych ludzi, dać im się wyspać i chociaż trochę wypocząć. W nauce nazywa się to „pauzą operacyjną”.

Jej długość bywa różna. Na przykład w tych samych okolicach i równie upalnym latem, ale już w 1944 roku, wojska radzieckie po zwycięskiej ofensywie na Białorusi (operacja „Bagration”) stały na linii Wisły przez cały sierpień, wrzesień, październik, listopad, grudzień. 5 miesięcy przed rozpoczęciem (12 stycznia 1945 r.) operacji wiślańsko-odrzańskiej. Oczywiście w tym przypadku o długości pauzy operacyjnej decydowały głównie zawile perypetie walki politycznej wewnątrz koalicji antyhitlerowskiej. Ale nawet po ustaleniu przez sojuszników granic przyszłej Europy na konferencji w Jałcie pauza operacyjna między zakończeniem operacji wiślańsko-odrzańskiej i rozpoczęciem operacji berlińskiej trwała siedemdziesiąt dwa dni.

W lipcu 1941 roku oddziały Grupy Armii „Środek” wznowiły natarcie na wschód kilka dni po tym, jak czołowe oddziały 2. i 3. Grupy Pancерnej zamknęły pierścień okrążenia w pobliżu Mińska. 28 czerwca 12. Dywizja Pancerna 3. Grupy Pancерnej wkroczyła do Mińska i już 3 lipca dowódca Grupy generał pułkownik Hermann Hoth podpisał rozkaz o rozpoczęciu nowej operacji ofensywnej na głębokość 250–300 kilometrów. Działający na lewym (północnym) skrzydle 2. Grupy Pancерnej 47. Korpus (17. i 18. Dywizja Pancerna) ominął Mińsk od południa praktycznie bez zatrzymywania i drogą nr 1 (Mińsk–Smoleńsk–Moskwa) skierował się do mostów przez Berezynę w okolicach Borysowa.

Brak wyraźnej pauzy operacyjnej w działaniach Grupy Armii „Środek” miał co najmniej dwie przyczyny. Po pierwsze, oddziały niemieckie w pierwszym etapie „kampanii wschodniej” poniosły jedynie minimalne (nie jak na dzisiejsze standardy, a w skali wyniszczającej wojny światowej!) straty. Jeśli wziąć poprawkę na nieuniknione błędy i niekompletność raportów sporządzanych w ferworze walk, podanie strat z dokładnością co do

jednej osoby w zasadzie jest niemożliwe. Górną granicą oszacowania ogólnych (zabici, ranni, zaginieni) strat w ludziach GA „Środek” w ciągu pierwszych dziesięciu dni wojny będą liczby rzędu 19–20 tysięcy osób, czyli średnio 40 ludzi dziennie na liczącą 16 tysięcy żołnierzy dywizję.

Między innymi straty 3. Grupy Pancерnej (4 dywizje pancerne i 3 dywizje zmotoryzowane) między 22 czerwca a 2 lipca wyniosły jedynie 1769 ludzi (w tym 583 bezpowrotnie), co w przeliczeniu daje średnio 24 ludzi dziennie na dywizję. Z kolei straty dywizji 47. Korpusu Zmotoryzowanego 2. Grupy Pancерnej były największe spośród wszystkich związków szybkich frontu wschodniego: 18. Dywizja Pancerna straciła 1346 ludzi, zabitych, rannych i zaginionych, 29. Dywizja Zmotoryzowana – 1026 ludzi. Ale nawet te już całkiem namacalne straty wyniosły mniej niż 10% pierwotnej liczby żołnierzy.

Straty sprzętu wojskowego były znacznie większe – czołg z początkowego okresu II wojny światowej, choć może się to wydawać paradoksalne, był bardzo delikatną maszyną, wymagającą ciągłej konserwacji i częstych napraw; tu również nie bez znaczenia były „przeciwczołgowe” właściwości białoruskich dróg. W rezultacie na początku lipca bezpowrotne straty w czołgach (w tym wśród lekkich czołgów PzKpfw I) 3. Grupy Pancерnej wyniosły 81 sztuk i co najmniej tyle samo wymagało naprawy (uznano je za czasowo niezdolne do walki). Inaczej mówiąc, zasób nadających się do walki maszyn zmniejszył się do około 80% od liczby wyjściowej.

W tym przypadku straty 47. Korpusu Zmotoryzowanego 2. Grupy Pancерnej były znacznie większe; być może wynikało to z braku doświadczenia dowództwa w kierowaniu związkami pancernymi podczas walk – obie dywizje (17. i 18.) powstały na bazie jednostek piechoty późną jesienią 1940 roku. A zatem 17. Dywizja Pancerna do 4 lipca miała tylko 80 pojazdów bojowych (poniżej 35% liczby pierwotnej). Tak czy inaczej, dowództwo Wehrmachtu uznało własne jednostki szybkie za wciąż jeszcze nadające się do walki.

Drugą przyczyną, dla której Niemcy tak się śpieszyli ze wznowieniem ofensywy, było fatalne niedoszacowanie sił nieprzyjaciela. Dowództwo Wehrmachtu wierzyło, że oddziały Armii Czerwonej, które udało się rozgromić w ciągu pierwszych dwóch tygodni wojny, są „głównymi siłami radzieckich wojsk lądowych stacjonujących na zachodzie Rosji”, a teraz

pozostaje tylko ścigać rozproszone resztki pokonanej armii na wschód, do Leningradu i Moskwy.

1 lipca 1941 roku dowództwo 3. Grupy Pancерnej wydało „Instrukcje w sprawie dalszego prowadzenia działań bojowych”, w których buńczucznie stwierdzało: „Według posiadanych obecnie doniesień nie ma podstaw do tego, żeby spodziewać się świeżych sił nieprzyjaciela na południe od górnego biegu rz. Dźwiny” (w rzeczywistości wówczas na wskazanym obszarze rozwijano 2 (!) armie drugiego rzutu strategicznego). Dołączone do wspomnianego wyżej rozkazu 3. Grupy Pancерnej z 3 lipca doniesienie wywiadu nr 10 zawiera następującą ocenę sił i zamiarów wroga: „Zauważono obecność pojedynczych rozproszonych oddziałów w okolicach Witebska, Dżisny, jeziora Narocz, Borysowa. (...) Można wyciągnąć wniosek, że Rosjanie nie będą bronili odcinka Witebsk–Dżisna z powodu braku wystarczających sił i czasu. Jednak nieprzyjaciel może stawiać opór lokalnie w rejonie przyczółków i przepraw”.

Na podstawie takiej oceny możliwości wroga dowództwo 3. Grupy Pancерnej opracowało bynajmniej nie banalny plan ofensywy. Wydawać się mogło, że ukształtowanie terenu sugerowało optymalną trasę przez tzw. „bramę smoleńską” – szeroki na 70 kilometrów pas otwartej przestrzeni od Witebska do Orszy, między Dźwiną i Dnieprem. Jednak dywizje 3. Grupy Pancерnej skierowały się nie na wschód, a na północ od Mińska. Omijając niebezpieczne dla czołgów porośnięte lasami i bagniste okolice w górnym biegu Berezyny, miały sforsować Dźwinę w pobliżu Połocka, wyjść na szosę Połock–Witebsk i dalej na północ do Newela, następnie skrócić na południowy wschód, wrócić na lewy (południowy) brzeg Dźwiny i nacierać przez Wieliz na Jarcewo (miejscowość położona 50 kilometrów na północny wschód od Smoleńska).

Te dziwaczne manewry miały na celu wykorzystanie utwardzanych dróg na północ od Dźwiny i nieprzeciążanie ponad miarę głównej magistrali Mińsk–Orsza–Smoleńsk, którą przeznaczono do przemarszu 47. Korpusu Zmotoryzowanego 2. Grupy Pancерnej. To zrozumiałe, że decyzja o dwukrotnym sforsowaniu sporej rzeki mogła zapaść wyłącznie w założeniu, że „Rosjanie nie będą bronili rejonu Witebsk–Dżisna z powodu braku wystarczających sił”.

W ten sposób do 4–5 lipca jednostki szybkie Wehrmach tu na północnym skrzydle Grupy Armii „Środek” rozmieściły się w następującym

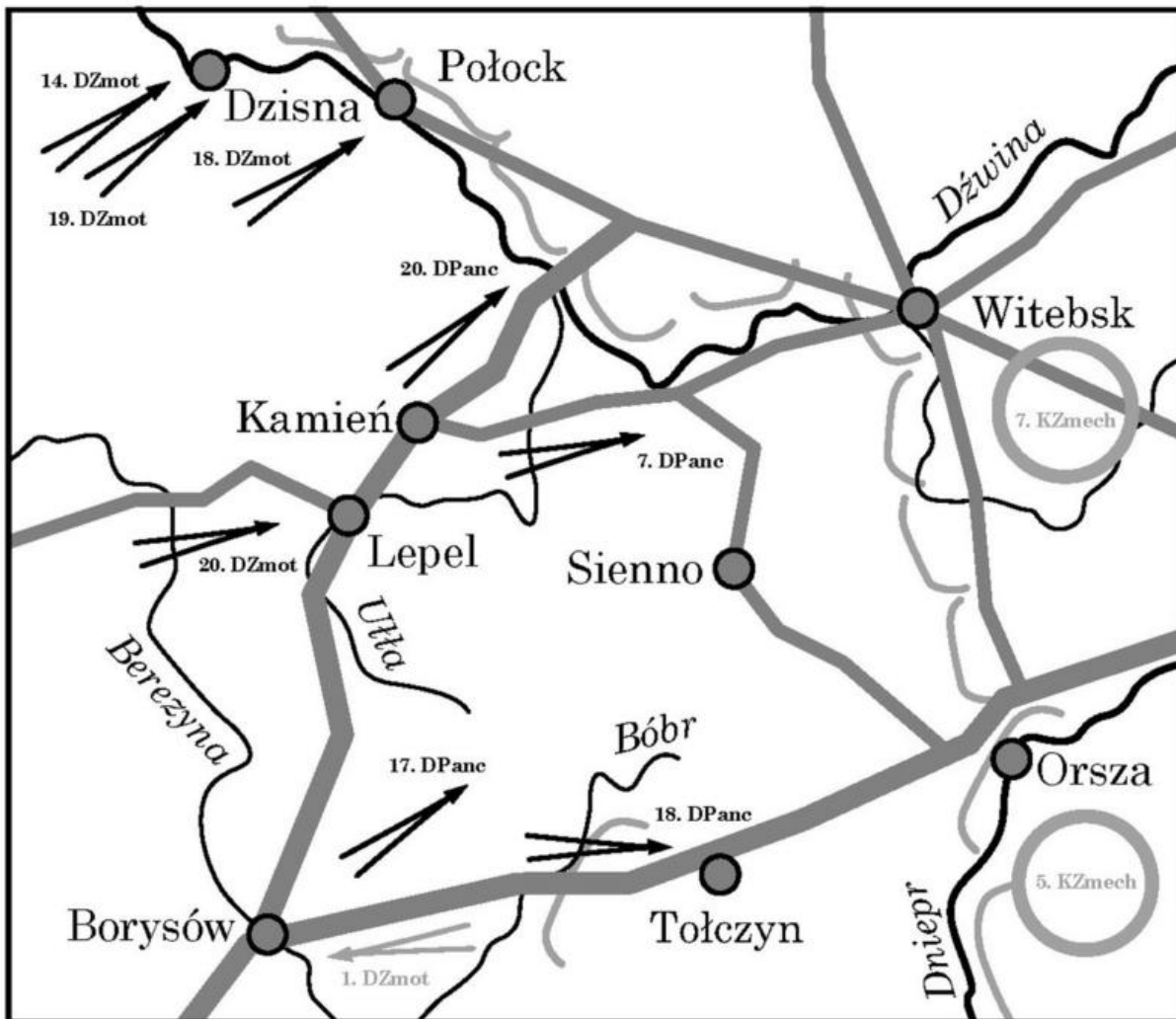
szyku. 4 dywizje (19. DPanc, 20. DPanc, 14. DZmot, 18. DZmot) 3. Grupy Pancерnej dotarły do Dźwiny i zaczęły ją forsować w pasie między Dżisną i Ułłą. 20. Dywizja Zmotoryzowana zbliżała się do Lepla z zadaniem wsparcia działań 20. DPanc przy forsowaniu Dźwiny, 12. DPanc pozostawała w pobliżu Mińska. Jediną jednostką 3. Grupy Pancерnej, która znajdowała się na wschód od Ułły, była 7. Dywizja Pancerna, która prowadziła natarcie wzdłuż południowego brzegu Dźwiny na Bieszenkowicze i Witebsk. 18. Dywizja Pancerna (47. Korpus Zmotoryzowany 3. Grupy Pancерnej), prowadząc walki, przedarła się przez przeprawy na rzekach Berezyna i Bóbr i ruszyła magistralą na Tołoczyn; inna dywizja pancerna tego korpusu (17. DPanc) po przeprawieniu się przez Berezynę w pobliżu Borysowa kierowała się polnymi drogami do Sienna.

Błyskawiczne rozgromienie oddziałów Bałtyckiego i Zachodniego Okręgu Wojskowego (odpowiednio Frontu Północno-Zachodniego i Frontu Zachodniego) nie stało się interludium do upadku Leningradu i Moskwy tylko dlatego, że towarzysz Stalin do wojny się przygotowywał. I nie do abstrakcyjno-teoretycznej, a do konkretnej wojny, która powinna była wybuchnąć w lipcu lub w sierpniu 1941 roku.

Nie można podać dokładnych dat początku rozwinięcia strategicznego Armii Czerwonej, ponieważ proces ten został okryty zasłoną tajemnicy w niezwykle nawet dla Związku Radzieckiego sposób. Z tego, co wiadomo, 22 maja 1941 roku pierwsze zaczęły załadunek kolejowy jednostki 16. Armii i 5. Korpusu Zmechanizowanego; ze względu na wielkie odległości (z Zabajkala i Mongolii do Berdyczowa i Szepietówki) oraz utrzymany tryb pracy kolei dla czasu pokoju powinny były dotrzeć do stacji docelowych między 17 czerwca a 10 lipca. Pod koniec maja lub na początku czerwca podjęto decyzję o powstaniu 6 nowych armii na bazie dowództwa i jednostek okręgów wewnętrznych: 19. (Północnokaukaski Okręg), 20. (Orłowski Okręg), 21. (Nadwołżański Okręg), 22. (Uralski Okręg), 24. (Syberyjski Okręg) i 28. (Archangielski Okręg).

Pierwotnie zakładano, że 22. Armia ześrodkuje się na tyłach Frontu Zachodniego w okolicach Witebska; 19., 20. i 21. Armia w głębi Frontu Południowo-Zachodniego w pasie między Czernihovem i Czerkasami, 24. i 28. Armia odpowiednio na południowy i północny zachód od Moskwy. Termin zakończenia wszystkich przemieszczeń (a to około 3 tysięcy składów kolejowych!) wyznaczono na 3–10 lipca. Z zachowaniem najsurow-

szych zasad kamuflażu, załadowawszy się nocami na zamkniętych stacjach do zabitych deskami wagonów, 7 armii wyruszyło na zachód.



O świcie 22 czerwca „nieprzyjacieli, wyprzedzając nasze oddziały w rozwinięciu” (właśnie takiego sformułowania użyto w meldunku operacyjnym nr 01 Sztabu Generalnego Armii Czerwonej), rozpoczął najazd. Plany użycia armii Odvodu Naczelnego Dowództwa trzeba było natychmiast zmienić, gdyż teraz głównym zadaniem stała się obrona kierunku smoleńskiego, a nie ofensywa z terytorium Ukrainy Zachodniej na Kraków i Katowice. Już 27 czerwca wydano rozkazy o rozwinięciu 20. i 21. Armii w „bramie smoleńskiej” i dalej wzdłuż Dniepru (na linii Witebsk–Orsza–Mohylew–Rogaczew–Rzeczycza), przypominam, że 22. Armia kierowała się na linię Dźwiny zgodnie z planami jeszcze sprzed wojny.

W rezultacie na początku lipca na północnym brzegu Dźwiny między Dżisną i Witebskiem zajęły obronę 4 świeże dywizje strzeleckie (112., 98., 174., 186.) – nie licząc przy tym wycofujących się do Dźwiny resztek rozgromionych oddziałów Frontu Północno-Zachodniego. Jeszcze jedna dywizja (153. DS) 22. Armii została przeniesiona na zachód od Witebska dla obrony wąskiego przejścia między jeziorami w okolicach Czarnogościa. Bezpośrednio w „bramie smoleńskiej” rozwijały się 4 dywizje strzeleckie (73., 229., 233., 137.), a dalej wzdłuż Dniepru od Orszy do Szkłowa – jeszcze trzy dywizje strzeleckie (18., 110., 172.) 20. Armii.

Zastosowane rozmieszczenie sił świadczy o tym, że spodziewano się głównego uderzenia Niemców przez „bramę smoleńską”; jak już wspomnieliśmy, w rzeczywistości jednostki szybkie 3. Grupy Pancernej nacierają bardziej na północ, przez Dźwinę w pobliżu Połocka. Jednak obecność potężnej naturalnej rubieży obronnej (głębokiej rzeki) w połączeniu z dwiema setkami żelbetowych bunkrów Połockiego Rejonu Umocnionego (owszem, równie prymitywnych jak fińskie na linii Mannerheima) pozwalała przypuszczać, że ofensywę nieprzyjaciela uda się spowolnić. To wystarczyło, ponieważ do międzyrzecza Dźwiny i Dniepru kierowały się (jak wcześniej, z Ukrainy) jeszcze 2 armie Odwodu Naczelnego Dowództwa (16. i 19.), a w głębi tworzonego właśnie nowego frontu od Starej Russy do Briańska rozwijało się 6 (!) armii trzeciego rzutu (29., 30., 24., 28., 31. i 32.).

Dwa ostatnie korpusy zmechanizowane

Obrona powinna być aktywna. Takie wytyczne zapisano na pierwszej stronie regulaminu polowego Armii Czerwonej (PU-39). Zatem dowództwo nowego Frontu Zachodniego (a od 4 lipca stanowisko dowodzącego frontem osobiście objął ludowy komisarz obrony marszałek Timoszenko) nie zamierzało ograniczyć się do ustawiania „łańcuszków” dywizji strzeleckich wzdłuż linii rzek, ale przygotowywało potężną kontrofensywę przy użyciu związków pancernych.

W Armii Czerwonej duży związek pancerny (dwie dywizje pancerne i jedna dywizja zmotoryzowana plus samodzielny pułk motocyklowy)

nazywano wówczas „korpusem zmechanizowanym”. Nominalnie takich korpusów do czerwca 1941 roku powstało 29, a w rzeczywistości nie więcej niż 14–15 zostało obsadzonych chociażby do połowy norm etatowych. Większość z nich już zniknęła w płomieniach walk przygranicznych. Pozostały tylko dwa duże, zdolne do walki korpusy zmechanizowane i postanowiono je rzucić do kontrofensywy.

7. Korpus Zmechanizowany (dowodzony przez generała majora Winogradowa) powołano w Moskiewskim Okręgu Wojskowym. Był to korpus „stołeczny”, co bardzo korzystnie odbiło się na jego wyposażeniu i obsadzie. Pułk czołgów ze składu należącej do korpusu 1. Dywizji Zmotoryzowanej odznaczonej Orderem Czerwonego Sztandaru im. Moskiewskiego Proletariatu został wyposażony w najnowsze czołgi BT-7m z silnikami wysokoprężnymi, na szosie ten lekki czołg z silnikiem o mocy 500 KM wyprzedzał ciężarowe GAZ-y; dywizyjny pułk artylerii otrzymał 36 haubic przy normie etatowej 28 sztuk.

7. Korpus Zmechanizowany ruszył na zachód wieczorem 24 czerwca, sprzęt gąsienicowy załadowano na platformy kolejowe, pojazdy kołowe poruszały się własnym napędem. Sytuacja na froncie na Białorusi zmieniała się szybciej, niż koła uderzały o szyny, a zadanie korpusu zmieniali kilka razy różni dowódcy. Najpierw korpus miał się ześrodkować w rejonie Wiaźmy, następnie (rankiem 26 czerwca) ze Sztabu Generalnego telefonicznie przekazano ustny rozkaz o kontynuowaniu marszu dalej na zachód, do Smoleńska. Co ciekawe, dobę wcześniej, o godz. 8.20 25 czerwca, ze Sztabu Generalnego wysłano do dowodzącego Frontem Zachodnim Pawłowa telegram: „Do waszej dyspozycji z Moskiewskiego OW 25.06.1941 do Mińska przybędzie 7. KZmech”.

Dziś już nikt nie jest w stanie powiedzieć z całą pewnością, czy naczelne dowództwo rzeczywiście miało zamiar odblokować okrążone w pobliżu Mińska zgrupowanie wojsk, czy też wysłano wiadomość o zbliżaniu się świeżego korpusu zmechanizowanego, żeby podnieść na duchu Pawłowa; jednak w dzienniku działań bojowych 1. DZmot znajduje się wpis, że o godz. 13.00 25 czerwca otrzymano rozkaz, żeby „kontynuować marsz na Mińsk”. W rzeczywistości żadna z jednostek 7. KZmech nie dotarła do Mińska. Rozkaz nr 1 sztabu 7. KZmech podpisany o godz. 9.30 27 czerwca ponuro stwierdzał: „Oddziały zmotoryzowane i zmechanizowane nieprzyjaciela o godz. 6.00 26.06.1941 dotarły w okolice Mińska i kierują się na

wschód” oraz polecał dywizjom pancernym ześrodkować się w rejonie stacji Rudnia–Zaolsza–Zuja (55 metrów na południowy wschód od Witebska) „w gotowości do tego, żeby uderzeniem na południe zepchnąć czołgi nieprzyjaciela do Dniepru i zniszczyć”. Innymi słowy, korpus miał zostać wykorzystany do odparcia ewentualnego uderzenia Niemców autostradą nr 1 przez Borysów na Smoleńsk.

26 czerwca na rozkaz dowódcy 20. Armii 1. Dywizja Zmotoryzowana miała zająć obronę 12–15 kilometrów na zachód od Orszy. Znajdowała się tam do rana 1 lipca. Dalsze wydarzenia tak opisano w meldunku operacyjnym nr 08 dowódcy 1. DZmot: „O godz. 3.40 1.07. za pośrednictwem szefa sztabu 16. [tak jest w tekście – M.S.] Armii otrzymałem od dowodzącego Frontem Zachodnim generała armii Pawłowa rozkaz wyruszenia do rz. Berezyny, front Ziembin–Borysów–Czerniawka do godz. 12.00 1.07.1941 z zadaniem uniemożliwienia przeprawy nieprzyjaciela przez Berezynę”. Wykonując ten rozkaz, „pierwsza proletariacka” ostatecznie znalazła się poza kontrolą 7. KZmech i dalej walczyła w pasie Borysów–Tołoczyn poza głównymi siłami korpusu.

Tymczasem dywizje pancerne 7. Korpusu Zmechanizowanego (14. i 18.) ześrodkowały się na południowy wschód od Witebska, ściągaly pozostające w tyle pododdziały, uzupełniały zapasy paliwa i amunicji. Do 29–30 czerwca zakończono ześrodkowanie oddziałów 7. KZmech, co potwierdzają dokumenty sztabów korpusu i dywizji. W następnych dniach, jak wynika z meldunków bojowych korpusu, „wszystkie jednostki korpusu prowadziły rozpoznanie na szerokim froncie do linii Połock–Lepel–Borysów. (...) Jednocześnie z zasobów dywizji i korpusu wykonywano sprzęt, naprawiano drogi i budowano mosty na trasie przyszłej kontrofensywy. (...) Rozpoznano teren, wyznaczono linie rozwinięcia i opracowano plany działań w terenie z dowódcami jednostek”.

Ześrodkowanie 5. Korpusu Zmechanizowanego (13. DPanc i 17. DPanc, 109. DZmot) oraz 57. Dywizji Pancerniej odbywało się w nieporównywalnie trudniejszych warunkach. Zgodnie z planami sprzed wojny te jednostki przetransportowano kolejną z Zabajkala na Ukrainę i 21–24 czerwca pierwsze składy dotarły na stacje Berdyczów, Proskurow i Szepietówka. Tu zastała je decyzja najwyższego dowództwa o pilnym przeniesieniu na Front Zachodni. Problemem nie była nawet odległość (lokomotywa pokona 600 kilometrów w ciągu doby), a nieuchronne w takiej sytuacji przemieszanie

się oddziałów i pododdziałów; w szczególnie ciężkiej sytuacji znalazła się 13. DPanc, która straciła batalion łączności i batalion rozpoznania (pozostały na terenie Frontu Południowo-Zachodniego). Oddziały 17. Dywizji Pancerniej ześrodkowały się w rejonie Krasnoje–Gusino (65 kilometrów na wschód od Orszy) wieczorem 3 lipca, transporty kolejowe 13. Dywizji Pancerniej rozładowano od 1 do 7 lipca. Następnie już samodzielnie oddziały dotarły do rejonu Seleкта–Klukowka (15–25 kilometrów na północ od Orszy).

Mimo wszystkich problemów podczas transportu wyposażenie dywizji pancernych 5. Korpusu Zmechanizowanego robi wrażenie – takich ilości sprzętu bojowego i transportowego nie miał nikt, nawet uderzeniowe korpusy zmechanizowane pierwszego rzutu Kijowskiego SOW. Tak więc 13. Dywizja Pancerna miała na stanie 948 ciężarówek i 248 pojazdów specjalnych, 128 cystern do paliwa, 75 ciągników różnych typów; 17. Dywizja Pancerna posiadała 156 cystern – absolutny rekord wśród dywizji pancernych Armii Czerwonej. Nie ma co się dziwić, ponieważ dywizje Zabajkałskiego Okręgu od końca lat 30. realnie funkcjonowały w trybie czasu wojny.

Dywizja zmotoryzowana (109.) 5. Korpusu Zmechanizowanego prawie w pełnym składzie pozostała na Froncie Południowo-Zachodnim. Do 30 czerwca do Orszy koleją dotarły tylko dwa bataliony strzeleckie i dwa bataliony czołgów z pojedynczymi pododdziałami saperskimi, inżynieryjnymi i przeciwlotniczymi; wszystkie zostały połączone w „oddział 19. DZmot” pod dowództwem szefa sztabu dywizji majora Miernowa. „Oddział” liczył 68 sprawnych czołgów BT, 285 pojazdów różnych typów, 2705 ludzi, co można umownie potraktować jako „jedną czwartą dywizji pancerniej”.

W sumie 5. Korpus Zmechanizowany w chwili rozpoczęcia kontrofensywy miał na uzbrojeniu około 880 czołgów (13 KW, 20 T-34, 565 BT, 281 T-26) oraz 70 samochodów pancernych BA-10. Pod względem liczby pojazdów pancernych nie ustępował żadnej z grup pancernych Wehrmachtu na froncie wschodnim. „Grupa Witebska” (7. Korpus Zmechanizowany bez 1. Dywizji Zmotoryzowanej) miała około 510 czołgów (34 KW, 29 T-34, 187 BT, 262 T-26) oraz 72 BA-10. Stalowy „taran” zamarł w oczekiwaniu na rozkaz o przejściu do natarcia.

Koncepcja kontruderzenia

W ostatnich latach w publikacjach o tematyce wojennohistorycznej bardzo modna stała się absurdalna gra „Zwymyślaj generała”. Zasady gry są proste: KAŻDĄ decyzję, podjętą przez najwyższe dowództwo Armii Czerwonej latem 1941 roku trzeba określić jako „szaloną”, „nieodpowiedzialną”, „samobójczą” itd. Zdecydowali się na atak? „Tępi generałowie wysłali żołnierzy na rzeź”! Rozkazano zająć pozycje obronne? „Tchórzliwa i pozbawiona planu decyzja zniszczyła armię”! Powiedzmy wprost, „graczom” nie można odmówić logiki – przecież trzeba jakoś wytłumaczyć publiczności, dlaczego mimo „niecodziennego masowego bohaterstwa Armii Czerwonej” Niemcy jesienią 1941 roku dotarli do Moskwy, Taganrogu i Tichwina; wybierając między od dawna nieżyjącymi generałami i Największym Radzieckim Mitem, zdecydowano się poświęcić tych pierwszych, aby ratować to drugie...

Historiografia operacji lepelskiej nie jest tu wyjątkiem. Zdaniem szeregu autorów nie trzeba było „pędzić korpusów zmechanizowanych do samobójczego ataku”, a pozostawić je na wschód od linii Witebsk–Orsza z zadaniem „wsparcia obrony dywizji strzeleckich”. Naprawdę? Przede wszystkim należy przypomnieć, że trzeba używać rzeczy zgodnie z ich przeznaczeniem. Mikroskop – nawet nie najnowocześniejszy i najmocniejszy – lepiej posłuży do liczenia leukocytów we krwi niż do podpierania drzwi w laboratorium. Duże związki pancerne (dywizje i korpusy zmechanizowane) tworzone jako narzędzie do głębokich operacji ofensywnych, a nie do „wspierania” własnej piechoty.

Pierwotny plan operacji lepelskiej – uderzyć na związki pancerne nieprzyjaciela, zanim dołączy do nich idąca z Mińska niemiecka piechota – jak najbardziej opierał się na podstawowej zasadzie sztuki wojennej: pokonać wroga, póki nie połączył oddziałów. Do wiedzy ogólnej dodano zdobyte doświadczenie: wydarzenia pierwszych dwóch tygodni wojny nie dawały podstaw do optymistycznych nadziei, że „łańcuszek” dywizji strzeleckich powstrzyma albo przynajmniej na dłużej zatrzyma i wykrwawi niemiecki „taran” pancerny; rozsądniej było przeprowadzić uderzenie wyprzedzające i zniszczyć czołgi nieprzyjaciela, zanim to one zmiażdżą 4 dywizje strzeleckie, które zajęły się obroną w „bramie smoleńskiej”.

W rzeczywistości sytuacja na początku operacji była lepsza, niż się spodziewano w sztabie Frontu Zachodniego. Jak już wspominaliśmy wyżej, główne siły 3. Grupy Pancerniej Wehrmachtu uderzyły nie na wschód, a na północny wschód, forsując Dźwinę na odcinku Dżisna–Połock–Ułła. Bezpośrednio w pasie planowanego natarcia korpusów zmechanizowanych (międzyrzecze Dźwiny, Dniepru i Ułły) znajdowały się tylko 2 dywizje niemieckie (7. i 17. DPanc), co znacząco zmieniało układ sił na korzyść Armii Czerwonej.

Późnym wieczorem 4 lipca Rada Wojenna Frontu Zachodniego (Timoszenko, Malandin, Mechlis) zatwierdziła dyrektywę nr 16. W niej między innymi sformułowano zadanie: „Przygotować kontruderzenie 7. i 5. Korpusem Zmechanizowanym we współdziałaniu z lotnictwem w kierunku Ostrowna [miejsowość przy szosie, 22 kilometry na zachód od Witebska] i Sienna. Zwycięskie uderzenie kontynuować 7. Korpusem Zmechanizowanym w kierunku Kamienia–Kublicz oraz 5. Korpusem Zmechanizowanym – na Lepel”. Jednocześnie podpisany godzinę wcześniej meldunek wywiadowczy nr 18 sztabu Frontu Zachodniego zakładał, że „główne zgrupowanie [nieprzyjaciela] znajduje się na kierunku lepelskim, gdzie ześrodkowano do dwóch dywizji pancernych i jedną lub dwie dywizje zmotoryzowane”. Podobna (błędna) opinia została wysłana do Stawki Naczelnego Dowództwa wieczorem 5 lipca: „Główne zgrupowanie nieprzyjaciela, [liczące] do dwóch dywizji pancernych i dwóch dywizji zmotoryzowanych, znajduje się w rejonie Lepla, skąd zmierza w kierunku witebskim. (...) Działania wspomagające nieprzyjaciela prowadzi na kierunkach orszańskim i połockim”.

Adekwatna ocena zgrupowania i planów nieprzyjaciela pojawia się dopiero w nocy z 5 na 6 lipca w rozkazie dowódcy 20. Armii: „Nieprzyjaciel, osłaniając się przed 20. Armią, główne uderzenie formacjami pancernymi i zmotoryzowanymi kieruje przez Dźwinę na kierunku połockim. 20. Armia o godz. 5.00 6 lipca 1941 r. korpusami zmechanizowanymi uderza **na skrzydła i tyły** [podkreślenie moje – M.S.] połockiego zgrupowania nieprzyjaciela”. Zatem zamiast uderzenia „czołowego” w główne zgrupowanie pancerne wroga (dokładnie taki rozwój wydarzeń, obarczony dużymi stratami, zakładała dyrektywa Rady Wojennej Frontu Zachodniego), w rzeczywistości należało skierować cios na skrzydło stosunkowo nielicznych sił nieprzyjaciela.

Niemiecka 7. PzD (tu i dalej będziemy używać niemieckich skrótów, żeby czytelnikowi nie myliły się radzieckie i niemieckie dywizje o takich samych numerach) posiadała dość niespotykaną strukturę (miała 4 bataliony czołgów) oraz rekordową na tle innych dywizji na froncie wschodnim liczbę czołgów – 265 pojazdów (co prawda, jeśli odejmiemy od tej liczby „uzbrojone” w makiety dział wozy dowódców, to zostaje równo 250). Tak dużo ich było rankiem 22 czerwca i gdyby meldunki sztabów jednostek Armii Czerwonej, które zdążyła rozgromić i wyprzeć na wschód 7. PzD, były chociaż w połowie prawdziwe, to po niemieckiej dywizji do 6 lipca powinien zostać numer i sarta spalonych czołgów.

Jednak dywizja wciąż nadawała się do walki; na początku lipca straty bezpowrotne wyniosły raptem 25 czołgów. Liczba czasowo niesprawnych czołgów z reguły jest większa od liczby strat bezpowrotnych, tak więc liczbę 200 można potraktować jako górną granicę szacunkowej liczebności sprawnych czołgów 7. PzD (klasyczne radzieckie opracowania wojennohistoryczne operacji lepelskiej podają liczbę 150). Ponadto podczas ofensywy na Witebsk do dywizji dołączono 101. batalion czołgów uzbrojony w miotacze ognia (wozów na bazie lekkiego czołgu PzKpfw II); do 4 lipca ten batalion stracił bezpowrotnie 4 z 65 posiadanych pojazdów. W sumie znowu otrzymujemy 250 czołgów, czyli dwukrotnie mniej niż w 7. Korpusie Zmechanizowanym.

Po oszacowaniu ilości nie zapomnijmy o jakości. Główną siłą pancerną 7. PzD były czeskie czołgi Škoda wz. 1938, które otrzymały w Wehrmachcie oznaczenie PzKpfw 38(t). Był to lekki czołg z cienkim pancerzem, działem 37 mm, silnikiem benzynowym o małej mocy (125 KM) oraz kadłubem zmontowanym na śruby i nity (których główki przy trafieniu pocisku wroga odpadały i raniły załogę). Jednak nawet tego „cudu techniki” nie starczyło dla wszystkich i w dywizjach pancernych Wehrmachtu jako czołgu liniowego używano PzKpfw II, wyposażonego w działko kalibru 20 mm (co ciekawe, w radzieckich dokumentach z 1941 roku ten pojazd jak najbardziej słusznie określano jako „tankietkę z karabinem maszynowym dużego kalibru”); w 7. PzD początkowo znajdowały się 53 takie czołgi. 34 czołgi KW i 29 czołgów T-34 na uzbrojeniu 7. Korpusu Zmechanizowanego w hipotetycznym „pojedyнку” mogły załatwić tę całą „pancerną menażerię”, pozostając względnie (T-34) albo nawet zupełnie (KW) bezpieczne.

Czołgi w dywizji pancерnej to jak „grot kopii”, element niezbędny, ale bynajmniej nie jedyny; potrzebny jest jeszcze drzewiec, czyli artyleria i piechota. Pułk artylerii 7. PzD początkowo był wyposażony w 24 haubice kalibru 105 mm, 8 haubic kalibru 150 mm i 4 działa kalibru 105 mm, razem 36 sztuk artylerii. Nawet przy założeniu (najprawdopodobniej błędnym) zerowych strat w pierwszych dwóch tygodniach wojny, jest to mniej, niż 2 w pełni wyposażone (po 12 haubic kalibru 122 mm i 12 haubic 152 mm) pułki w 2 dywizjach pancernych 7. Korpusu Zmechanizowanego. Ale na linii rzeki Czernogostnica i miasteczka Tieplaki (właśnie tam rozpoczęła się i zakończyła ofensywa 7. KZmech) zajęła obronę świeżo przybyła 153. Dywizja Strzelecka, a to dodatkowo 2 pułki artylerii (razem 44 haubice i 12 dział kalibru 76 mm) i 3 pułki piechoty po 3 bataliony w każdym – dodatkowo do 6 zmotoryzowanych batalionów strzeleckich w 2 dywizjach pancernych. W sumie daje to 15 batalionów piechoty przeciwko 4 batalionom w niemieckiej dywizji pancерnej.

Jeżeli w pasie przewidywanego natarcia 7. Korpusu Zmechanizowanego przewaga liczebna strony radzieckiej w czołgach i artylerii była „tylko” dwukrotna, to w pasie natarcia 5. Korpusu Zmechanizowanego była ona po prostu miażdżąca. 17. PzD w poprzednich bitwach (pod Baranowiczami, Mińskiem i Borysowem) odniosła poważne straty: około 80 czołgów z 202, które znajdowały się w dywizji na początku „kampanii wschodniej”, nie nadawały się do walki (straty bezpowrotne i potrzeba naprawy). W ten sposób nawet według maksymalnych szacunków (w badaniu Antonowa przytoczono liczbę 90) 17. PzD miała około 120 czołgów, czyli 7–8 razy mniej niż jednostka 5. Korpusu Zmechanizowanego.

Jakość sprzętu była nieco lepsza niż w 7. PzD. Jako czołgów liniowych używano 44 PzKpfw II, a nawet 12 szkolno-bojowych tankietek PzKpfw I, uzbrojonych w karabiny maszynowe. Trzon parku czołgów stanowiły, wydawać się mogło, czołgi średnie (106 pojazdów PzKpfw III), ale po dokładnym przyjrzeniu się można stwierdzić, że wszystkie bez wyjątku „trójki” były po pierwszych modyfikacjach, czyli z działem kalibru 37 mm i pancernem 30 mm, który pociski czołgów radzieckich BT, T-26, samochodów pancernych BA-10 i „czterdziestekpiątek” piechoty bez trudu przesywały na wylot już przy zasięgu skutecznego strzału (500–700 metrów).

Struktura 5. Korpusu Zmechanizowanego również była wyjątkowa – korpus z odwodu Frontu Zachodniego miał dodatkowo 2 samodzielne

pułki artylerii (467. i 587.). To tak zwane „korpusne pułki artylerii” i ze względu na to, że posiadały ciężkie działa kalibru 122 mm i haubicoarmaty kalibru 152 mm, nie ma sensu porównywać liczby sztuk uzbrojenia z pułkiem artylerii niemieckiej dywizji pancernej – ich obecność oznaczała nie tylko przewagę liczebną, ale też zupełnie inną jakość (zasięg ognia i moc pocisku) w porównaniu z lekkimi haubicami kalibru 105 mm niemieckiego pułku artylerii.

To nie wszystko. W Borysowie niemiecka dywizja pancerna pozostawiła do obrony ważnej strategicznie przeprawy przez Berezynę 2 (z 4) bataliony zmotoryzowane, 1 (z 3) batalion czołgów i – co jest niezwykle ważne w przeddzień spotkania z lawiną czołgów 5. Korpusu Zmechanizowanego – dywizjon przeciwpancerny. Oddziały te zaczęły przybywać na miejsce bitwy na południowy zachód od Sienna dopiero w drugiej połowie 7 lipca, zmniejszając przewagę 5. KZmech w piechocie do „tylko” dwukrotnej (8 batalionów, w tym „oddział 109. DZmot”, przeciwko 4 w 17. PzD).

Zresztą to również uwzględniono we wspomnianym już rozkazie dowódcy 20. Armii z 6 lipca: „Tuż za nacierającymi korpusami zmechanizowanymi dywizje strzeleckie wyodrębniają samodzielne oddziały strzeleckie wyposażone w artylerię w celu utrzymania zajętego terenu i wsparcia korpusów zmechanizowanych”. 4 dywizje strzeleckie 20. Armii do 10 lipca były w zasadzie bezczynne, więc teoretycznie wykonanie tego rozkazu było możliwe; z drugiej strony nie udaje się odnaleźć śladów tych „samodzielnych oddziałów strzeleckich wyposażonych w artylerię”, zresztą nie miało to wpływu na „utrzymanie zajętego terenu” – nie było czego utrzymywać.

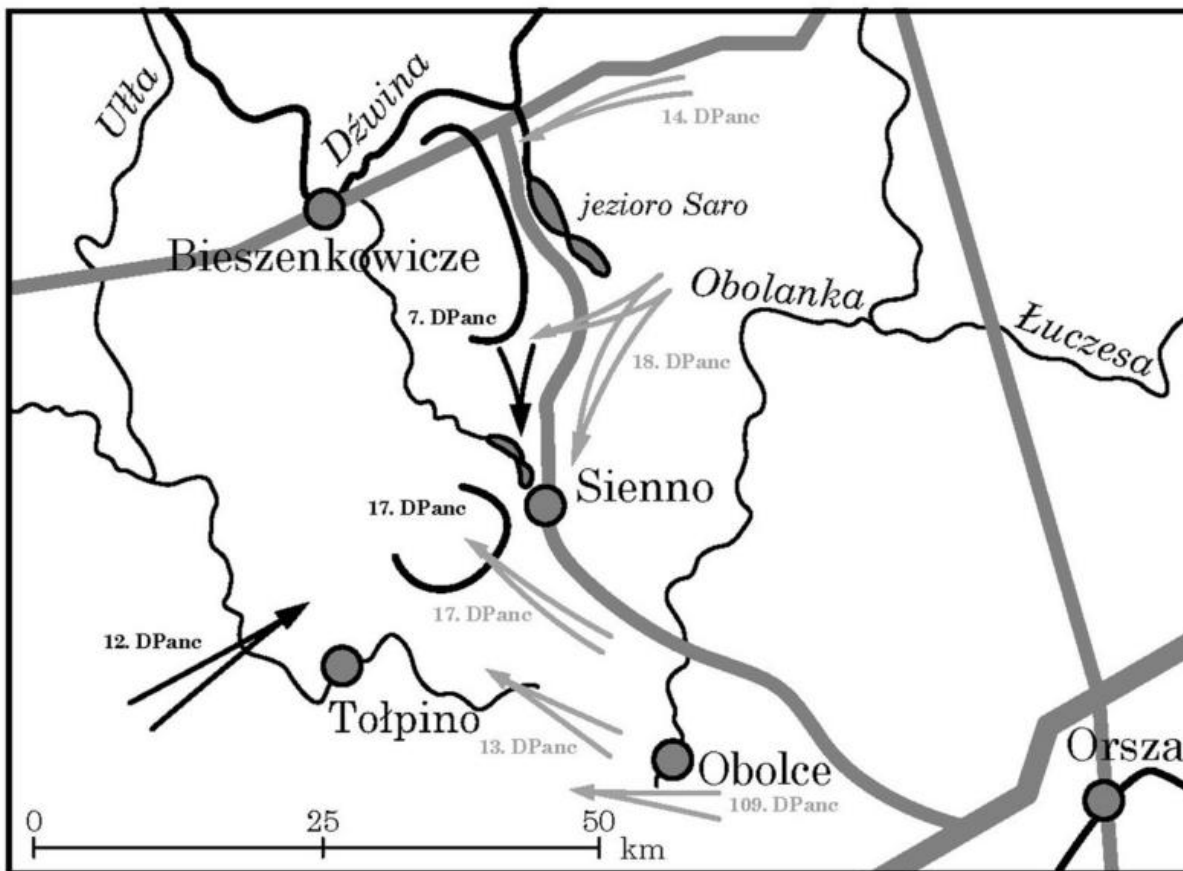
Krótki kurs klęski

Operacja lepelska to skomplikowana kombinacja działań 4 dywizji pancernych, połączonych jednym planem i dowództwem oraz faktycznie rozproszonych w czasie i przestrzeni. Aby ułatwić pracę czytelnikowi, który zechce zgłębić ten temat, opiszemy najpierw przebieg operacji „krok po kroku”, w porządku chronologicznym według dni oraz pod względem geografii z północy na południe.

5 lipca. Pod koniec dnia oddziały 14. DPanc oraz sztab 7. Korpusu Zmechanizowanego, po pokonaniu 40 kilometrów, ześrodkowały się na pozycjach wyjściowych do ofensywy (Gniezdziłowicze–Świetogory–Ostrowno) w odległości 6–11 kilometrów na wschód od rzeki Czernogostnicy. 18. DPanc spóźniła się z wymarszem i zakończyła ześrodkowanie w rejonie Tieplaki–Kruglany–Strigi (po obu stronach rzeki Obolanki) w południe 6 lipca. Jednostki 5. Korpusu Zmechanizowanego w ciągu dnia kontynuowały ześrodkowanie na północny zachód od Orszy, „przygotowywały sprzęt do walki, uzupełniały materiały pędne i amunicję”.

6 lipca. Dwa oddziały bojowe 14. DPanc (ze zmotoryzowanymi batalionami strzeleckimi i kompaniami czołgów) podjęły próbę sforsowania Czernogostnicy i zdobycia przyczółku na jej zachodnim brzegu, jednemu z oddziałów wieczorem udało się zdobyć niewielki przyczółek w pobliżu wsi Dubrowa (w rejonie ujścia rzeki do jeziora Saro).

18. DPanc walczyła w dwóch zgrupowaniach bojowych. 36. pułk pancerny miał za zadanie przeprowadzić się przez rzekę Bieriozkę w pobliżu Szoteni, a następnie przez Zaprudzie obejść jezioro Sienna od północnego zachodu. W ciągu dnia to zgrupowanie pokonało 20 kilometrów i rankiem 7 lipca 4 kilometry na wschód od Szoteni podjęło walkę z nieprzyjacielem (prawdopodobnie był to batalion rozpoznawczy 7. PzD). Główne siły 18. DPanc (35. ppanc, 18. part, 18. pzmot) szosą boguszewską dotarły na wschodnie obrzeża Sienna, gdzie podjęły walkę z nieprzyjacielem (była to awangarda 17. PzD składająca się z batalionu rozpoznawczego i jednego wzmocnionego batalionu strzelców zmotoryzowanych). Wieczorem dywizja wyrzuciła nieprzyjaciela z Sienna i zajęła obronę. Od razu zauważmy, że było to pierwsze i jedyne zwycięstwo podczas całej operacji dwóch korpusów zmechanizowanych.



Jednostki 5. Korpusu Zmechanizowanego, praktycznie nie napotykając nieprzyjaciela, pokonały 30 kilometrów, przeprawiły się przez rzekę Obolankę i wyszły na linię Sierkuty–Riasno–Obolce.

7 lipca. Pododdziały 14. DPanc przez przygotowane w nocy przeprawy dotarły na zachodni brzeg Czernogostnicy i przeszły do natarcia. Po pokonaniu 3–4 kilometrów, wdały się w zażartą walkę spotkaniową z głównymi siłami 7. PzD. Poniósłszy ciężkie straty, 14. DPanc w drugiej połowie dnia wróciła na wschodni brzeg Czernogostnicy, a następnie „wycofała się na pozycje wyjściowe (Gniezdziłowicze–Świetogory–Ostrowno), porządkując się i ewakuując sprzęt”.

36. pułk pancerny 18. DPanc przez cały dzień usiłował bezskutecznie zniszczyć batalion rozpoznawczy 7. PzD na przeprawach w pobliżu wsi Szotenie. Główne siły 18. DPanc w rejonie Sienna odpierały ataki nacierającego z północy (jedna kompania czołgów i pododdziały batalionu motocyklowego) i z południowego zachodu (awangarda niemieckiej 17. PzD) nieprzyjaciela. Do końca dnia Niemcom nie udało się zdobyć Sienna.

Jednostki 5. Korpusu Zmechanizowanego przez prawie cały dzień stały w miejscu („w nocy z 6 na 7 i do godz. 18.00 7 lipca uzupełniały paliwo, podciągały tyły i porządkowały sprzęt”). Wieczorem czołowe oddziały 13. DPanc i 17. DPanc przy drodze Tołpino–Lipowicze zderzyły się z maszerującymi do Sienna oddziałami niemieckiej 17. PzD. Walczący na lewym skrzydle korpusu „oddział 109. DZmot”, który nie miał kontaktu z nieprzyjacielem, pod koniec dnia dotarł do Wołosowa (wieś leżąca 6 kilometrów na południowy zachód od Rydomla).

8 lipca. 14. DPanc do południa była bezczynna, następnie o godz. 14.00 skierowała się na południe do Sienna, ale wieczorem zatrzymała się na linii jeziora Lipno i Tieplaków i „do wyjaśnienia sytuacji przeszła do obrony”.

36. pułk pancerny 18. DPanc do godz. 18.00 bezskutecznie próbował przedrzeć się w kierunku Szoteni. Główne siły 18. DPanc w okolicach Sienna do południa odpierały ataki znacznie większych sił nieprzyjaciela (korzystając z odwrotu 14. DPanc znad Czernogostnicy, Niemcy przerzucili do Sienna około 2 batalionów pancernych 7. PzD wraz z artylerią i piechotą zmotoryzowaną). W godzinach popołudniowych oddziały 18. DPanc opuściły Sienna i wycofały się w kierunku wsi Kowale (14 kilometrów na wschód od Sienna).

Jednostki 5. Korpusu Zmechanizowanego od wczesnego ranka przez cały dzień prowadziły zacięte walki z głównymi siłami 17. PzD w rejonie Tołpino–Lipowicze–Owsiszczcze–Bielica (15–20 kilometrów na południowy zachód od Sienna). Kolumnę niemieckiej dywizji udało się rozbić na kilka oddzielnych broniących się grup, a jej oddziały tyłowe chaotycznie wycofały się do Czerei; późnym popołudniem po kontrataku pułku pancernego 17. PzD Niemcom udało się przywrócić łączność między pododdziałami dywizji.

9 lipca. Oddziały 14. DPanc i 18. DPanc wycofały się na wschodni brzeg rzeki Obolanki i do wieczora zajmowały obronę na tej rubieży.

Jednostki 5. Korpusu Zmechanizowanego „porządkowały sprzęt i prowadziły rozpoznanie bojowe”. 17. PzD o godz. 17.00 wkroczyła do Sienna. Z zachodu na drogę Lipowicze–Sienna dotarła awangarda 12. PzD.

10–11 lipca. 7. PzD ponownie ześrodkowała się w rejonie szosy Bieszenkowicze–Witebsk i odrzucając na wschód resztki 14. DPanc i 153. DS, przeszła do kontrofensywy. Jednostki 7. KZmech z linii na rzece Obolance zaczęły się wycofywać do szosy Orsza–Witebsk i dalej do stacji Krynki–

Liozno (czyli do miejsca początkowego ześrodkowania korpusu na południowy wschód od Witebska).

17. PzD w nocy z 9 na 10 lipca wyruszyła z Sienna na południowy wschód, do głównej magistrali samochodowej Borysów–Orsza–Smoleńsk. Rankiem 10 lipca czołowy oddział dywizji zajął Obolce, w południe, pokonawszy ponad 40 kilometrów, Niemcy dotarli do magistrali w pobliżu Kochanowa (miasteczko i stacja kolejowa 30 kilometrów na zachód od Orszy). Pojawienie się zmotoryzowanych kolumn nieprzyjaciela na wschód od miejsca, w którym znajdowały się jednostki korpusu, zostało odebrane przez dowództwo 5. KZmech jako „okrążenie”, po czym zdecydowano się „wyprowadzić korpus z okrążenia w nocy z 10 na 11 lipca do rejonu wcześniejszego ześrodkowania”.

Wieczorem 11 lipca resztki 13. DPanc i 17. DPanc, w wielu przypadkach po starciach z wrogiem, dotarły we wskazany obszar na północ od Orszy; „oddział 109. DZmot” ześrodkował się w wyznaczonym miejscu wieczorem 12 lipca, „minąwszy bez jednego strzału wszystkie linie możliwego zderzenia z nieprzyjacielem”. Rzeczywiście okrążone na południowym zachodzie od Sienna pododdziały zmotoryzowanego pułku strzeleckiego 17. DPanc po kilku dniach, poruszając się okrężnymi drogami na północny zachód, dotarły do swoich.

Zatem żadne zadanie przydzielone korpusom zmechanizowanym nie zostało wykonane, żadna z dywizji nie pokonała nawet połowy drogi do Lepla, główne (połockie) zgrupowanie nieprzyjaciela, na którego skrzydło planowano skierować uderzenie, nawet z daleka nie usłyszało huku dział. W tym samym czasie w ciągu trzech–czterech dni walk stracono około 60–70% sprzętu bojowego, niezdolne do dalszej walki resztki dawnych dywizji pancernych przetoczyły się na wschód, a później, szybko tracąc ludzi i sprzęt, rozplynęły się w nowym, smoleńskim „kotle”.

Ogień z nieba

Co to było? Zanim zaczniemy szukać odpowiedzi na to pytanie, odnotujmy (odrzućmy) to, czego na pewno nie było.

„Szóstego przeprowadzono rozpoznanie bojem, które kosztowało nas bardzo dużo, a siódmego musieliście przegrać walkę, ale wasze lotnictwo przeszkadzało i zniszczyło nas. Siódmego nasza dywizja została zniszczona, zniszczyło ją wasze lotnictwo; ledwo uszedłem z życiem”. Jakow Dzugaszwili, który 18 lipca złożył te zeznania w niemieckiej niewoli, już nigdy się nie dowiedział, że latem 1941 roku w podobny sposób sformułowane zostaną setki raportów i doniesień sztabów Armii Czerwonej, a następnie również tysiące stron dzieł radzieckich historyków. W rezultacie czytelnik, przygotowany przez dwa pokolenia pisarzy, nawet nie będzie miał wątpliwości, wszystko przecież jest wiadome z góry: źródłem wszelkich nieszczęść jest wszędobylskie i niszczyielskie lotnictwo niemieckie, od rana do nocy przeraźliwie wyjące junkersy tylko atakują, atakują i atakują, bez przerwy wyrzucając z siebie bomby, a każda bomba trafia w cel.

Owszem, tak to się wszystko odbywa w najbardziej prymitywnych komputerowych „latankach-strzelankach”. Życie jest bardziej skomplikowane. Każdy lot samolotu bojowego to kosztowy, rzadki zasób, trzeba go dzielić i nie wszystkie potrzeby są zaspokajane; jeżeli chodzi o nurkujące Ju 87, to na całym froncie wschodnim od Bałtyku do Odessy na początku lipca było ich niespełna 300. Otwieramy raport dowódcy niemieckiej 17. PzD i czytamy: „7 lipca. Samoloty rozpoznawcze ciągle meldują o dużych koncentracjach oddziałów wroga wokół Sienna. Wniosek o przyznanie bombowców nurkujących do zniszczenia nieprzyjaciela, gdy znajduje się on w rejonie wyjściowym, nie został zaakceptowany”.

Nawiasem mówiąc, dwie linijki powyżej zamieszczono taki wpis: „Artyleria wroga nasila ogień na pozycje grupy bojowej Lichta, jednocześnie z niskiego pułapu bombarduje nieprzyjacielskie lotnictwo”. Prawdopodobnie chodzi o najnowocześniejsze wówczas samoloty Ił-2 z 430. pułku lotnictwa szturmowego; ten oddział „specjalnego przeznaczenia” został skompletowany przez wysoko wykwalifikowanych pilotów z Instytutu Badawczego Sił Powietrznych; w składzie 23. Dywizji Lotniczej, dołączonej do korpusów zmechanizowanych podczas operacji lepelskiej, znajdował się jeszcze jeden taki „specjalny” pułk – 401. pułk lotnictwa myśliwskiego pod dowództwem słynnego pilota testowego Konstantina Kokkinakiego. Więc nie tylko niemieckie samoloty wyły w powietrzu...

Wróćmy jednak do Niemców. Bombowiec nurkujący Ju 87 mógł udźwignąć tylko 5 (pięć) bomb: 4 lekkie (50 kilogramów) pod skrzydłami i jedną

ciężką (250 kilogramów lub 500 kilogramów) na specjalnym wysięgniku pod kadłubem. Testy przeprowadzone w Instytucie Badawczym zajmującym się uzbrojeniem lotniczym wykazały, że radziecka FAB-50 może uszkodzić lekki (!) czołg o pancerzu grubości 15–20 mm dopiero wtedy, gdy eksploduje w odległości 1–3 metrów, a bomby niemieckie z powodu gorszej jakości materiałów wybuchowych wymagały odległości o 50–70% mniejszej; inaczej mówiąc, bomba musiała trafić bezpośrednio w czołg. Czy jest to możliwe?

Testy poligonowe wykazały, że radziecki bombowiec nurkujący Pe-2, używając stworzonego pod koniec wojny półautomatycznego celownika PBP-4, był w stanie trafić pociskiem w okrąg o średnicy 90 metrów. Ile bomb trzeba zrzucić, żeby przy takiej dokładności trafić w czołg? Siejący zniszczenie Ju 87 nie miał celownika bombowego. Cel był namierzany w „siatce” strzeleckiego (!) celownika Revi C/12, kąt nurkowania określano za pomocą kresek na szybach kabiny, pozostałe parametry (wysokość, prędkość, dwie prędkości kątowe, wiatr) ustalano za pomocą „wyczucia klasowego”. Sądźcie teraz, że używając kresek, „sępy Göringa” znacznie celniej bombardowały niż „sokoły Stalina”?

Zagadnienie to zostało dogłębnie przebadane przez oficerów Zarządu Operacyjnego Sztabu Sił Powietrznych Armii Czerwonej wspólnie z inżynierami Poligonu Naukowo-Badawczego Uzbrojenia Lotniczego latem 1942 roku na Froncie Briańskim i Froncie Zachodnim. Ustalono, co następuje:

Od 6.07. do 14.07.1942 r. 3. Brygadę Pancerną Gwardii codziennie bombardowało lotnictwo niemieckie, średnio około 200 lotów bombowych dziennie. Mimo tak intensywnych bombardowań brygada nie ma spowodowanych przez lotnictwo strat bezpowrotnych. W tym czasie zdarzyły się dwa przypadki uszkodzenia czołgów. (...) W marcu 1942 r. w pobliżu miasteczka Chołm w polu pozostał jeden ciężki czołg KW-1 należący do 71. Brygady Pancernej. Nieprzyjacielskie lotnictwo usiłowało zniszczyć go przez dwa dni. Łącznie wykonano 60 lotów Ju 87, Ju 88, He 111. Nie było bezpośrednich trafień, odłamki [pocisków] nie wyrządziły czołgowi szkód. (...)

W tejże brygadzie 21 stycznia 1942 r. kolumna złożona z 22 lekkich i średnich czołgów, rozproszonych na odległość 50-100 m od siebie nawzajem, została zaatakowana przez niemieckie lotnictwo. Samoloty Ju 88 w dwóch rzutach po 24 samoloty w każdym przez dwie godziny bombardowały i ostrzeliwały czołgi. Bombardowano z lotu nurkującego, z pułapu 600 m i niżej, zrzucano pociski zapalające o wadze od 50 do 250 kg. Tylko jeden czołg miał uszkodzony zbiornik oleju. (...)

Generałowi armii Żukowowi zameldowano, że grupa zmechanizowana generała majora Byczkowskiego (Front Zachodni) od 4 do 9 sierpnia straciła 106 czołgów wskutek działań nieprzyjacielskiego lotnictwa. Jak ustalono w dochodzeniu, z 106 uszkodzonych czołgów tylko 2 zniszczyło lotnictwo, mimo intensywnych bombardowań, które prowadził nieprzyjaciel z małych wysokości.

I tak dalej na wielu stronach... W lutym 1944 r. „Zbiór materiałów z analizy doświadczeń wojennych”, wydanie 10, podał następujące wnioski: „Małe gabaryty i duża wytrzymałość czołgów, dzięki którym do ich zniszczenia niezbędne jest bezpośrednie trafienie albo wybuch pocisków tuż przy czołgach, oznaczają małe prawdopodobieństwo trafienia, a co za tym idzie, znikomą skuteczność bombardowań przez lotnictwo. (...) Sprzęt bojowy, szczególnie ciężkie i średnie czołgi, odnosi przy tym śladowe straty”.

Na liście „przyczyn obiektywnych”, które przesądziły o znikomym wyniku użycia bojowego korpusów zmechanizowanych Armii Czerwonej, numerem dwa (po niszczyielskim niemieckim lotnictwie) jest brak benzyny. Paliwo kończy się u nas od razu po rozpoczęciu aktywnych działań bojowych. W tej kwestii nie była wyjątkiem historia kontrofensywy pod Leplem i Siennem. „Pod koniec dnia 6 lipca czołgi prawie wyczerpały zapasy paliwa” – pisze we wspomnieniach generał pułkownik, który w lipcu 1941 roku w stopniu pułkownika kierował sztabem 5. KZmech. Starszą osobę zawiodła pamięć? Nie, również w pierwotnych dokumentach 5. KZmech i jego dywizji znajdujemy te same skargi na ciągły niedostatek benzyny w zbiornikach czołgów.

„O godz. 20.00 6 lipca dowódca korpusu postanowił zatrzymać na noc jednostki na zajętych rubieżach, dowieźć paliwo, uzupełnić zbiorniki”. Następnego dnia: „Z braku paliwa sprzęt bojowy (bez tyłów) 25. i 26. pułku z dowódcą dywizji na czele zatrzymał się w pobliżu Wiejna, gdzie pozostał do uzupełnienia paliwa – do wieczora 7.07.1941 r.”. Nadszedł poranek 8 lipca. „Pułki zajęły pozycje wyjściowe do ataku: 26. pułk o godz. 11.00, 25. pułk stał bez paliwa. (...) Z braku paliwa w większości pojazdów 33. ppanc część czołgów stanęła na polu bitwy”. Później nadszedł wieczór. „Dowódca dywizji postanowił o godz. 22.00 8.07.1941 r., osłaniając się od frontu batalionem piechoty zmotoryzowanej, po kolei wyprowadzić czołgi do uzupełnienia paliwa”. I tak dalej, aż do ostatecznej klęski.

Wyznaczenie prawdopodobieństwa trafienia czołgu przez bombę lotniczą to skomplikowane zadanie statystyczne, którego rozwiązanie zależy od kilkudziesięciu parametrów technicznych i taktycznych. Z kolei zasięg czołgu nie jest nawet „zadaniem”, tylko zwykłą liczbą. Nie otwierając żadnego leksykonu, możemy się domyślać, że w czasach II wojny światowej czołgi, które nie mogły na jednym zbiorniku pokonać ponad 45 kilometrów (odległość między Orszą a wspomnianym już chutorem Wiejno), po prostu nie istniały.

W sumie podczas ofensywy (która w dużej mierze polegała na marszu bez kontaktu z nieprzyjacielem) od Orszy do Tołpina i Lipowicz dywizje pancerne 5. KZmech pokonały w linii prostej około 65–70 kilometrów. Wliczając manewrowanie bojowe, być może uzbiera się 100 kilometrów. Jak na ten dystans mogło nie starczyć paliwa? Podstawę floty czołgów 5. KZmech stanowił BT-7 (565 sztuk z 880). Minimalny zasięg czołgu BT-7 (po drodze gruntowej na gąsienicach) wynosi 180 kilometrów. Nieco mniejszy (150–175 kilometrów) zasięg ma T-26 z różnymi modyfikacjami; T-34 z napędem dieslowskim miał znacznie większy zasięg – 250 kilometrów w terenie pofałdowanym.

Pierwsze zadanie (atak na Lepel) mogło zostać wykonane na jednym tankowaniu – tym, co już znajdowało się w zbiornikach maszyn. I dopiero przy wykonywaniu kolejnego zadania (uderzenie na skrzydło i tyły połocznego zgrupowania nieprzyjaciela) zaszłaby potrzeba uzupełnienia paliwa. W tym celu w 2 dywizjach pancernych 5. KZmech znajdowały się 284 cysterny samochodowe. Zazwyczaj był to trzytonowy ZiS-5, ale równie dobrze mogła być „połutorka” (GAZ-AA). Nawet w najgorszym przypadku

to ponad 400 ton paliwa podczas jednego uzupełnienia. Objętość zbiornika czołgu BT-7 wynosiła 650 litrów, czyli 460 kilogramów; waga paliwa potrzebnego do zatankowania wszystkich BT 13. i 17. Dywizji Pancerniej wynosi 230 ton. Na czym polega problem?

Trzecią pozycję na liście „ważnych powodów” tradycyjnie zajmuje ciężki, albo w ogóle niemożliwy do pokonania, teren. Zawsze, w dowolnym punkcie frontu, w każdej nieudanej operacji latem 1941 roku, „tępi generałowie wpędzili jakiś korpus zmechanizowany do nieprzebytych lasów i bagien”. Bagna rzeczywiście mamy wyjątkowe – nie do przejścia ze wschodu na zachód, a wybetonowane i oświetlone z zachodu na wschód. W odniesieniu do operacji lepelskiej szczególnie podpadła potężna rzeka Czernogostnica, podczas forsowania której przepadła 14. Dywizja Pancerna 7. Korpusu Zmechanizowanego.

Przeklęta Czernogostnica

Przyznam, że bardzo długo szukałem tej rzeki. Nie ma jej ani na dużych, ani na małych mapach geograficznych. I dopiero wraz z nastaniem internetu życzliwi czytelnicy przysłali mi wreszcie skan mapy topograficznej. Oto ona – strumień (kanał) o całkowitej długości, ze wszystkimi meandrami, 6,8 kilometra, łączący jezioro Saro z Dźwiną. O głębokości „rzeki” można wnioskować po tym, że pierwotnie zakładano, że czołgi BT – zwykłe, pozbawione zaawansowanego wspomaganie – po prostu pokonają ją w bród, ale wysadzenie tamy w pobliżu jeziora spowodowało wzrost poziomu wody.

Pytanie, czy dywizja pancerna może sforsować rzekę Czernogostnicę, nie zasługuje na rozważenie, ponieważ odpowiedź na nie jest od dawna znana. 9 lipca niemiecka 7. PzD sforsowała tę rzekę i mimo zapór przeciwpancernych, które od 3 lipca 153. DS przy wsparciu ludności cywilnej budowała na wschodnim brzegu, kontynuowała marsz na Witebsk. Wcześniej 7. PzD z powodzeniem sforsowała Niemen, Berezynę i jakiś tuzin innych „Czernogostnic”. Następnie w ciągu pięciu dni dywizja pokonała rzeki Bałaznę, Rakitę, Czerniawkę, Negowicę, Gobzę, Pieriedielnię, Chmość, Mielnię, Głuboką, Zimowiec, Wosticę, Palnę i po przejechaniu

160 kilometrów, dotarła na autostradę w pobliżu Jarcewa, zamykając pierścień okrążenia „kotła” smoleńskiego.

Tu nie ma się czemu dziwić, jeżeli przypomnimy sobie, że dywizja pancerna to nie jest „worek z czołgami”, a złożony wieloogniowy mechanizm. I gdy rozpoznanie prowadzi rekonesans, saperzy torują przejścia, batalion pontonowo-mostowy buduje przeprawy, piechota zmotoryzowana osłania przeprawę na skrzydłach, a obrona przeciwlotnicza z powietrza, dowódca wydaje rozkazy, a łączność przekazuje je podwładnym, to cała dywizja z determinacją „terminatora” prze do przodu. Albo nie prze, gdy marsz zorganizowano tak:

„Oddziały nie orientowały się w dokładnej sytuacji i kierunku, w którym miały podążać. Tyły przemieszczały się w kompletnym bezładzie, gdyż nie znały ani celów, ani rozmieszczenia. Wszystkie wymarsze odbywały się bez korygowania trasy, bez rozpoznania taktycznego i inżynierskiego. Jednostki saperskie praktycznie nie działały, przy każdym nawet niewielkim zniszczonym moście powstawały korki; nie było objazdów, nie było zasobów do naprawy. Dowódcy oddziałów nie prowadzili ewidencji pojazdów, po marszu żaden dowódca nie wiedział, ile ma samochodów i gdzie się znajdują”. Jest to fragment raportu zastępcy dowódcy 7. KZmech, inżyniera wojskowego pierwszego stopnia Borejki.

7. Korpus Zmechanizowany ześrodkował się w pobliżu Witebska, gdzie na początku lipca zgromadziło się wielu dowódców i przywódców różnego autoramentu (od KC partii komunistycznej i rządu Białorusi do dowódców kilku armii drugiego rzutu strategicznego), co doprowadziło do niechlubnego i powszechnego latem 1941 roku zjawiska – korpusowi zaczęto zabierać czołgi „na osobiste polecenie pełnomocnika”, „na pisemny rozkaz szefa sztabu”, „na polecenie generała majora”. Ostatecznie na początku operacji 14. DPanc miała na stanie 227 czołgów (20 KW, 27 T-34, 160 BT i 20 T-26). Warto nadmienić, że T-34 dotarły nie pojedynczo, a w składzie batalionu utworzonego w szkole wojskowej w Charkowie (czyli w miejscu produkcji czołgu). Prawie taka sama liczba (221 czołgów) znajdowała się w 18. DPanc, ale tam czołgów „nowych typów” było znacznie mniej (tylko 10 KW), a podstawę floty czołgów stanowiły T-26 – 146 wyposażone w działa i 54 w miotacze ognia, które ustępowały BT w prędkości i zwinności.

Najlepsza dywizja korpusu (14. DPanc) miała nacierać wzdłuż szosy Witebsk–Bieszenkowicze, co zakładało konieczność sforsowania nieszczęsnej rzeki Czernogostnicy. 18. DPanc miała za zadanie ominąć łańcuch jezior od południa. Wieczorem 5 lipca oddziały 14. DPanc dotarły do rzeki i zatrzymały się tam do rana. Tu warto przypomnieć, że podczas przebywania w rejonie ześrodkowania „wykonywano urządzenie, remont dróg oraz budowę mostów na trasach planowanych kontrataków”. Jednak po dotarciu na Czernogostnicę okazało się, że do sforsowania przez dywizję niewielkiego strumyka nic nie zostało przygotowane, i dlatego rankiem 6 lipca zdecydowano ograniczyć się do przeprowadzenia „rozpoznania bojem” siłami jednego batalionu zmotoryzowanego pułku strzeleckiego ze składu dywizji oraz grupy czołgów 27. ppanc, przy czym tych najcięższych, 10 KW (według innych dokumentów – 12) i 2 BT-7.

„Z powodu braku przepraw dla czołgów oraz silnego ognia artylerii przeciwpancernej małych i średnich kalibrów nieprzyjaciela rozpoznanie zachodniego brzegu rz. Czernogostnicy zakończyło się niepowodzeniem i wycofano się na pozycje wyjściowe”. Tym nieprzyjacielem był czołowy oddział 7. PzD, a główne niemieckie siły, w tym pułk pancerny, pułk artylerii i dywizjon przeciwpancerny, przed południem 6 lipca znajdowały się jeszcze w okolicach Bieszenkowiczów i dopiero wieczorem ześrodkowały się w pobliżu wsi Sanniki (8 kilometrów na zachód od Czernogostnicy).

W takich okolicznościach główne siły 14. DPanc przez cały dzień stały na wschodnim brzegu, a podczas „rozpoznania bojem” przeprowadzonego małymi siłami straciły 6 czołgów: „Stracono 4 KW, z czego 1 spłonął, 2 mają uszkodzony układ bieżny i 2 pozostały na polu walki, ponadto uszkodzono 2 czołgi lekkie” (f. 3435, op. 1, dz. 6, l. 47). Pewne zwycięstwo osiągnięto na lewym (południowym) skrzydle, gdzie przy ujściu rzeki do jeziora Saro grupa pancerna 28. pułku z 7 KW i zmotoryzowanym batalionem strzeleckim późnym wieczorem przepравиła się na zachodni brzeg „i przesunęła się o 0,5 km na zachód”.

Do pasa natarcia 14. DPanc (czyli ostrza zaplanowanej kontrofensywy) przyjechał zastępca dowódcy Frontu Zachodniego do spraw wojsk pancernych generał major Borzиков. Wczesnym rankiem 7 lipca pisze on (czarnym ołówkiem na skrawku papieru) doniesienie do sztabu frontu: „Po szczegółowym wyjaśnieniu ustalono: 14. DPanc w zasadzie nie atakowała, nacierały wyłącznie zmotoryzowany pułk strzelecki oraz pułk czołgów,

tylko KW z uzupełnienia i częścią T-34, reszta czołgów stała w lesie i oczekiwała na wyjazd do Połocka [tak jest w tekście, ale powinien być Witebsk – M.S.]. Natarcie było niezorganizowane i pozbawione dowództwa. (...) Zmusiłem [dowódcę 7. KZmech] Winogradowa i dowódcę dywizji, żeby w nocy zajęli rzekę, wykonali przejścia, sforsowali ją i rano zaatakowali”.

W podpisanym o godz. 6.00 7 lipca rozkazie nr 4 dowódca 7. KZmech polecił 24. DPanc „odważnymi, energicznymi działaniami zniszczyć nieprzyjaciela na linii rz. Czernogostnicy, z bezpośrednim zadaniem dotarcia w pobliże Bieszenkowiczów”. W tym czasie do rzeki z zachodu kierowały się główne siły niemieckiej 7. PzD. Walka spotkaniowa (liczne wzmianki o przygotowanym wcześniej przez Niemców „rejonie umocnień przeciwpancernych” są, delikatnie mówiąc, przesadzone) wywiązała się w pobliżu wsi Zadoroże, Martasy i Strieliszcze, położonych 2–4 kilometry na zachód od rzeki. Ze wschodniego brzegu ofensywę wsparły 3 dywizjony artylerii (2 należące do 14. DPanc i 1 do 153. DS).

Lekkie czołgi 7. PzD nie mogły walczyć z monstrami KW i T-34 i tak naprawdę nie próbowały – o czym po cichu świadczą śladowe liczby strat pułku pancernego: 1 zabity, 2 zaginionych, 4 rannych. Główny ciężar walki z lawiną radzieckich czołgów tradycyjnie podjęła niemiecka piechota; rezultatem były największe (w całym okresie „kampanii wschodniej”!) straty dwóch pułków piechoty zmotoryzowanej: 27 zabitych, 113 rannych; pułk artylerii i dywizjon przeciwpancerny 7. PzD w sumie straciły 2 zabitych i 9 rannych.

Wynik walki w doniesieniu sztabu 7. KZmech, sporządzony rankiem 8 lipca, opisano zwięźle i dokładnie: „Pułki pancerne wróciły na wyjściowe pozycje do ataku, poniosły duże straty. Dane o stratach są weryfikowane. Nieprzyjaciel również poniosł znaczne straty”. Warto zauważyć, że podane w dzienniku działań bojowych 14. DPanc straty („ponad 200 zabitych i rannych”) są porównywalne ze stratami wroga i można je określić jako „normalne”, jeśli uwzględnimy, że strona atakująca zazwyczaj traci więcej ludzi.

Z kolei straty pojazdów pancernych okazały się zupełnie nieporównywalne. 7. PzD straciła 7 lipca tylko 2 czołgi; dodatkowo możemy dodać do tej listy jeszcze 3 działa na samobieżnych podwoziach (choć pancerza tam było niewiele). Straty 14. DPanc w dzienniku działań bojowych opisano w następujący sposób: „W walce 7.07.1941 r. wzięło udział tylko 126

czołgów, w tym 11 KW i 24 T-34. Ponad 50% czołgów utracono”. Szacunek ten pokrywa się z innymi dokumentami, w których straty 27. i 28. ppanc oszacowano na 27 i 33 czołgi. Zaskakujące jest co innego – ani w dużym raporcie dowództwa 7. KZmech, ani w dzienniku działań bojowych dywizji w ogóle nie skomentowano faktu, że w pierwszej, najważniejszej i w zasadzie jedynej ofensywie 14. DPanc nie wzięła udziału połowa czołgów. Więc gdzie one były?

Utrata 60 czołgów na pierwszy rzut oka jest trudna do pogodzenia ze stosunkowo niewielkimi stratami w ludziach (wymieniona wyżej liczba 200 ofiar obejmuje również strzelców zmotoryzowanych, artylerzystów, saperów oraz wszystkich pozostałych). Po nieco uważniejszym wczytaniu się w dokument sytuacja się wyjaśnia: „Pojazd podczas powrotu pozostał w rzece”, „wóz pozostawiono w rzece”, „w drodze powrotnej z Czernogościa na przeprawie ugrzązł”, „na przeprawie zapadł się po wieżę”, „pozostał podczas powrotu na przeprawie”, „unieruchomiony na przeprawie w Czernogosciu”, „na przeprawie przez bród ugrzązł w mule, nie udało się wydość”. Co najmniej 7 najnowszych T-34 utracono w taki sposób – zostały zatopione w płytkiej rzece, do której sforsowania przygotowywano się przez kilka dni. O niszczycielskim lotnictwie niemieckim wspomniano przy wyliczaniu strat 27. ppanc, ale tylko w jednej linijce: „4 czołgi BT-7 zniszczyły pociski i bomby lotnicze”.

Później wszystko potoczyło się jak zwykle. Pierwsza poważna walka okazała się ostatnią, rozpadająca się na oczach 14. DPanc jeszcze przez kilka dni otrzymywała rozkazy, żeby „do końca dnia zająć Lepel”, a potem potoczyła się na wschód. 19 lipca na stanie dawnej dywizji pancernej pozostało raptem 14 czołgów (1 KW, 2 T-34, 6 BT i 5 T-26). Samochody jak zwykle wytrzymywały „nieustanne ataki nieprzyjacielskiego lotnictwa” nieporównywalnie lepiej: w dywizji znajdowało się 329 ciężarówek, 26 samochodów osobowych i nawet 30 niezniszczalnych cystern. W typową „piramidę 1941 roku” ułożyła się również struktura strat w ludziach: 193 zabitych, 359 rannych i chorych, 3303 zaginionych.

Bitwa przy Siennie

Walki pod Siennem prowadziły, faktycznie zastępując się nawzajem, 18. DPanc 7. Korpusu Zmechanizowanego i 2 dywizje 5. Korpusu Zmechanizowanego. Od wschodu do Sienna prowadzi szosa boguszevska, droga żwirowa z ulepszoną nawierzchnią, i to właśnie ona stała się osią natarcia głównych sił (35. ppanc, 18. ps, 18. part) 18. Dywizji Pancernej.

O świcie 6 lipca do Sienna wkroczyła awangarda 17. PzD, a przed południem dotarła 18. DPanc. Dwa niemieckie bataliony strzelców nie wytrzymały uderzenia dywizji pancernej i wycofały się na południowo-zachodnie przedmieścia Sienna. Taki rozwój wydarzeń poważnie zaniepokoił niemieckie dowództwo, bo Sienno było niezwykle ważne jako węzeł drogowy, przez który oddziały 17. PzD powinny dotrzeć do autostrady i dalej do Orszy. „Z powodu ciężkiej sytuacji w Siennie dowódca dywizji postanowił udać się do miasta, mimo odległości i doniesień o czołgach wroga. Dotarł tam na transporterze opancerzonym”. Za dowódcą rozmokłą od deszczu drogą gruntową przez Czereję i Tołpino przybył do Sienna pułk pancerny (z wyjątkiem jednego batalionu, pozostawionego w Borysowie). Od północy jako wsparcie awangardy 17. PzD przybyła kompania czołgów z 7. PzD.

Rankiem 7 lipca Niemcy przeszli do ofensywy („w grupie północnej nacierało do 20 czołgów, a w zachodniej – do 65; atak czołgów wspierały dwa dywizjony artylerii”). Zacięta walka trwała przez cały dzień („w ciągu 7.07. Sienno kilka razy przechodziło z rąk do rąk”), ale do południa 8 lipca 18. DPanc nadal utrzymywała Sienno. Tymczasem drugi pułk pancerny dywizji (36. ppanc), który miał ominąć Sienno od północnego zachodu, przy bezimiennym strumyku 3–4 kilometry na wschód od Szoteni natknął się na batalion rozpoznawczy 7. PzD.

Batalion rozpoznawczy niemieckiej dywizji pancernej to 600 żołnierzy piechoty zmotoryzowanej z 3 działami przeciwpancernymi kalibru 37 mm. Tyłu ich powinno być zgodnie z normą etatową, ale w 7. PzD, która prowadząc walki, szła do Lepla od Olity przez Mińsk, batalion rozpoznawczy już stracił 60 zabitych i rannych. Walka spotkaniowa batalionu rozpoznawczego z pułkiem pancernym – to coś na kształt legendarnej historii 28 żołnierzy Panfilowa, z tą tylko różnicą, że czołgów było dwa razy więcej (około 100 T-26), a czasu na przygotowanie pasa obrony zupełnie nie było. Jednak najważniejszą różnicą jest liczba strat wśród bohaterów: 7 lipca

Niemcy mieli 3 zabitych i 7 rannych, 8 lipca w batalionie rozpoznawczym strat nie było w ogóle.

Fantastyczny obraz walki przywraca do rzeczywistości doniesienie bojowe nr 5 sztabu 18. Dywizji Pancernej: „Kierujący się do Szoteni 36. ppanc rankiem 7.07. napotkał nieprzyjaciela przy Wojlewie i Karpowiczach. Wysłane do Karpowicz rozpoznanie (3 czołgi) zostało zaatakowane ogniem artylerii przeciwpancernej nieprzyjaciela (2 czołgi zniszczono, 1 wrócił z uszkodzoną wieżą). Zginął dowódca batalionu st. lejtnant Abramow. Nieprzyjaciel użył artylerii, czołgi [?] ze wsi Karpowicze prowadziły ogień z pozycji. Pod ostrzałem artylerii 36. ppanc przed godz. 12.00 7.07. wycofał się do lasów na północ od Marcinówki [14 kilometrów odwrotu do rzeki Obolanki – M.S.]. Po przybyciu czołgów KW 36. ppanc powinien od godz. 14.30 kontynuować natarcie”. Zamiast czołgów KW do Szoteni dotarły dwie kompanie pancerne 7. PzD i na tym zakończyła się ofensywa 36. ppanc, nawet się nie rozpoczynając.

Gdy pod Siennem toczyła się zażarta walka, 2 dywizje pancerne 5. KZmech poruszały się z prędkością przysypiającego żółwia (60 kilometrów w ciągu dwóch letnich dni) i dopiero wieczorem 7 lipca czołowe (!) oddziały 13. i 17. DPanc dotarły do drogi Czereja–Sienna. Tam natrafiły na maszerujący do Sienna pułk piechoty zmotoryzowanej i pułk artylerii 17. PzD (jak wspomnieliśmy wcześniej, niemiecki pułk pancerny już walczył z 18. DPanc w pobliżu Sienna).

Rozstrzygnięcie bitwy o Sienna nastąpiło 8 lipca. Korzystając z odwrotu 14. DPanc (7. KZmech) z linii Czernogostnicy, Niemcy dodatkowo rzucili do Sienna grupę bojową 7. PzD złożoną z wzmocnionego batalionu pancernego (łącznie 39 czołgów) oraz dywizjonu artylerii. Grupa miała obejść Sienna i zaatakować broniącą się w mieście 18. DPanc z południowego wschodu; w rezultacie Niemcy natrafili na pozycje ogniowe 18. DPanc w pobliżu wsi Nowe Sioło (7 kilometrów na wschód od Sienna), odnieśli ciężkie straty i wycofali się na północ. „Grupa bojowa Ostmann napotkała na południe od Kopców nieprzyjaciela przygotowanego do obrony z okopanymi działami przeciwpancernymi, armatami i czołgami. Ponieważ w tym momencie nie było łączności z dodanym dywizjonem artylerii, grupa bojowa nie zdołała się przebić dalej. Straciwszy 8 czołgów, batalion był zmuszony się wycofać”.

Straty pułku pancernego 7. PzD z 8 lipca to 47 zabitych, rannych i zaginionych – bezprecedensowe liczby w całej kampanii. Niestety, było to ostatnie zwycięstwo 18. DPanc; po południu wskutek uderzeń z zachodu i północy dywizja opuściła Sienno i „w nocy na 9.07.1941 wycofała się bezładnie na wschód w kierunku Boguszewskoje”.

Tymczasem na południowy zachód od Sienna do walki wreszcie dołączyły dywizje pancerne 5. KZmech. Rozkaz bojowy nr 4 dowódcy korpusu przewidywał rozpoczęcie ofensywy o godz. 9 rano, „zniszczenie nieprzyjaciela i do końca dnia 8.07. zdobycie Lepla”. Pierwsza rozpoczęła atak 17. DPanc; wynik znajduje następujące odzwierciedlenie w raporcie dowódcy niemieckiej 17. PzD: „O godz. 8.10 zaczyna się potężny atak czołgów i piechoty na Lipowicze i Tołpino, przy wsparciu dobrze przygotowanego ognia artyleryjskiego. W dywizjonie ciężkiej artylerii w pobliżu Lipowicz działa prowadzą ogień do ostatniego naboju, niektóre załogi dział zginęły na stanowiskach wskutek bezpośrednich trafień pocisków. Tu nieprzyjacielskim czołgom udało się wdrzeć na pozycje piechoty, która po zniszczeniu artylerii i dział przeciwpancernych nie ma jak się bronić”.

W takiej sytuacji dowódca 17. PzD postanowił wycofać pułk czołgów z walki za Sienno, skierować go na południe i przez Owsiszczce i Bielice zaatakować od tyłu pancerne zgrupowanie nieprzyjaciela (17. DPanc). Manewr zakończył się sukcesem: „Pułk czołgów utorował sobie drogę przez grupy czołgów nieprzyjaciela i po zaciętych walkach o godz. 21.15 dotarł do Tołpina. Po drodze podczas natarcia zniszczył 70 czołgów oraz duże liczby ciężarówek z piechotą nieprzyjaciela”. Liczba nie jest przesadzona, ponieważ według doniesienia dowódcy 17. DPanc tylko jeden z dwóch pułków pancernych dywizji (34. ppanc) stracił 8–10 lipca 84 czołgi (przypomnę, że na początku operacji 17. DPanc miała 418 czołgów – absolutnie pierwsze miejsce w całej Armii Czerwonej).

Klęska 17. DPanc w doniesieniu bojowym nr 4 sztabu 5. KZmech została opisana tak: „O godz. 18.00 około 100 średnich i lekkich czołgów nieprzyjaciela, przełamując zorganizowaną obronę przeciwpancerną, przedarło się w kierunku punktu dowodzenia dowódcy korpusu i uderzyło na tyły głównego zgrupowania oddziałów 17. DPanc, które z powodzeniem posuwały się na Wiatierowo. Atak czołgów nieprzyjaciela na tyły 17. DPanc wspierali motocykliści w liczbie do dwóch batalionów (około 800 ludzi) przy dużym ogniu dział przeciwpancernych. Wskutek takiego ude-

rzenia szyki bojowe oddziałów zostały przełamane i jednostki wycofały się w różnych kierunkach”. Jednocześnie zmotoryzowany pułk strzelecki zmotoryzowanych 17. DPanc został odcięty od głównych sił dywizji, a łączność z nim została utracona.

Druga dywizja pancerna korpusu (13. DPanc) przez pół dnia przygotowywała się i ześrodkowywała do ataku, jeden z dywizjonów pułku artylerii dowlókł się na pozycje ogniowe dopiero o godz. 14.00, a drugi „dotarł na pozycje dopiero o godz. 17.00 i brał udział w walkach”. Dywizja, jeśli wierzyć doniesieniu bojowemu nr 4, między godz. 16 i godz. 20 pięć razy atakowała wroga na południe od Tołpina, ale bezskutecznie; następnie „nieprzyjaciel nasilił do granic możliwości działania lotnictwa szturmowego i bombowego” i dywizja wróciła na pozycje wyjściowe. W meldunku dowódcy 17. PzD nie znaleziono żadnych wzmianek o tych „pięciu atakach” po południu 8 lipca.

W zasadzie to już wszystko. 9 lipca ogłoszono kolejny rozkaz polecający 20. Armii „przed końcem dnia zająć Lepel”, tegoż dnia dowódca 5. KZmech wydał specjalne polecenie, w którym zażądał, żeby „tych, którzy będą siać panikę, wahać się i opuszczać pole walki, przekazywać trybunałowi wojskowemu w celu [tak jest w tekście – M.S.] wymierzenia kary – rozstrzelania”. Lecz już było po wszystkim, pierwsza poważna walka stała się ostatnią i rozpierchające się resztki korpusu potoczyły się na wschód.

17. DPanc, najlepsza jednostka, straciła w walkach przy Siennie 244 czołgi i tylko 20 samochodów, 13. DPanc straciła 119 czołgów i 11 samochodów, przy czym uważa się, że połowę wszystkich strat spowodowało lotnictwo nieprzyjaciela – Niemcy chyba musieli posiadać jakieś specjalne pociski, które niszczyły czołgi, ale nie dawały rady ciężarówkom z dykty? Dywizja, która straciła (w każdym sensie tego słowa) 244 czołgi, 19 lipca miała na stanie tylko 14 czołgów – a gdzie było jeszcze półtorej setki? Straty osobowe 17. DPanc między 7 i 19 lipca w dokumentach odnotowano następująco: 135 zabitych, 236 rannych, 555 „nie wróciło do jednostki”; jednak według stanu z 20 lipca w pododdziałach dywizji łącznie (po wliczeniu resztek 17. ps, którym udało się wydostać z okrążenia!) było tylko 968 żołnierzy – gdzie się podziało jeszcze 8 tysięcy ludzi?

I tylko w jednym punkcie historia walczących ze sobą związków pancernych tragicznie się zbiegła. Dowódca niemieckiej 17. PzD generał major Karl Ritter von Weber 18 lipca 1941 roku został ranny podczas ostrzału

artyleryjskiego i 20 lipca zmarł w szpitalu. Dowódca 5. KZmech generał major Ilja Prokofiewicz Aleksiejenko 2 sierpnia 1941 roku został ranny podczas ostrzału artyleryjskiego i 3 sierpnia zmarł w szpitalu.

BLOKADA LENINGRADU. FAKTY I PYTANIA

Mówią, że zwycięzców się nie sędzi, że nie powinno się ich krytykować ani sprawdzać. To błąd. Zwycięzców można i należy osądzać, można i należy krytykować i sprawdzać. Jest to konieczne nie tylko dla faktów, ale też przez wzgląd na samych zwycięzców.

Te doniosłe słowa wypowiedział 9 lutego 1946 roku towarzysz Stalin podczas spotkania z wyborcami stalinowskiego okręgu wyborczego w Moskwie. Kierując się tą wskazówką, postaramy się nakreślić ogólne ramy oraz kierunki do zbadania i krytyki jednego z najbardziej tragicznych momentów w historii naszego kraju – masowej śmierci mieszkańców Leningradu w latach 1941–1942.

Dane źródłowe

W przededniu II wojny światowej w Leningradzie żyło 3,19 miliona ludzi, co stanowiło niemal 2% ogółu mieszkańców ZSRR w granicach z 1939 roku. W mieście skoncentrowano (według towarzysza Stalina) „około 30–35 procent przemysłu obronnego naszego kraju”. Strategiczny ośrodek produkcji czołgów, radioelektroniki i przemysłu stocznioowego, duży port i węzeł kolejowy, port macierzysty Floty Bałtyckiej (za jej główną bazę od lipca 1940 roku oficjalnie uważany był Tallin), liczne instytuty naukowo-badawcze i projektowe – taki był przedwojenny Leningrad.

Latem i jesienią 1941 roku liczba ludności Leningradu zaczęła znacznie się zmieniać. Ponad 150 tysięcy mężczyzn wcielono do wojska (w tym

również do dywizji ochotniczych). Prawie pół miliona osób ewakuowano z miasta przed 27 sierpnia (czyli w czasie, gdy istniało jeszcze połączenie kolejowe z resztą kraju), w tym 220 tysięcy dzieci ¹, 164 tysiące pracowników ewakuowanych przedsiębiorstw, 105 tysięcy pozostałych ludzi. Niestety nastąpił też proces odwrotny: do miasta ściągali tłumy uchodźców z okupowanych przez Niemców krajów nadbałtyckich, obwodów pskowskiego i nowogrodzkiego; oficjalnie zarejestrowano 148 tysięcy osób.

W chaosie wojny za najbardziej wiarygodne źródło do oszacowania liczby mieszkańców oblężonego Leningradu należy uznać liczbę wydanych kartek na chleb; kartki to życie i nikt oprócz bardzo nielicznych szpiegów z własnej nieprzymuszonej woli nie odmówiłby zarejestrowania się jako odbiorca kartek. To daje nam liczbę 2,54 miliona cywilów, którzy zostali (których pozostawiono) w oblężonym mieście. Liczebność składu osobowego oddziałów Frontu Leningradzkiego i Floty Bałtyckiej, które znalazły się w pierścieniu okrążenia, była zmienna, lecz porównując ilość żywności przeznaczanej na potrzeby armii z normami przydziału dla jednego żołnierza, otrzymujemy w przybliżeniu 350 tysięcy czerwonoarmistów i marynarzy. Łącznie – 2,9 miliona osób. W zaokrągleniu – 3 miliony.

Ile pożywienia potrzebuje człowiek na jeden dzień? Jeżeli zastosować normy i wyobrażenia naszych czasów, gdy globalnym problemem jest otyłość, to dzienna racja powinna się składać głównie z warzyw, owoców i odtłuszczonego kefiru. Takiego jedzenia musi być ponad 2 kilogramy dziennie. Przy typowej diecie rosyjskiej z pierwszej połowy XX wieku (chleb, mleko, kasze, ziemniaki, trochę słoniny, mięsa i ryb) potrzeba od 1 do 1,5 kilograma dziennie. Aby zaspokoić minimalne potrzeby organizmu, wystarczy 80 dekagramów chleba (dwa współczesne bochenki) dziennie. Właśnie taka była przysługująca robotnikom (tj. największa) racja żywnościowa w ZSRR podczas wojny. Oczywiście to skutkowało trwałym niedożywieniem, ale o śmierci z głodu nie było mowy.

Do upieczenia 80 dekagramów dobrej jakości chleba (a nie tej koszmarnej mieszanki wytlóków, śrutki zbożowej, resztek mąki i celulozy, którą mieszkańcy Leningradu otrzymywali w grudniu 1941 roku) potrzeba 54 dekagramów mąki. Dla „wojennego chleba” wystarczy nawet 50 dekagramów. Zatem, aby zapewnić wyżywienie dla 3 milionów osób wystarczy 1,5 tysiąca ton mąki dziennie. Zapamiętajmy tę bardzo ważną liczbę.

W przededniu wojny w składach i magazynach Leningradzkiego Terytorialnego Zarządu Państwowych Rezerw Materiałowych znajdowało się 146 tysięcy ton produktów zbożowych (mąka, kasze i owies). Już tylko te rezerwy pozwalały wyżywić oddziały Frontu Leningradzkiego i mieszkańców miasta przez trzy miesiące całkowitego oblężenia, przy zerowych dostawach żywności z zewnątrz. Jednak zapasy Leningradzkiego Zarządu Państwowych Rezerw nie składały się wyłącznie z produktów zbożowych. W rezerwie znajdowało się również 37 tysięcy ton cukru – produktu obecnie uważanego za szkodliwy, ale wysokokalorycznego i lekkostrawnego (co jest kluczowe przy ratowaniu wycieńczonego głodem człowieka). To nie jest cała lista. Oprócz zapasów mąki i kasz o wartości 30,5 miliona rubli i cukru wartego 43 miliony znajdowały się na niej jeszcze „artykuły spożywcze (konserwy, masło, mięso, tytoń, suchary itd.)” o łącznej wartości 195 milionów rubli.

W notatce naczelnika Zarządu towarzysza Gorczakowa (z 5 stycznia 1942 roku, ściśle tajne) nie wskazano konkretnych „artykułów spożywczych” w szczegółowych liczbach. Ale nawet jeśli założymy stosunek wartości mąki i artykułów wysokokalorycznych jak 1 do 10, uzyskujemy dodatkowo około 15 tysięcy ton żywności. Tak więc całkowite zapasy w magazynach rezerw państwowych pozwalały wyżywić całkowicie odcięte od świata zewnętrznego miasto przez 4 lub 5 miesięcy. A gdyby ograniczyć spożycie do minimum fizjologicznego, żywności starczyłoby na pół roku, jeśli nie dłużej.

Tak „niewiele” zgromadzono w przededniu wojny. Przez ponad dwa miesiące można było sprowadzić do miasta góry jedzenia. O skali możliwości leningradzkiego węzła kolejowego świadczą między innymi takie liczby: 29 sierpnia (ironią losu – dzień przed zajęciem stacji Mga przez Niemców, którzy zamknęli ostatnią linię kolejową łączącą Leningrad z „wielką ziemią”) speckomisja Państwowego Komitetu Obrony opracowała kolejny plan ewakuacji fabryk z Leningradu, zgodnie z którym planowano wysłać na wschód w ciągu dziesięciu dni 12 313 (dwanaście tysięcy trzysta trzynaście) wagonów; nazajutrz na torach stanęło 2200 wagonów załadowanych sprzętem przemysłowym. 2200 wagonów zgromadzonych w jednym czasie na stacjach w Leningradzie to około 40 tysięcy ton ładunków.

Jednak żywności do miasta nie dowożono, wręcz ją wywożono. Wspomniana wcześniej notatka szefa Leningradzkiego Zarządu Państwowych Rezerw kończy się następującymi zdaniem: „Wszystkie produkty zbożowe znajdujące się w magazynach Zarządu zostały podzielone i częściowo ewakuowane w ciągu pierwszych trzech miesięcy wojny. (...) Zgromadzone rezerwy i bieżące zapasy mogłyby starczyć na dłużej, gdyby wraz z wybuchem działań wojennych wprowadzono ścisłe racjonowanie żywności, sprzętu i paliw oraz wstrzymano ewakuację części zasobów z Leningradu”. W rezultacie po skrupulatnych poszukiwaniach i zewidencjonowaniu wszystkich dostępnych zasobów (a nie tylko magazynów rezerw państwowych!) według stanu na 26 września wewnątrz pierścienia blokady znajdowało się raptem 36 tysięcy ton produktów zbożowych (w tym otrębów, wyłoków i słodu). Zwykłej mąki było tylko 20 tysięcy ton. Starczyłoby tego na dwa tygodnie; według norm głodowych – na miesiąc.

Tak zabrzmiało pierwsze uderzenie żałobnego dzwonu. Aby jego posępne echo nie dotarło do potomnych, starannie skonstruowano i rozdmuchano pod niebiosa mit o Wielkim Pożarze. Rzekomo cała żywność znajdowała się w magazynach badajewskich, które spłonęły podczas bombardowań. Pożar i bombardowania naprawdę się wydarzyły. Cenna żywność nie została rozproszona i była składowana w drewnianych budynkach. Spaliło się 3 tysiące ton mąki i 2,5 tysiąca ton cukru. Cukier się stopił i zamienił w karmel, który później został przetworzony i wykorzystany; rzeczywiste straty cukru wyniosły nie więcej niż 700 ton. Po dodaniu spalonej mąki mogło tego starczyć na trzy–cztery dni zaopatrzenia miasta. Nie więcej.

Arytmetyka i geografia

Leningrad nie leży na wyspie. Ani nawet na półwyspie połączonym z lądem wąziutkim pasem ziemi (jak Sewastopol na Krymie). Na południe i na północ od Leningradu ciągną się bezkresne tereny poprzecinane pasami linii kolejowych.

Północny korytarz transportowy (linia kolejowa Pietrozawodsk–Sortawała–Leningrad, omijająca północny brzeg jeziora Ładoga) został utracony

14–15 lipca wskutek natarcia armii fińskiej, która w cztery dni przełamała obronę wojsk radzieckich i dotarła do brzegów Ładogi od granicy. Południowy korytarz 30 sierpnia wraz ze stacją Mga zajęła 20. Dywizja Zmotoryzowana Wehrmachtu. Tydzień później, 8 września, Niemcy siłami jednego pułku piechoty zajęli Szlisselburg, ostatecznie blokując połączenie lądowe Leningradu z resztą kraju.

Na zachód od Leningradu znajdowała się Zatoka Fińska, a na jej wodach – Flota Bałtycka odznaczona Orderem Czerwonego Sztandaru. Godnych uwagi sił floty niemieckiej na wodach Zatoki Fińskiej nie było w ogóle; marynarka wojenna Finlandii w porównaniu z Flotą Bałtycką wyglądała jak mops przy słoniu. W takiej sytuacji można było dostarczać żywność do Leningradu drogą morską, z portów neutralnej Szwecji. Jakby ktoś zapomniał – właśnie w ten sposób, walcząc o każdy konwój statków transportowych, prawie przez sześć lat prowadziła wojnę Anglia. Jednak możliwość zaopatrywania Leningradu z Bałtyku nigdy nie była brana pod uwagę – i jest to całkowicie uzasadnione, ponieważ istnieje jeszcze czwarta strona świata, wschód.

Na wschodzie znajdowało się liczące 60 kilometrów długości (jeśli nie uwzględnić krzywizny linii brzegowej) wolne wybrzeże jeziora Ładoga. Wojska fińskie na Przesmyku Karelskim pod koniec sierpnia wyszły na linię granicy 1939 roku i tam się zatrzymały. 4 września Mannerheim wydał rozkaz o przejściu do obrony i przez prawie trzy lata na linii tego „frontu” panowała cisza. Jeżeli wytyczyć najkrótszą trasę dla transportów, przez tzw. „zatokę szlisselburską”, to do „wielkiej ziemi” (osada portowa Kobona) było nie więcej niż 30 kilometrów po wodzie. Jeśli natomiast kierować się na Nową Ładogę (miasto i port przy ujściu rzeki Wołchow do Ładogi), to trasa osiągnie długość nawet 100 kilometrów. W każdym razie nawet najwolniejsza barka mogła dopłynąć od Nowej Ładogi do zachodniego, leningradzkiego brzegu jeziora w 10–12 godzin.



Jednostek do transportu ładunków było bardzo dużo. Północno-Zachodnia Żegluga Rzeczna, Leningradzka Żegluga Obwodowa, Ładoska Flotylla Wojenna, przedsiębiorstwo „Lenryba”. Już tylko pierwsza z wymienionych instytucji na początku 1941 roku miała 323 holowniki i 960 jednostek bez własnego napędu o łącznej ładowności 420 tysięcy ton; w 1940 roku jednostki Północno-Zachodniej Żeglugi przetransportowały 3,4 miliona ton ładunków. I jeżeli flota rzeczna miałaby problem z nawigacją po burzliwych wodach jesiennej Ładogi, to statki Ładoskiej Flotylli Wojennej i „Lenryby” zostały właśnie zaprojektowane do pracy na jeziorze Ładoga. Warto również zauważyć, że mimo wszystkich strat w 1941 roku (na które w głównej mierze składały się jednostki ewakuowane z Leningradu na wschód) przed otwarciem sezonu nawigacyjnego 1942 roku żegluga po Ładodze flota towarowa wciąż liczyła 116 jednostek z napędem własnym lub cudzym o łącznej ładowności 32,8 tysiąca ton.

30 sierpnia 1941 roku (bezpośrednio po stracie stacji Mga) Państwowy Komitet Obrony wydał dekret nr 604 o środkach zaopatrzenia Leningradu drogą wodną. Planowano użyć 25 holowników i 75 barek o ładowności po 1 tysięcy ton każda, przy tym co najmniej 12 barek powinno kursować bez przerwy; do transportu materiałów pędnych planowano wykorzystać tankowiec i 8 barek przystosowanych do przewozu ropy naftowej. Na tę liczbę

(12 barek dziennie) można spojrzeć z dwóch stron. W porównaniu z dostępnym tonażem to zadziwiająco mało. Z drugiej strony taki przepływ towarów nie tylko zapewniłby zaopatrzenie mieszkańców Leningradu według standardów ogólnokrajowych, lecz również pozwoliłby dość szybko zgromadzić wielomiesięczne zapasy. Tym bardziej, że podjęto decyzję o przekazaniu do 1 października 143 tysięcy ton mąki i kasz, 28 tysięcy ton mięsa i ryb, 3 tysiące ton masła, czyli łącznie 174 tysiące ton żywności.

Jednak to się w rzeczywistości nie wydarzyło. Góra urodziła mysz. W ciągu pierwszych trzydziestu dni żeglugi na zachodni brzeg jeziora Ładoga dostarczono jedynie 9,8 tysięcy ton żywności – średnio 330 ton dziennie! Chociaż ruch towarowy później wzrósł, od 1 października do połowy listopada (gdy nawigację na Ładodze trzeba było zamknąć z powodu zbyt wczesnej i mroźnej zimy) drogą wodną dostarczono raptem 45 tysięcy ton żywności (44 tysiące ton zboża, mąki, kasz i sucharów, około 400 ton mleka skondensowanego i około 600 ton mięsa, ryb, tłuszczu).

Te dostawy nie tylko nie pozwoliły na zgromadzenie zapasów żywności, ale nawet nie zapewniły minimum zaopatrzenia oblężonemu miastu. 8 listopada, równo dwa miesiące po zdobyciu Szlisselburga, Niemcy zajęły Tichwin; oznaczało to, że ostatnia linia kolejowa umożliwiająca transport towarów bezpośrednio na południowo-wschodni brzeg jeziora Ładoga została odcięta (możliwość dostaw drogą północą, przez stację Łodiejnoje została utracona jeszcze wcześniej, po wyjściu armii fińskiej na rzekę Swir i utworzeniu przyczółku na jej południowym brzegu). Teraz ładunki dla Leningradu trzeba było wieźć z odległych stacji okrężnymi leśnymi traktami długimi na setki kilometrów.

70 transportowych douglasów przeznaczonych do utworzenia „mostu powietrznego” nie mogło rzecz jasna załatwić problemów z zaopatrzeniem w żywność wielkiego miasta. Zresztą miały zupełnie inne zadania: z miasta ewakuowano samolotami wyszkolonych specjalistów oraz wywieziono sprzęt optyczny i elektroniczny. Drogą powietrzną do miasta transportowano żywność, która raczej nie była przeznaczona dla szeregowych obywateli: 346 ton wędlin, 257 tysięcy konserw mięsnych i rybnych, 52 tony czekolady, 28 ton masła, 9 ton sera...

9 grudnia podczas kontrofensywy Armia Czerwona zdołała wyprzeć Niemców z Tichwina i w ciągu dziesięciu dni z całego odcinka kolei od Tichwina do Wołchowa nieprzyjaciel został usunięty. Do tego czasu jezioro

Ładoga zamarzło i zmieniło się w wielką „utwardzoną drogę” (w rzeczywistości pierwsze samochody po lodzie Ładogi ruszyły już 22 listopada). Niemniej jednak zaopatrywanie Leningradu odbywało się w trybie „po łyżeczce na godzinę”, co przy liczbie potrzebujących wewnątrz pierścienia blokady i tonażu dostarczanej żywności nawet nie było metaforą.

W ciągu pierwszych dziewięciu dni funkcjonowania Drogi Życia przetransportowano tylko 800 ton mąki, czyli znacznie mniej, niż wynosiło minimalne dzienne zapotrzebowanie. Do 10 grudnia dostarczono 2282 tony i dopiero od 21 grudnia osiągnięto przeciętny poziom 600–750 ton dziennie. W pierwszych dniach w składzie 17. Brygady Transportowej znajdowało się jedynie 120 (sto dwadzieścia) ciężarówek; pod koniec grudnia ta liczba wzrosła do 2,8 tysiąca pojazdów, z czego codziennie na linii było mniej niż tysiąc, a reszta była bezczynna z powodu braku paliwa albo problemów technicznych.

Żeby docenić znaczenie tych słów, musimy pamiętać, że na początku wojny (czyli przed mobilizacją środków transportu z gospodarki) w oddziałach Leningradzkiego Okręgu Wojskowego znajdowało się 20,5 tysiąca ciężarówek oraz 4,2 tysiąca ciągników (zimną ciągnik z wleczonymi saniami sprawdzał się na lodowej drodze dużo lepiej od zdezelowanej połutorki); w sąsiednim Bałtyckim Specjalnym Okręgu Wojskowym, którego oddziały w lipcu wycofały się na terytorium Leningradzkiego Okręgu, było 13,5 tysiąca ciężarówek i 3 tysiące ciągników. Po ogłoszeniu otwartej mobilizacji (której planowe działania w obwodzie leningradzkim zostały w pełni zakończone) liczba samochodów w wojsku wzrosła około dwóch razy. Ponadto gigantyczne zakłady zbrojeniowe Leningradu posiadały tysiące pojazdów niepodlegających mobilizacji.

Wiadomo, że straty środków transportu podczas odwrotu latem i jesienią 1941 roku były niezwykle małe, i ogółem przez cały 1941 rok wyniosły 33%. Innymi słowy, wewnątrz pierścienia blokady znajdowały się dziesiątki tysięcy ciężarówek i wiele tysięcy ciągników; przemysł Leningradu mógł zapewnić każdą możliwą naprawę i produkcję części zamiennych. Więc gdzie były te pojazdy, co robiły, czym były zajęte? Jakie inne zadanie oprócz dostaw żywności i paliwa do umierającego miasta mogło mieć większy priorytet?

Głód i śmierć

Krytyczny stan zaopatrzenia w żywność zmuszał do systematycznego zmniejszania norm żywieniowych. 6 października dzienny limit zużycia mąki ustalono na 1000 ton, od 1 listopada trzeba było go obniżyć do 735 ton, od 13 listopada – 622 ton, od 20 listopada – 510 ton (przy czym na te tony składały się też wszystkie warunkowo jadalne dodatki, z których pieczono obrzydliwy „chleb”).

Tu jeszcze należy wziąć pod uwagę, że w czasie wojny głównym priorytetem było zaopatrzenie wojska; skąpe zapasy trzeba było podzielić pomiędzy żołnierzy na froncie i cywilów bynajmniej nie po równo. W ten sposób z limitu 1000 ton mąki zatwierdzonego 6 października (co ciekawe, decyzje podejmowano w imieniu Rady Wojennej Frontu Leningradzkiego, a nie władz miasta) oddziały wojska i marynarki wojennej otrzymywały 312 ton, a mieszkańcy Leningradu (których było siedem razy więcej!) tylko 587 ton. Z najmniejszego limitu czasów blokady wynoszącego 510 ton armia i marynarka otrzymały 169 ton, a mieszkańcy Leningradu tylko 310 ton. 2,5 miliona potrzebujących.

W październiku 1941 roku normy chleba na kartki zmniejszono do 400 gramów dla osób pracujących i 200 gramów dla osób pozostających na utrzymaniu. Nawet ta większa liczba nie zapewnia tych 1700 kilokalorii, których potrzebuje człowiek leżący bez ruchu w ciepłym pomieszczeniu. A w pomieszczeniach wcale nie było ciepło: niebywale wczesna i mroźna zima, wyłączone ogrzewanie, później – zamarznęte wodociągi i konieczność czerpania wody wiadrami z przerębli na Newie. 20 listopada wprowadzono następujące normy: 250 gramów chleba dla pracujących, 125 gramów – dla pozostałych (z powodu zamknięcia fabryk do tej ostatniej kategorii należało dwie trzecie mieszkańców Leningradu).

Już w listopadzie śmiertelność w Leningradzie wzrosła ponaddwukrotnie w porównaniu do okresu przedwojennego. W grudniu śmiertelne żniwo zaczął zbierać głód. Ludzie mdleli na ulicach, pozostawione ciała zamarały w domach. W grudniu w mieście zmarły 53 tysiące osób, w styczniu – 102 tysiące, w lutym – 108 tysięcy. Nie miał kto sprzątać zwłok, umierały całe rodziny. Od 19 grudnia do 1 marca lokalne oddziały obrony przeciwlotniczej zabrały z ulic 9207 osób w stanie skrajnego wyczerpania oraz

pogrzebały 261 tysięcy zwłok. Według stanu na 21 lutego za „zabójstwo w celu konsumpcji mięsa zamordowanych” aresztowano 886 osób.

Pod koniec grudnia stopniowo zwiększający się „strumyczek” żywności dostarczanej do miasta ciężarówkami po lodzie Ładogi umożliwił zwiększenie limitów zużycia mąki z 510 do 560 ton dziennie, a dla mieszkańców Leningradu – z 310 do 395 ton. Od 25 grudnia 1941 roku obowiązywały nowe normy przydziałowe chleba: 350 gramów na kartkę robotniczą i 200 gramów dla urzędników i pozostałych mieszkańców. Z punktu widzenia arytmetyki różnica jest niezaprzeczalna, z punktu widzenia fizjologii nic się nie zmieniło: nędzna ilość jedzenia nadal nie pozwalała przetrwać ludziom, szczególnie w grudniowy mróz (co niestety dobitnie potwierdza dwukrotny wzrost liczby zgonów w styczniu). Mimo to już tego samego dnia, 25 grudnia, towarzysz Żdanow zameldował do Moskwy: „W mieście jest prawdziwe święto”.

Odpowiedni deputowani rosyjskiej Dumy Państwowej mogą wyjaśnić, czy takie oświadczenie jest bluźnierstwem i obrazą uczuć osób, które przeżyły blokadę, a my zwróćmy się znowu do uchwały Rady Wojennej Frontu Leningradzkiego nr 00320 z 6 października (innych po prostu nie udało mi się odszukać), którą określono limity przydziałów żywności. Poza dwiema wspomnianymi wyżej kategoriami odbiorców (żołnierze frontu i Floty Bałtyckiej, mieszkańcy Leningradu) uchwała zawiera jeszcze jeden zapis: „dla urzędów specjalnych i gastronomii”. Co ciekawe – ta tajemnicza kategoria nie spożywała ani chleba, ani cukru, dla niej wskazano tylko limity mięsa i tłuszczu, zresztą bardzo szczodre: 49 ton mięsa (gdy na 2,5 miliona mieszkańców miasta przeznaczono tylko 72 tony) i 19,6 tony tłuszczu (dla mieszkańców – 51,1 tony). Również 346 ton wędlin dostarczonych w listopadzie i grudniu „mostem powietrznym” we wspomnieniach zwykłych mieszkańców Leningradu, którzy przeżyli blokadę, na próżno szukać...

Jednak są też inne świadectwa. W 1998 roku profesor Rosyjskiego Państwowego Uniwersytetu Humanitarnego N. Kozłowa opublikowała dziennik niejakiego N. Ribkowskiego, prowadzony w czasie blokady. Towarzysz Ribkowski urodził się w 1903 roku, ukończył Moskiewską Wyższą Szkołę Partyjną w 1940 roku, został mianowany sekretarzem rejonowego komitetu partii w Wyborgu, a po zajęciu miasta przez fińskie oddziały w sierpniu 1941 roku przybył do Leningradu, gdzie po trzech miesiącach oczekiwania

został powołany na dość skromne stanowisko instruktora wydziału kadr miejskiego komitetu partii. Tylko.

9 grudnia pisze w swoim dzienniku: „Nie odczuwam teraz szczególnych niedoborów żywności. Rano śniadanie – makaron, zupa z makaronem albo kasza z masłem i dwie szklanki słodkiej herbaty. W ciągu dnia obiad – kapuśniak albo zupa, na drugie codziennie jest mięso. Wczoraj na przykład jadłem szczawiową ze śmietaną, na drugie mielone z makaronem, dzisiaj zupę z kluskami, a na drugie była wieprzowina z duszoną kapustą”.

Na początku marca 1942 roku (wtedy w Leningradzie zmarło 99 tysięcy osób) funkcjonariusz zostaje skierowany do tzw. „szpitala miejskiego komitetu partii”, gdzie o prostym chłopskim jedzeniu w rodzaju wieprzowiny z duszoną kapustą nie wypada nawet wspomnieć: „Wyżywienie tu jest jak w czasie pokoju w dobrym domu wypoczynkowym. (...) Codziennie jest mięso – jagnięcina, wędliny, kurczaki, gęsi, indyk, kiełbasy; ryby – leszcz, śledź, stynka, i smażona, i gotowana, i w galarecie. Kawior, wędzone ryby, ser, paszteciki, kakao, kawa, herbata, 300 g białego i tyleż razowego pieczywa dziennie, 30 g masła i do tego po 50 g wina winogronowego, dobrego porto do obiadu i kolacji”. Ten wpis (z 5 marca 1942 roku) kończy fascynujące zdanie: „Tak. Taki wypoczynek, w pobliżu frontu, przy długotrwałej blokadzie miasta, jest możliwy tylko u bolszewików, tylko przy radzieckiej władzy”.

Spóźniony ratunek

29 grudnia 1941 roku Rada Wojenna Frontu Leningradzkiego przyjęła specjalną rezolucję, w której funkcjonowanie Drogi Życia oceniono jako „całkowicie niedopuszczalne”. 5 stycznia 1941 roku sekretarz KC towarzysz Żdanow, członek Rady Wojennej frontu, wystosował apel do żołnierzy pracujących na drodze, który zaczynał się od następujących słów: „Drodzy towarzysze! Frontowa droga samochodowa wciąż działa bardzo źle”.

Jak zauważają historycy radzieccy, w odpowiedzi na apel Żukowa we wszystkich batalionach samochodowych odbyły się wiece i zebrania, na których... Na szczęście działania nie ograniczyły się tylko do wieców i zebrań partyjnych. Pierwszym zadaniem, zarówno pod względem chrono-

logii, jak i znaczenia, było przywrócenie ruchu na linii kolejowej Tichwin–Wołchow–stacja Wojbokało, co umożliwiło przesunięcie punktów przeładunkowych 15 kilometrów bliżej brzegu „zatoki szlisselburskiej” jeziora Ładoga. Teraz jedna ciężarówka mogła wykonywać dwa kursy dziennie. Kilkakrotnie wzrosła liczba samochodów faktycznie zaangażowanych w przewóz, wreszcie udało się należycie uporządkować zaopatrzenie Drogi Życia w paliwo.

Zmiana jakościowa nastąpiła praktycznie od razu. 18 stycznia do Leningradu po lodzie jeziora Ładoga dostarczono 3315 ton ładunków, czyli półtora raza więcej niż do 10 grudnia. Średnia dzienna wielkość dostaw w styczniu wyniosła 1764 tony – cztery razy więcej niż w listopadzie i grudniu. W lutym ruch wzrósł jeszcze bardziej, osiągając poziom 3071 ton dziennie, w marcu przetransportowano 118 tysięcy ton (średnio 3946 tony dziennie). W ciągu jednego dnia, 31 marca, na zachodni brzeg Ładogi dostarczono 6243 tony. Przez ostatnie trzy tygodnie działania Drogi Życia (do 21 kwietnia) przewieziono 87 tysięcy ton, czyli dzienna wartość dostaw **DZIEWIĘCIOKROTNIE** przewyższała poziom z grudnia 1941 roku.

Trzy czwarte przewożonych ładunków stanowiła żywność: łącznie dostarczono 271 tysięcy ton. Ponadto w zimie 1941–1942 roku do Leningradu Drogą Życia dostarczono 35 tysięcy ton materiałów pędnych, 23 tysiące ton węgla, 32 tysiące ton amunicji i broni. W drogę powrotną na wschodni brzeg ciężarówki też nie wracały puste. Z Leningradu wywożono produkcję zakładów zbrojeniowych (armaty pułkowe kalibru 76 mm, moździerze, wyroby przemysłu elektronicznego i optycznego) oraz żołnierzy jednostek wojskowych, które przierzucano z Frontu Leningradzkiego na Front Wołchowski.

22 stycznia 1942 roku w końcu podjęto decyzję o masowej ewakuacji ludności (wcześniej, nie poczekawszy na decyzje i pomoc władz, pieszo po lodzie Ładogi oraz dzięki „transportowi niezorganizowanemu”, miasto opuściło 36 tysięcy osób). Łącznie po lodowej drodze od 22 stycznia do 15 kwietnia przewieziono na „wielką ziemię” 554 tysiące osób.

Wysoki wzrost dostaw żywności do miasta wraz z ewakuacją sporej liczby osób pozwoliły znacznie poprawić jakość odżywiania mieszkańców Leningradu oraz żołnierzy na froncie. Od 24 stycznia na kartkę robotniczą wydawano 400 gramów chleba dziennie; w jednostkach liniowych Frontu Leningradzkiego norma zaopatrzenia w mięso wzrosła do 150 gramów

dziennie, a wartość odżywczą dziennej racji udało się zwiększyć do 2830 kilokalorii – w mroz to za mało, ale zniknęło widmo głodu. 11 lutego nastąpiło trzecie już zwiększenie norm przydziałowych dla mieszkańców: 500 gramów dla robotników, 300 gramów dla dzieci i osób na utrzymaniu. Zaprzestano dodawania przy produkcji chleba „dodatków warunkowo spożywczych”. Po raz pierwszy od początku blokady zawartość kalorii w racji żywnościowej dla robotników przekroczyła wartość 1700 kilokalorii, która umożliwia przeżycie. W marcu na kartkę robotniczą już wydawano 600 gramów chleba, w zauważalnych ilościach pojawiły się kasze, cukier, tłuszcze, produkty mięsne.

Ale ludzie nadal umierali. Dziesiątkami tysięcy. W marcu zmarło 99 tysięcy osób, w kwietniu – 80 tysięcy, w maju – 53 tysiące. Już letnim blaskiem przygrzewało słońce, pojawiła się pierwsza zielenina z ogródków (przystosowano pod nie każdy wolny skrawek ziemi za miastem i w samym Leningradzie), już zaczęły działać wodociągi i uruchomiono tramwaje, zostały otwarte specjalne stołówki dla najbardziej osłabionych, w których dożywiano dziesiątki tysięcy osób dotkniętych dystrofią, ale śmierć nadal szalała. Niestety dystrofia pokarmowa jest ciężką chorobą, a nie stanem, w którym się po prostu chce jeść (w ostatnich etapach choroby jeść już się nie chce); osobę dotkniętą tą chorobą cechują głębokie i nie zawsze odwracalne zmiany metaboliczne, nerki przestają pracować, człowiek puchnie i ginie wskutek samozatrucia organizmu.

Ściśle rzecz biorąc, każda z osób, która przeżyła na „stu dwudziestu pięciu gramach z ogniem i krwią na pół”, potrzebowała leczenia szpitalnego, a następnie rehabilitacji w sanatorium. Zrozumiałe, że w czasie wojny mówienie o tym zakrawało na bardzo ponury żart... W czerwcu zmarły 34 tysiące osób, w lipcu – 18 tysięcy, w sierpniu – 9 tysięcy. Podobnie – odroczone w czasie śmierć z powodu dystrofii pokarmowej – wśród tych mieszkańców miasta, którzy zostali ewakuowani na „wielką ziemię”, ale tych statystyk nikt nie zna. W sumie według bardzo ostrożnych, powściągliwych szacunków ofiarami „leningradzkiego głodu” padło 600 tysięcy osób.

Co przeszkodziło?

Takie pytanie nieuchronnie pojawia się u każdej racjonalnie myślącej osoby, która zna przytoczone powyżej fakty. Dlaczego zaopatrzenie Leningradu i ewakuacja ludności cywilnej nie zostały przeprowadzone szybciej, wcześniej, w koniecznym do ratowania ludzkiego życia wymiarze? Jak wyjaśnić całkowicie oczywistą – nie liczącą się w procentach, a w kilku rzędach wielkości – dysproporcję między znikomym transportem ładunków w 1941 roku i faktyczną liczbą posiadanych środków transportu?

Czy można było nakarmić miasto? Prawdopodobnie tak. Powołam się przy tym na fachową opinię towarzysza Stalina, który we wspomnianym wcześniej przemówieniu do wyborców (9 lutego 1946 roku) oświadczył, że w Związku Radzieckim w 1940 roku wypuszczono „38 300 tysięcy ton zboża towarowego”. Zboża towarowego, czyli tego, które trafiło do spichlerzy państwa, nie wliczając pozostawionego w kołchozach i sowchozach. Aby zapewnić Leningradowi chleb na pół roku (nawet przy zerowej ewakuacji ludności) przy wysokości 1,5 tysiąca ton dziennie, potrzeba było tylko 270 tysięcy ton. Siedem dziesiątych procenta (!) zawartości spichlerzy. Nie tak wiele, gdy mówimy o zaopatrzeniu miasta, w którym produkowano 30% uzbrojenia w kraju.

Czy było miejsce na dostarczaną żywność? Tak. Korytarz transportowy po wodzie (albo po lodzie) jeziora Ładoga przez cały okres wielkiego głodu 1941–1942 został przerwany tylko raz na dwa tygodnie w listopadzie 1941 roku; liczący 60 kilometrów długości zachodni brzeg jeziora zawsze był wolny, każdego dnia blokady. Z wyjątkiem jednego miesiąca (od 8 listopada do 9 grudnia) można było również dostarczać ładunki koleją do stacji Wojbokało, 15 kilometrów od południowego wybrzeża Ładogi. Jednocześnie nie należy zapominać o najważniejszej rzeczy: do 30 sierpnia (ponad dwa miesiące od wybuchu wojny) działały dotychczasowe połączenia kolejowe Leningradu z resztą kraju (właśnie tą drogą wywieziono znaczną część zawartości składów Leningradzkiego Zarządu Państwowych Rezerw).

Czy kraj miał benzynę dla ciężarówek na Drodze Życia? Czasami pada u nas tak dziwaczne pytanie. Policzmy. Między stacją Wojbokało a punktami rozładunkowymi na zachodnim (leningradzkim) brzegu jest najwyżej 60 kilometrów, na jeden kurs tam i z powrotem ciężarówka zużywała 25 litrów paliwa. 4 tysiące kursów całkowicie zapewniały niezbędny przepływ ładunków. Razem: 100 tysięcy litrów albo 71 ton benzyny dziennie. Podczas wojny w ZSRR wytwarzano średnio 11,4 tysiące ton benzyny dzien-

nie. Jest to haniebnie mało, skoro w tym samym czasie dziennie wydobywano średnio 76 tysięcy ton ropy, a Droga Życia potrzebowała jedynie 0,6% (!) produkowanej w kraju benzyny. Ze względu na znaczenie Leningu dla walczącego kraju można było przeznaczyć i dwa, i dziesięć razy więcej. Najrozsądniejszym rozwiązaniem byłoby przetransportowanie ładunków do miasta najskuteczniejszą, najpewniejszą i najtańszą drogą, czyli po wodzie, a nie urządzenie jakichś „dróg życia”.

Czy możliwa jest żegluga po Ładodze?

Od dawien dawna brzegi Ładogi zamieszkiwały fińskie i słowiańskie plemiona: łowiły ryby, polowały na zwierzęta futerkowe, przewoziły towary jeziorem, rzekami Newą i Vuoksi docierały do Zatoki Fińskiej. Podczas wykopalisk archeologicznych na wschodnim brzegu Ładogi znajduje się broń wikingów, w Szwecji – karelską biżuterię; na wyspie Wałaam wzniesiono jeden z najbardziej znanych prawosławnych klasztorów. N. Ozieriecki wydał w 1792 roku książkę *Podróż przez jeziora Ładoga i Onega*, w której napisał: „Jezioro Ładoga jest otoczone zewsząd przez mieszkańców, którzy przemierzają je statkami różnego rodzaju i przywożą do Sankt Petersburga owoce swej pracy; ponadto wielu z nich swe zajęcie, jak łowienie ryb czy polowanie na fok, uprawia na jeziorze, wyruszywszy od jego brzegów w różnych kierunkach”.

W 1880 roku N. Bogolubow w pracy *Budowa statków i żegluga na rzekach i jeziorach* stwierdza: „Handel i żegluga na obszarach w pobliżu jezior Ładoga i Onega są bardzo znaczące. Jezioro Ładoga jest ośrodkiem samodzielnej, przypisanej do niego żeglugi. (...) Parowce należące do kompanii i prywatne, rzecz jasna, zajmują pierwsze miejsce wśród środków lokomocji. Utrzymują regularne połączenia między Petersburgiem, Szlisselburgiem, Wałaamem, Kaniewcem, Sierdobolem, Pietrozawodskiem, Powieniem oraz poszczególnymi przystaniami na jeziorach Ładoga i Onega. (...) Ludność ma do nich zaufanie i pływa nimi bez obaw. Niektórym z nich udaje się odwiedzić Pietrozawodsk do 90 razy w ciągu lata”.

Latem 1942 roku Niemcy, którzy chcieli uniemożliwić żeglugę na Ładodze, postanowili rozwinąć na jego wodach własną „flotyllę wojskową”.

W tym celu kolejną na stację Łachdienpochja (na północnym brzegu Ładogi) dostarczono części, a następnie zmontowano dziwne konstrukcje składające się z dwóch pontonów połączonych szerokim pomostem z armatami przeciwlotniczymi na opancerzonych lawetach. Początkowo ten cud techniczny został zaprojektowany jako samodzielna pływająca bateria przeciwlotnicza i organizacyjnie „promy Siebla” były podporządkowane Luftwaffe (to nie jest błąd w druku).

Promy Siebla przystąpiły do walk we wrześniu i zakończyły je w ostatnich dniach października 1942 roku, czyli w okresie największych jesiennych sztormów. „Stalowe skrzynki” z żółwią prędkością 5–6 węzłów przemieszczały Ładogę po przekątnej z północy na południe (ponad 150 kilometrów w jedną stronę), atakowały radzieckie statki i nawet wysadziły desant przy latarni Sucho. Końcowy niemiecki raport stwierdza bezskuteczność całego przedsięwzięcia („znikome sukcesy wszystkich zaangażowanych jednostek nie mogą w żaden sposób zrekompensować środków przeznaczonych na operacje wojskowe na jeziorze Ładoga”), brak minimalnych umiejętności nawigacyjnych u niemieckich strzelców oraz nieprzydatność promów do walk na wodzie. W raporcie brakuje tylko jednego – negowania możliwości żeglugi na Ładodze.

Również radzieccy przywódcy nie mieli co do tego wątpliwości i zamierzali przeprowadzić wielką operację transportową na wodach Ładogi – co prawda transport wielotonowych ładunków miał odbywać się z Leningradu, a nie do niego. 4 października 1941 roku Stalin przeprowadził naradę drogą radiową ze Żdanowem i Kuźniecowem i polecił ewakuować linię produkcyjną czołgów: „Wywieźć na wschód z Leningradu maszyny, prasy, sprzęt elektryczny, odlewniczy, hutniczy i walcowniczy. (...) Ewakuować wszystko powyższe po jeziorze Ładoga do Wołchowstroj”. Telegraf wystukał odpowiedź: „Przyjmujemy Wasze zalecenia. W ciągu doby przedstawimy plan ewakuacji zakładów Kirowa, Iżorskich i nr 174 oraz fabryk współpracujących z nimi przy produkcji czołgów. Wszelkie przygotowania do ewakuacji podejmiemy natychmiast”.

W porcie Osinowiec (na „niewyposażonym brzegu”, co śpiesznie podkreślają niektórzy współcześni autorzy) ruszyły prace: pompy pogłębiały dno, budowano przystanie, montowano suwnice; planowano przeładunek nie pięćdziesięciokilowych worków z mąką, a ważącego dziesiątki ton „sprzętu hutniczego i walcowniczego”. Coś rzeczywiście udało się załado-

wać i wywieźć na „wielką ziemię” przed 19 listopada, gdy w związku z zamrożeniem wód jeziora podjęto dokładnie odwrotną decyzję: zatrzymać ewakuację, zwrócić halom fabrycznym maszyny z zachodniego brzegu Ładogi.

W każdym razie wielki wysiłek i zdobyte doświadczenia się nie zmarnowały i podczas „drugiej nawigacji” (latem i jesienią 1942 roku) po Ładodze w obu kierunkach przetransportowano 1,1 miliona ton ładunków! Do Leningradu dostarczono 790 tysięcy ton, co stanowiło trzynastokrotny wzrost przepływu ładunków w porównaniu z nawigacją 1941 roku. Samej tylko żywności do miasta dostarczano po 2 tysiące ton dziennie (nie licząc żywego bydła, przekazanego do miasta w liczbie 16,5 tysiąca sztuk). Z Leningradu podczas nawigacji 1942 roku ewakuowano 540 tysięcy osób, wywieziono 28 tysięcy sztuk wyposażenia przemysłowego, 138 lokomotyw i 2027 wagonów, platform i cystern.

Wątpliwości (a dokładniej mówiąc: historyczne próby negocjowania oczywistości) co do możliwości żeglugi po Ładodze pojawiły się dopiero w ostatnich latach – po tym, jak publicznie i konkretnie padło pytanie o przyczyny leningradzkiego głodu. Za jeden z najbardziej „niepodważalnych” argumentów uchodzi następujący: „Skoro żegluga po Ładodze była możliwa, to po co wzdłuż południowego brzegu zaczęto budować sto kilometrów kanałów”? Jest to bardzo proste pytanie, a odpowiedź jest znana od dawna.

Po tym, jak Piotr Wielki podjął decyzję o budowie miasta na bagnach Newy, niespodziewanie i nagle (jak zawsze) okazało się, że „okno do Europy” zostało wycięte w miejscu, które nie posiada połączeń komunikacyjnych z wewnętrznymi regionami kraju; nawet zaopatrywanie nowo powstałego miasta w artykuły pierwszej potrzeby urosło do rangi poważnego problemu. Rozwiązaniem miało być utworzenie tzw. „Wyszniwołockiej Drogi Wodnej”. System kanałów połączył rzeki Twercę, Cnę, Mstę i Wołchow, dzięki czemu można było przepłynąć z Tweru nad Wołgą do jeziora Ładoga, a następnie po Newie do Petersburga. Jednak te rzeki były płytkie i dopuszczalne zanurzenie statków było ograniczone wiosną do 67, a w lecie do 53 centymetrów; barki ciągnęły po wodzie zaprzęgi konne (10 koni ciągnęło barkę ze średnią prędkością 2 km/h).

Takie statki nie mogły pływać po Ładodze, i to z dwóch powodów: „łajba” z płaskim dnem przewracała się już na pierwszej fali; ani konie, ani

ludzie nie mogli ciągnąć barki, gdyż brzegi każdego jeziora (w przeciwieństwie do brzegów rzek) przecinają liczne szkiery. Dlatego właśnie trzeba było wykopać kanał od ujścia rzeki Wołchow do Ładogi aż do Newy w pobliżu Szlisselburga, a wzdłuż brzegów kanału zbudować brukowaną drogę dla koni. Pod koniec XIX wieku, gdy pojawiła się kolej, znaczenie komunikacyjne szlaku wyszniewołockiego spadło do zera; Stary Kanał Ładoski zarósł mułem, Nowy Kanał wykorzystywano do cumowania statków na zimę.

Przeciwdziałania nieprzyjaciela

Jeszcze nikomu nie udało się walczyć bez nieprzyjaciela. Oczywiście Niemcy próbowali przeszkodzić w zaopatrzeniu Leningradu. Na lodzie Ładogi wybuchały pociski, na niebie nad jeziorem toczyły się walki powietrzne, w kłębach dymu i płomieni spadały samoloty, ginęli piloci. Przy odrobinie chęci można długo raczyć czytelnika mrocznymi opowieściami o mrozącym krew w żyłach wyciu spadających bomb i strzępach dziecięcych ciał, nad którymi zawodzi osiwiała w jednej chwili matka... Ale mamy inny cel: nie wyłączać, a wręcz przeciwnie, włączyć myślenie i postarać się zrozumieć rzeczywistą skalę zdarzenia i osadzić je w kontekście innych wydarzeń.

Niemcy ani razu nie podjęli próby „wyjścia na lód” i zaatakowania karawan transportowych na Drodze Życia. Być może właściwsze byłoby stwierdzenie, że obrona naziemna (a została zbudowana bardzo solidnie, łącznie z wyposażeniem kilkudziesięciu „lodowych bunkrów”) lodowej trasy okazała się tak mocna, że Niemcy uznali, że nie warto ryzykować.

Ostrzałów artyleryjskich było dużo, ale ich skuteczność okazała się znikomą. Z prostej przyczyny: Ładoga jest bardzo dużym jeziorem i nawet jego mały fragment zwany „zatoką szlisselburską” jest wystarczająco duży, żeby trasę ruchu samochodów ciężarowych odsunąć na bezpieczną odległość od artyleryjskich pozycji ogniowych niemieckich dywizji piechoty. Niemcy nawet nie próbowali używać ciężkich dział dalekiego zasięgu – potwornie drogich, z zasobem kilkuset strzałów – do beznadziejnych prób trafienia do ledwie widocznego ruchomego celu.

Jedynym instrumentem, którego nieprzyjaciel mógł użyć do zniszczenia komunikacji na Ładodze, było lotnictwo. Ale lotnictwo trzeba było najpierw posiadać – a Niemcy na początku września 1941 roku na froncie od Murmańska do Odessy mieli nieco ponad tysiąc sprawnych samolotów bojowych. Wątkę siły Luftwaffe trzeba było ciągle przerzucać z miejsca na miejsce na zasadzie „łatania dziur”, a kierunek leningradzki bardzo rzadko znajdował się wśród kierunków priorytetowych. Duże zgrupowanie Luftwaffe (w tym bombowce nurkujące Ju 87, których w pierwszych tygodniach wojny w pasie natarcia Grupy Armii „Północ” nie było w ogóle) na niebie nad Leningradem pojawiły się dopiero we wrześniu, ale nie z zadaniem zatopienia przerdzewiałych barek na Ładodze, a zniszczeniem dużych okrętów nadwodnych Floty Bałtyckiej (w tym dwóch pancerników!), które w tym czasie cumowały przy nabrzeżach Leningradu. Wykonawszy w dużej mierze to zadanie, 29 września bombowce nurkujące przeniesiono do strefy działań Grupy Armii „Środek”, gdzie rozpoczęła się wielka ofensywa, która miała na celu okrążenie i zdobycie Moskwy.

Skutki tego miotania się bardzo wyraźnie widać w meldunkach sztabowych obrony przeciwlotniczej Leningradu. „Pierwsza bomba została zrzucona na Leningrad z niemieckiego samolotu 6 września”, „od października 1941 r. niemieckie dowództwo prowadzi codzienne nocne naloty na Leningrad pojedynczymi bombowcami”, „nie odniósłszy zwycięstwa, niemieckie lotnictwo w grudniu 1941 r. zaprzestało nalotów na miasto i wznowiło je dopiero w kwietniu 1942 roku”. W konkretnych liczbach wyglądało to tak: we wrześniu na niebie nad Leningradem odnotowano 675 lotów nieprzyjaciela, w październiku – 377, w listopadzie – 388, w grudniu – 59, w styczniu, lutym i marcu – 0.

Wspomniane 675 lotów przez cały wrzesień 1941 roku to pod względem skali jeden nalot Luftwaffe na Londyn. Można też znaleźć bliższy geograficznie przykład: w ciągu trzech miesięcy wojny zimowej z Finlandią radzieckie lotnictwo bombowe wykonało 45 tysięcy lotów bojowych, w tym 14,6 tysiąca lotów na obiekty tyłowe na terytorium Finlandii.

Prawdopodobnie najbardziej dokładnym i bezpośrednim potwierdzeniem małej liczby (a właściwie nieobecności) nieprzyjaciela w powietrzu może być raport z działań bojowych 123. pułku lotnictwa myśliwskiego (od końca września ten pułk bronił nieba nad Ładogą, dokument podpisano 25 stycznia 1942 r.). Nie chodzi nawet o to, że „dzięki ofiarnej pracy pilotów

tylko w 7 przypadkach pojedynczym samolotom nieprzyjaciela udało się przedrzeć w pobliże celu i zrzucić bomby, które nie spowodowały szkód”. To zdanie od biedy można potraktować jako „opowieści myśliwskie”. Liczby są niezwykle wymowne: pułk wykonał 3010 lotów i stracił w walkach powietrznych 17 samolotów.

Jeden stracony samolot na 177 lotów. To jest absolutnie niesłychany poziom strat. Dokładniej mówiąc, przy typowym resursie silnika lotniczego wynoszącym 100–150 godzin jeden samolot po prostu nie mógł wykonać takiej liczby lotów. W radzieckich siłach powietrznych w pierwszym roku wojny jedna strata bojowa przypadała średnio na 28 lotów myśliwców (i nawet rekordowo wysoki wskaźnik lotnictwa Frontu Południowego, gdzie przeciwnikiem było nieliczne i słabe lotnictwo rumuńskie, w lipcu i sierpniu nie przekroczył jednej straty w powietrzu na 66 lotów).

Nie tylko wspomniany 123. pułk patrolował puste niebo – na początku stycznia trasę od stacji Wojbokało do punktów rozładunkowych na zachodnim brzegu jeziora osłaniały 5., 13. i 159 pułk lotnictwa myśliwskiego oraz samodzielna 13. eskadra lotnictwa Floty Bałtyckiej. Łącznie między 20 listopada a 1 kwietnia myśliwce, które miały chronić Drogę Życia, wykonały 6485 lotów, czyli średnio 50 lotów dziennie. Do tego pozostaje tylko dodać, że zimą na szerokości geograficznej Leningradu dzień trwa 5–6 godzin, a przez resztę doby panuje nieprzenikniona noc, podczas której bombardowanie celów ruchomych było przy ówczesnym zaawansowaniu technologicznym absolutnie niemożliwe.

Z lądu też można się było bronić. Dwa dywizjony artylerii przeciwlotniczej oraz trzy samodzielne baterie w porcie Osinowiec na zachodnim brzegu, po jednym dywizjonie w portach Kobona i Nowa Ładoga na południowym brzegu Ładogi; w odstępach co 3 kilometry bezpośrednio na lodzie jeziora instalowano parami w odległości 1,5 kilometra przeciwlotnicze karabiny maszynowe, transportom na trasie towarzyszyło po 10 poczwórnych zestawów karabinów maszynowych.

Ostateczny wynik w liczbach wygląda następująco: podczas ewakuacji ludności cywilnej od 22 stycznia do 15 kwietnia 1942 roku wskutek nalotów nieprzyjacielskiego lotnictwa zginęło 6 (sześć) osób i 66 zostało rannych. W tym samym czasie podczas ewakuacji 2394 osoby zmarły z głodu.

Warianty odpowiedzi

Jak sugeruje tytuł artykułu, zadaniem autora było zebranie faktów i sformułowanie pytań. Nie obiecywałem odpowiedzi, a ich udzielenie wymaga jeszcze poważnych wysiłków wielu specjalistów. Niemniej jednak dość prawdopodobna wydaje się hipoteza, którą pierwszy (jak mi wiadomo) sformułował N. Sawczenko, a mianowicie: głód był rezultatem BRAKU JEDZENIA. O ilości żywności w okrążonym Leningradzie **nie decydowały możliwości komunikacji transportowej, a dostępność (lub brak) artykułów żywnościowych w punktach załadunku** na południowym brzegu Ładogi.

Niewątpliwymi zaletami tej hipotezy są prostota, logika, brak choćby najmniejszych śladów konspirologii. Wadą jest prosty wniosek, który z niej wynika: zwrot „blokada Leningradu” należy pisać w cudzysłowie. Ponad 600 tysięcy osób zmarło z głodu, ale blokady nie było. Oczywiście dla „radzieckich patriotów” taki wniosek będzie absolutnie nie do przyjęcia i z jeszcze większym zacietrzewieniem będą oni przekonywali o wyjątkowych falach na Ładodze i chmarach bombowców Luftwaffe...

Tym czytelnikom, którzy nie reagują na histerię, chcę przypomnieć, że losy mieszkańców Leningradu nie mogły różnić się od losów wyrzuconych w zimie na mróz mieszkańców spalonych wsi pod Moskwą. „Wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa”. Właśnie tak: wszystko i wszyscy. Oczywiście nie należy lekceważyć czynnika karygodnych zaniedbań, które uwidoczniły się podczas zaopatrywania Leningradu, ale pomimo zaniedbań przypuszczalnie podjęto całkowicie świadomą decyzję: pierwszym i najważniejszym priorytetem było uratowanie (wyprowadzenie z okrążenia) oddziałów Frontu Leningradzkiego, drugim – zniszczenie infrastruktury przemysłowej miasta na wypadek zajęcia go przez wroga. Utrzymanie przy życiu 2,5 miliona osób nie należało do zadań priorytetowych.

1. W wielu publikacjach błędnie podaje się inną, większą liczbę; to nieporozumienie wynika z faktu, że na początku wojny, kiedy nikt się nie spodziewał, że niemieckie oddziały pojawią się na południowych przedpolach Leningradu, 175 tysięcy dzieci wywieziono na obszary wiejskie położone na południe i południowy wschód od miasta, a następnie, w miarę zbliżania się frontu, sprowadzono je z powrotem. [\[wróć\]](#)

JAK ZWIĄZEK RADZIECKI WYGRAŁ WOJNĘ

Roboczy tytuł tego artykułu zaczynał się od słowa „Dlaczego”. Ale takie sformułowanie byłoby z założenia niedokładne, bo tworzyło fałszywe wyobrażenie, że zwycięstwo ZSRR w wojnie z hitlerowskimi Niemcami było czymś naturalnym, nieuchronnym, z góry określonym – jak jabłko spadające z jabłoni. Zadaniem historyka w takim układzie pozostaje wyłącznie zidentyfikowanie „obiektywnych przyczyn zwycięstwa”. Zresztą po co szukać, skoro już dawno zostały znalezione: „Wytrzymałość i wielkie zalety społecznego i państwowego ustroju socjalistycznego, przyjaźń ludów ZSRR, radziecki patriotyzm i proletariacki internacjonalizm, niepodzielne zwierzchnictwo partii komunistycznej”. Koniec cytatu.

Niestety rzeczywistość była bardziej skomplikowana. Owszem, wojna zakończyła się w Berlinie, zakończyła się całkowitą i bezwarunkową kapitulacją Niemiec i, jak słusznie zauważył Wiktor Suworow, „Stalin w mundurze generalissimusa wyglądał znacznie lepiej niż zwęglone zwłoki Hitlera”. Ale do tego triumfu prowadził szereg zaskakujących, nie zawsze dających się logicznie wytłumaczyć wydarzeń, dziwnych decyzji i działań przywódców politycznych; przyszły zwycięzca nieraz znajdował się o pół kroku od śmierci, a zwycięstwo jego przeciwnika czasami wydawało się nieuniknione.

Czy Niemcy mogły zwyciężyć?

Jak w wielu innych przypadkach prawidłowa odpowiedź zaczyna się od prawidłowo zadanego pytania. Czym jest zwycięstwo Niemiec? Rozmiesz-

czeniu niemieckiego garnizonu w każdym miasteczku od Brześcia do Władystoku? Ale tak absurdalnego celu nigdy nie sformułowano.

Rzeczywiste cele wojny zostały ujęte w dyrektywie „Führera i naczelnego wodza” nr 21 (plan „Barbarossa”), w opracowanych na jej podstawie planach rozwinięcia strategicznego Wehrmachtu, w przemówieniach Hitlera do generalicji, w jego korespondencji z Mussolinim. Wszystko to zostało odtajnione, udostępnione i od dawna i wiele razy publikowane, dlatego nie zamęczając czytelnika licznymi cytatami, od razu przejdźmy do ostatecznego wniosku: niemieckie siły zbrojne otrzymały zadanie osłabienia militarno-gospodarczego potencjału Związku Radzieckiego (poprzez rozgromienie sił Armii Czerwonej, zdobycie najważniejszych ośrodków przemysłowych, przesunięcie granicy na wschód) do tego stopnia, jaki uniemożliwiłby ingerencję ZSRR w europejskie sprawy Hitlera. Przynajmniej do zakończenia wojny z imperium brytyjskim.

W dokumentach nie ma wyraźnych wskazówek co do pożądanej reorganizacji politycznej. Jednak w liście, który Hitler wieczorem 21 czerwca wysłał do Mussoliniego, są następujące słowa: „Nawet gdybym został zmuszony do końca tego roku zostawić w Rosji 60 albo 70 dywizji, to nadal byłaby to tylko część sił, które muszę teraz stale utrzymywać na wschodniej granicy”. 60 albo 70 dywizji bez potrzeby nikt nie utrzymuje; można przypuszczać, że Hitler wówczas uważał za możliwe takie zakończenie kampanii zbrojnej, w którym wciąż istniałaby jakaś na wpół niezależna „uralsko-syberyjska Rosja”.

Jeśli chodzi o geografie kampanii wschodniej, to w dyrektywie nr 21 została sformułowana następująco: „Ostatecznym celem operacji jest stworzenie bariery ochronnej przed azjatycką Rosją wzdłuż wspólnej linii Wołga–Archangielsk”. Od Białegostoku i Lwowa do wspomnianej linii jest około 1,5 tysiąca kilometrów. Dużo, ale nie nieskończenie dużo. Wyznaczając tę linię, Niemcy wykazały się sporą reasekuracją – nie było potrzeby posuwać się aż tak daleko.

Cztery piąte samolotów bojowych w ZSRR zostało wyprodukowanych w czterech fabrykach: dwóch w Moskwie, jednej w Gorkim (Niżnym Nowogrodzie), jednej w Woroneżu. Prawie całą produkcję silników do nich zapewniały cztery fabryki: w Moskwie, Rybińsku (270 kilometrów na północ od Moskwy), Permie i Zaporozu. Produkcja czołgów i silników czołgowych w przededniu wojny praktycznie w całości jest skoncentrowana

w Leningradzie i Charkowie. Najbardziej masowe systemy artyleryjskie (przeciwpancerne kalibru 45 mm, pułkowe i dywizyjne działa kalibru 76 mm, haubice kalibru 122 mm i 152 mm) produkowano w Leningradzie, Podlipkach (w pobliżu Moskwy), Gorkim, Permie i okolicach. Główne typy broni strzeleckiej – w Podmoskowi (Podolsk, Zagorsk, Tuła, Kowrow) i Iżewsku.

Jeśli na mapie geograficznej ZSRR nakreślimy dwie linie (dziwnym zbiegiem okoliczności przecinają się pod kątem prostym) – Leningrad–Gorki i Gorki–Zaporoże – to prawie wszystkie wymienione wyżej miasta znajdują się na zachód od nich. Tylko Iżewsk i Perm pozostaną 600– 800 kilometrów na wschód od tego trójkąta, co zresztą zostało uwzględnione w planie „Barbarossa”: „W razie konieczności ostatni rejon przemysłowy Rosjan na Uralu można sparaliżować za pomocą lotnictwa”.

Krytycznym warunkiem realizacji planu „Barbarossa” było szybkie tempo ofensywy. 1000–1400 kilometrów od zachodniej granicy ZSRR do linii Leningrad–Gorki–Zaporoże trzeba było pokonać, zanim nieprzyjaciel zdąży zorganizować całkowitą ewakuację zakładów zbrojeniowych, czyli w ciągu 1–2 miesięcy. Czy to możliwe?

Na tego rodzaju pytanie nie ma i nie może być jednoznacznej odpowiedzi. Przestrzeń nie stawia oporu, to ludzie stawiają opór (a dokładniej: uzbrojeni i zorganizowani w armię ludzie). Latem 1918 roku garstka słabo uzbrojonych ludzi (nie więcej niż 25 tysięcy, bez artylerii), zwana Korpusem Czechosłowackim, obaliła władzę radziecką na gigantycznym obszarze od Penzy do Tomska. W listopadzie 1942 roku 35 tysięcy dobrze uzbrojonych, wyposażonych w pojazdy pancerne i ciężarówki ludzi pokonało w nieustannej ofensywie 1800 kilometrów od Safi do Bizerty, przy czym przejechali bezludną i bezwodną pustynię (operacja „Torch”, amerykański desant w Afryce Północnej). Tak więc uniemożliwić Niemcom dotarcie od Brześcia do Gorkiego mógł tylko opór Armii Czerwonej, a nie same tylko kilometry.

Samolikwidator Hitler

Po trzech tygodniach od rozpoczęcia operacji niemieccy generałowie mogli stwierdzić, że pierwsze zadanie powierzone im zgodnie z planem „Barbarossa” („Główne siły radzieckich wojsk lądowych znajdujące się w zachodniej Rosji powinny zostać zniszczone w zdecydowanych operacjach poprzez głębokie, szybkie ataki klinów pancernych”), zostało już w zasadzie wykonane.

Gąsienice czołgowe z hukiem przetoczyły się przez mosty na Bugu, Niemnie, Dźwinie, Berezynie, Horyniu i Słuczy. 10 lipca Niemcy zajęli Psków, 16 lipca – Smoleńsk. Pokonano dwie trzecie odległości od zachodniej granicy do Leningradu i Moskwy. Jednostki Bałtyckiego i Zachodniego Okręgu Wojskowego (ponad 70 dywizji, milion osób) zostały rozgromione, rozpedzone po lasach albo wzięte do niewoli. Nieco później to samo działo się z Frontem Południowo-Zachodnim i Południowym. Szczególnie ciężkie straty poniosły największe na świecie radzieckie wojska pancerne: do połowy lipca utracono 12 tysięcy czołgów, a resztki niegdyś potężnych korpusów zmechanizowanych zaczęto oficjalnie rozwiązywać. Lotnictwo okręgów zachodnich straciło co najmniej 80–85% samolotów; zresztą pozostałe maszyny bojowe w większości uznano za nienadające się do walki. Do 1 sierpnia 1941 roku straty radzieckich sił powietrznych wyniosły 10 tysięcy samolotów, z których 5240 oznaczono jako „straty niewzględnione”.

I tak wojna, która rozpoczęła się w taki sposób, zakończyła się w Berlinie. Pierwszym (według chronologii, a być może również znaczenia) autorem „wielkiego przełomu” został Adolf Hitler. Największy zbrodniarz i potwór nie wydawał się być klinicznym idiotą, ale lista szaleńczych błędów, które popełnił w 1941 roku, nie przestaje zadziwiać.

Zacznijmy od prostego i małego. Po zdobyciu Smoleńska trzeba było, nie bacząc na zagrożenia ze strony skrzydeł, iść, przedzierać się, rwać do Moskwy. Taka decyzja nie jest kwestią sztuki operacyjnej (w niekończących się sporach każdy na swój sposób będzie miał rację). Jest to główna filozofia wojny, czynnik ludzki, który taki mistrz manipulowania tłumem jak Hitler powinien był zrozumieć. Utrata stolicy, symbolu władzy i potęgi kraju miesiąc po rozpoczęciu działań bojowych nie mogła nie wywrzeć piorunującego wrażenia na armii i obywatelach. Z bardziej przyziemnego punktu widzenia zdobycie Moskwy wielokrotnie zwiększało współczynnik sprzężenia zwrotnego („wojna już jest przegrana, w imię czego mam

poświęcić moje jedyne życie”, i armia zmienia się w rozpiechający się tłum, co dodatkowo przyspiesza postępy nieprzyjaciela).

I nie zapominajmy, że w podpisanej przez Hitlera dyrektywie nr 21 właśnie zdobycie Moskwy zostało wskazane jako główne zadanie: „Zdobycie tego miasta oznacza tak polityczny, jak i gospodarczy sukces, nie mówiąc już o tym, że Rosjanie tracą bardzo ważny węzeł kolejowy”. Tym, którzy dawno tego nie robili, polecam przyjrzeć się mapie kolejowej ZSRR – główne linie magistralne łączą się w jednym punkcie i tym punktem jest Moskwa. Niemniej jednak po sforsowaniu górnego biegu Dniepru i dotarciu do Smoleńska zaczynają się wielotygodniowe dyskusje, których rezultatem jest decyzja o skierowaniu szybkich związków Grupy Armii „Środek” na północ (do Leningradu i Tichwina) i na południe (do Kijowa). W rezultacie operacja „Tajfun” (bitwa o Moskwę) rozpoczyna się dopiero 30 września, na rozmokłych od jesiennego deszczu drogach – dwa i pół miesiąca zostają bez sensu zmarnowane.

Ten błąd był (dla Niemców) katastrofalny, ale nie powiem, że bardzo zaskakujący, ponieważ stał się logiczną konsekwencją innego, znacznie poważniejszego błędu – Wehrmacht ruszył (a dokładniej mówiąc: został wysłany „przez Führera i naczelnego wodza”) do walki z największą lądową armią świata z minimalnymi, zupełnie nieadekwatnymi do zadania rezerwami. Łącznie między 22 czerwca i końcem 1941 roku na froncie wschodnim z odwodu naczelnego wodza do walk przystąpiły 2 dywizje pancerne, 1 dywizja zmotoryzowana i 25 dywizji piechoty w sytuacji, gdy nieprzyjaciel rzucał na front setki nowych jednostek, a długość geometryczna samego frontu wzrosła ponaddwukrotnie. Niemieccy generałowie musieli więc radzić sobie z brakami w momentach, kiedy dla rozwinięcia zwycięstwa konieczne było wprowadzenie do walki potężnych świeżych sił.

Nie mniej wymowna jest również dynamika uzupełnienia czołgów. W ciągu pierwszych dwóch i pół miesięcy wojny (jak już zauważyliśmy, w tym czasie trzeba było albo pokonać „wschodniego kolosa”, albo się zastrzelić) cały front wschodni otrzymał 89 (osiemdziesiąt dziewięć) czołgów na uzupełnienie strat. Co więcej, dokładnie połowę tej „ogromnej liczby” stanowiły lekkie czeskie Pz-38(t). Łącznie do końca 1941 roku na front wschodni wysłano 513 czołgów i „dział szturmowych”. Czy można

w ten sposób walczyć na froncie ciągnącym się półtora tysiąca kilometrów? Z przeciwnikiem, który ma tysiące czołgów?

Ale może Niemcy po prostu nie miały w co zaopatrzyć swojej walczącej armii? Bez zbędnych słów przytoczę trzy liczby: 89, 515, 3160. Pierwsza – to wspomniana już liczba czołgów wysłanych na front wschodni. Druga – to średnia dla 1941 roku produkcja czołgów za dwa miesiące. Nawet nie przykładając się do pracy, na jedną zmianę, nie licząc świąt i dni wolnych, przy czterdziestogodzinnym tygodniu pracy, Niemcy mogły co dwa miesiące zaopatrzyć w czołgi 3 nowe dywizje. A trzecia liczba – to średnia dwumiesięczna produkcja czołgów i dział szturmowych w 1944 roku. Tyle właśnie wyprodukowano pod gradem bomb, straciwszy najważniejsze źródła surowca do produkcji stali pancernej.

W czasie (lipiec 1941 roku), gdy smoleńskie zgrupowanie Wehrmachtu nie miało czym rozwijać ofensywy na Moskwę, 45 dywizji piechoty i 2 dywizje pancerne stały beczynnie we Francji i na Bałkanach, 8 dywizji piechoty przygotowywało się do odparcia mitycznego lądowania Brytyjczyków w Norwegii. Na etapie przygotowań do wojny z ZSRR (od zakończenia kampanii francuskiej i do kwietnia 1941 roku) z Wehrmachtu zdemobilizowano (!) 500 tysięcy osób, a tych żołnierzy wystarczyłoby do sformowania 30 dywizji piechoty... Podobne działania można by długo wymieniać, ale ostatecznie wszystkie świadczą o jednym – o bardzo ryzykownym niedoszacowaniu możliwości nieprzyjaciela (Armii Czerwonej).

Niewiarygodne, ale prawdziwe: wojna przeciwko ZSRR była początkowo postrzegana przez Hitlera jako niewielki epizod w Wielkiej Bitwie z imperium brytyjskim („pokonać Rosję Radziecką podczas krótkiej kampanii przez zakończeniem wojny z Anglią”). Dyrektywa nr 32 z zadaniami dla sił zbrojnych Rzeszy na okres po zakończeniu „Barbarossy” została spisana 11 czerwca 1941 roku. To nie jest błąd. 11 czerwca, dziesięć dni przed rozpoczęciem „Barbarossy” (co prawda tego dnia Hitler jej nie zatwierdził, a sporządzona na jej podstawie dyrektywa została podpisana 14 lipca; przewidywano „znaczne zmniejszenie wojsk lądowych”, a uwolnione zasoby zamierzano przeznaczyć na wszechstronny rozwój Luftwaffe). Ale przecież mówiło się im: „Nie chwal się, kiedy idziesz na wojnę”...

Bez względu na to, jak dziwne i destrukcyjne były wspomniane wyżej decyzje, wszystkie one bledną na tle głównego, naprawdę fatalnego w skutkach błędu Hitlera: rozwodząc się nad „glinianym kolosem bez głowy”, nie

zrozumiał, że nie da się rozgromić Związku Radzieckiego tylko za pomocą wojska i „głębokie ataki klinów pancernych” mają sens wyłącznie jako DETONATOR zewnętrzny, inicjujący wewnętrzną polityczną eksplozję. Żeby osiągnąć ten najważniejszy cel, nie zrobiono nic – nawet Hitler bez trudu mógł odnieść zwycięstwo nad imperium stalinowskim.

Na krańcach ZSRR (kraje bałtyckie, zachodnia Ukraina, później – Kaukaz Północny i Kubań) wybuchły zbrojne powstania narodowe, które doprowadziły do pojawienia się we Lwowie, Rydze i Kownie samowolnych rządów samopowołanych „państw”. Pod koniec lata 1941 roku Niemcy przetrzymywali w niewoli 1,5 miliona byłych żołnierzy Armii Czerwonej, we wrześniu i październiku 1941 roku ta liczba się podwoiła. W rzeczywistości był to ogromny kontyngent poborowy, z gotowym dowództwem, wojskowymi specjalistami wszelkiego rodzaju oraz olbrzymimi stertami amunicji i broni – od karabinów po czołgi włącznie – które przecież nie wyparowały bez śladu, a zostały na terytorium kontrolowanym przez Wehrmacht.

Generałowie Wehrmachtu, którzy widzieli sytuację w Armii Czerwonej i w obozach jenieckich z bliska (w szczególności czytali protokoły przesłuchań radzieckich jeńców, których tłumaczenia są zamieszczone na mojej stronie internetowej), wielokrotnie zwracali się do Hitlera z propozycją, aby wykorzystać tę wyjątkową sytuację. Całkowicie możliwe było powtórzenie sytuacji z 1918 roku, gdy wspierający zmianę władzy w Rosji Niemcy zawarli z nowym rządem traktat brzeski, w ten sposób zapewniając sobie wolną rękę do ofensywy na froncie zachodnim.

Na szczęście dla ludzkości Hitler stracił swoją szansę. Nawet nie próbował owijać w bawełnę i przedstawiać swojej agresji przeciwko ZSRR jako kampanii wyzwoleniczej. Wziętych do niewoli czerwonoarmistów, opuszczonych przez państwo radzieckie, spędzano na wielkie, ogrodzone drutem kolczastym polany i pozwalano umrzeć z głodu i dyzenterii. Gdy dowódca Grupy Armii „Środek” feldmarszałek von Bock wysłał do Berlina projekt stworzenia „armii wyzwoleniczej” z 200 tysięcy ochotników i powołania rosyjskiego rządu w Smoleńsku, jego raport został odesłany w listopadzie 1941 roku z adnotacją Keitla: „Takie pomysły nie podlegają dyskusji z Führerem”.

Nie mam żadnego racjonalnego wytłumaczenia dla takiej autodestrukcyjnej głupoty. Pozostaje tylko przypomnieć wypowiedzianą przez nieżyją-

czego już Igora Bunicza myśl o pewnym tajemniczym „samolikwidatorze”, który Los wbudowuje w mechanizm totalitarnej dyktatury. Magia? No to zwróćmy się do absolutnie konkretnej i weryfikowalnej nauki – meteorologii.

W południe 16 listopada 2014 roku temperatura powietrza w Moskwie wynosiła -4 stopnie, bez opadów, bez pokrywy śnieżnej. 16 listopada 2013 roku – 3 stopnie, wieczorem słaby deszcz, bez śniegu. 16 listopada 2012 roku – 5 stopni, słaby deszcz, bez śniegu. 2011 rok – -3 stopnie, bez opadów, bez śniegu. 2010 rok – 10 stopni, bez opadów, nieznaczne zamglenia. To nie jest alternatywna historia, to rzeczywista pogoda. I 16 listopada 1941 roku, kiedy pod rozjazdem Dubosiekowo rozegrała się słynna bitwa, też mogłoby być 10 stopni. Albo jeszcze lepiej (dla Niemców) – -3 stopnie, lekki mróz i zamarznięte bezśnieżne pola pod Moskwą, które zmieniły się w przejezdną dla wszystkich rodzajów transportu drogę...

Roosevelt. Amerykański cud

ZSRR i Niemcy nie walczyły same. Miały sojuszników, którzy pojawiali się i odchodzili. Jak wiadomo, na Hitlera „pracowała cała Europa”. Interesująca była ta „cała Europa”, do której nie należały Anglia, Irlandia, Hiszpania, Portugalia, Szwecja, Szwajcaria (jeżeli dwie ostatnie nawet coś sprzedawały, to tylko za pieniądze), w okupowanych Serbii i Grecji toczyła się wojna partyzancka, a dla ratowania głównego sojusznika, Włoch, Niemcy musieli poświęcić wiele różnego rodzaju środków. A jednak historycy skrupulatnie wyliczają: tutaj batalion pancerny Wehrmachtu został wyposażony w zdobyczne francuskie czołgi, tu sprzymierzona Bułgaria otrzymała setkę francuskich myśliwców Dewoitine D.520, a tu sami Niemcy przyjęli do uzbrojenia Luftwaffe 248 zdobycznych dewoitine'ów i jeszcze polecili zbudować 150 sztuk, które gdzieś na tyłach okręgów obrony powietrznej patrolowały niebo...

Po 22 czerwca 1941 roku Stalin też miał sojusznika, a jego zasoby można było porównać z zasobami wspomnianej już „całej Europy” jak belkę i żdźbło ze słynnej przypowieści z ewangelii.

Według powszechnego błędnego przekonania Stany Zjednoczone stały się supermocarstwem w 1945 roku – ale to nieprawda: absolutnym liderem światowej gospodarki USA stały się znacznie wcześniej. Już pod koniec lat 20. produkcja przemysłowa w Stanach Zjednoczonych przekroczyła (pod względem wartości) wskaźniki Wielkiej Brytanii, Niemiec, Włoch i Japonii razem wziętych. W produkcji stali USA 1,4 razy przewyższały Anglię, Francję i Niemcy, pod względem wytwarzania energii elektrycznej – 1,7 razy, w produkcji samochodów w 1930 roku USA były trzy razy lepsze od reszty świata, zwiększywszy liczebność parku samochodów do 24 milionów sztuk. Wraz z wybuchem wojny światowej te liczby zaczęły wielokrotnie wzrastać.

W 1940 roku w ZSRR wyprodukowano 60 tysięcy ton aluminium, plan na 1941 rok zakładał osiągnięcie poziomu 100 tysięcy ton, w rzeczywistości jednak produkcja się załamała i powrót do przedwojennego poziomu nastąpił dopiero w 1943 roku. USA w 1935 roku wyprodukowały 54 tysiące aluminium, w 1941 roku – 280, w 1942 roku – 473, w 1943 roku – 835 tysięcy ton.

ZSRR miał dużo ropy, w przededniu wojny wydobywano około 30 milionów ton rocznie – absolutnie pierwsze miejsce wśród państw Starego Świata (najbliższy konkurent na półkuli wschodniej, Iran, produkował trzy razy mniej). Wydobycie ropy w Rumunii było pięć razy mniejsze niż w ZSRR, a dostawy rumuńskiej ropy do Niemiec nigdy nie przekroczyły poziomu 3 milionów ton. USA w czasie wojny wydobywały średnio 232 miliony ton ropy rocznie – to nie jest błąd w druku.

W 1940 roku ZSRR produkował 18,3 miliona ton stali, wybuch wojny i utrata najważniejszych regionów przemysłowych doprowadziły do gwałtownego zmniejszenia produkcji: w 1942 roku wyprodukowano tylko 8,1 miliona ton i dopiero w 1945 roku udało się zwiększyć produkcję do 12,3 miliona ton. W Niemczech (w tym na terenach zaanektowanych i okupowanych) w latach 1941–1943 produkowano około 32–35 milionów ton stali rocznie. USA w czasie wojny wytapiały średnio 85 milionów stali rocznie.

Podstawą każdej produkcji przemysłowej jest energetyka. Produkcja energii elektrycznej w ZSRR w 1942 roku spadła do 29 miliardów kWh, ale pod koniec wojny wzrosła do 43 miliardów. Anglia podczas wojny wytwarzała średnio 53 miliardy kWh rocznie, USA – 280 miliardów. I tak dalej. Ogromny, wielokrotnie przekraczający możliwości innych uczestników

wojny światowej potencjał gospodarczy Stanów Zjednoczonych pozwolił im rozwinąć produkcję różnorodnej broni w zawrotnych ilościach. Coś z tej obfitości trafiło do Związku Radzieckiego.

W szczególności:

18 tysięcy samolotów bojowych,

6 tysięcy ton tetraetylołowiu (dodatek przeciwstukowy do benzyny lotniczej) i

milion 170 tysięcy ton gotowej benzyny lotniczej (w tym wysokooktanowych „lekkich frakcji”),

12 tysięcy czołgów i dział samobieżnych, 7 tysięcy transporterów opancerzonych,

520 okrętów różnych klas,

375 tysięcy ciężarówek,

50 tysięcy willysów z napędem na cztery koła i 35 tysięcy motocykli,

2 tysiące lokomotyw, 11 tysięcy wagonów i 620 tysięcy ton szyn kolejowych,

7 tysięcy pokładowych radiostacji lotniczych, 16 tysięcy radiostacji czołgowych i 53 tysiące pozostałych typów radiostacji,

619 tysięcy aparatów telefonicznych i 2 miliony kilometrów przewodów telefonicznych (można nimi 48 razy owinąć Ziemię wzdłuż równika),

10 milionów lamp radiowych,

170 radarów naziemnych i 370 radarów pokładowych,

3 tysiące kilometrów węży strażackich,

12 ton cennego cezu i 10 tysięcy ton elektrod grafitowych,

45 tysięcy obrabiarek do metalu i 104 ciężkich pras,

8 tysięcy armat przeciwlotniczych małego kalibru i 18 milionów pocisków do nich,

6 tysięcy kompletów półautomatycznych celowników przeciwlotniczych,

903 tysiące detonatorów różnych typów,

603 miliony nabojów karabinowych,

3 miliony pocisków do działek lotniczych kalibru 20 mm,

13 milionów par skórzanych butów wojskowych,

40 milionów gramów leków bakteriostatycznych...

Na temat tej (oczywiście niepełnej) listy w społeczeństwie istnieją dwie opinie. Pierwsze (starsze): „Dziękujemy za to, ale mogliby wysłać więcej”.

Drugie, współczesne: „Dranie, łajdacy, (...), wykpił się od wojny parszywą tuszonką”. Osobiście nie mam zdania, ale chciałbym zadać pytanie: Dlaczego? Niby dlaczego USA miałyby podarować Stalinowi chociaż jeden przerdzewiały gwóźdź?

Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny (najpierw faktycznie, a potem oficjalnie i prawnie) z pewnymi publicznie zadeklarowanymi celami. 6 stycznia 1941 roku, przemawiając przed Kongresem i uzasadniając to, co później stało się znane jako Lend-Lease Act, prezydent F.D. Roosevelt powiedział: „Powiedzmy państwu demokratycznym: «My, Amerykanie, jesteśmy żywotnie zainteresowani waszą walką w obronie wolności. Oferujemy wam naszą energię, nasze zasoby i nasze możliwości organizacyjne, aby dawać wam siłę w walce o zachowanie wolnego świata»”.

Doskonale! A co wspólnego mają tak szlachetne idee z zaopatrywaniem w broń stalinowskiego imperium? Czy to jest „państwo demokratyczne”? Tyrania, która w swym okrucieństwie, totalności i kłamliwej podłości przewyższyła najgorsze cechy hitlerowskiego reżimu – czy to jest wolny świat, któremu Ameryka, ogłaszając się „arsenałem demokracji”, powinna podarować 17 milionów ton wyposażenia wojskowego?

W porządku. Zapomnijmy o ideałach i porozmawiajmy o interesach. Brutalnych, przyziemnych, pragmatycznych interesach. Z tym jest jeszcze łatwiej – skoro dwaj dyktatorzy (Hitler i Stalin) nie mogli polubownie załatwić podziału łupów i rzucili się sobie do gardeł, to USA w takiej sytuacji miały zupełnie zrozumiały interes: „Niech walczą i mordują się nawzajem jak najdłużej”. Co – z punktu widzenia USA – mogło być lepsze niż wzajemne unicestwianie się nazizmu i komunizmu, dokonywane cudzymi rękoma, bez przelewania krwi amerykańskich żołnierzy?

Tak, są dwa ważne wyjaśnienia. W początkowej fazie wojny (latem i jesienią 1941 roku) istniało realne prawdopodobieństwo (z punktu widzenia USA – niebezpieczeństwo) szybkiej klęski jednej ze stron (Stalina) i/lub zawarcia między ZSRR i Niemcami wymuszonego porozumienia pokojowego (drugie wydanie pokoju brzeskiego). Należało tego uniknąć, ale właśnie na danym etapie pomoc Stanów Zjednoczonych była minimalna (pierwszy protokół w sprawie dostaw podpisano dopiero 1 października 1941 roku, a podpisanie jeszcze nie oznacza dostawy towarów).

Po drugie, natarcie Niemców w Afryce Północnej (Libia, Egipt) stworzyło realną groźbę przejęcia przez nich bliskowschodniej ropy, a to mogło

zmienić globalną sytuację strategiczną (katastrofalne osłabienie imperium brytyjskiego oraz ogromne dodatkowe możliwości dla Hitlera). Amerykanie nie zamierzali przyglądać się temu obojętnie i ich wspólne działania z wojskami brytyjskim (operacja „Torch”, wysadzenie dużego desantu morskiego na wybrzeże Maroka i Algierii, rozpoczęte 8 listopada 1942 roku) są zrozumiałe i zgodne z ich celami. Ale po kapitulacji wojsk niemiecko-włoskich (15 maja 1943 roku, kiedy to do niewoli trafiło około 250 tysięcy żołnierzy) USA mogły z poczuciem dobrze wykonanej pracy zaprzestać wszelkich ingerencji w działania wojenne na kontynencie europejskim, pozostawić Hitlera i Stalina samych z ich nie do pozazdroszczenia losem i zająć się aktywnymi przygotowaniami do momentu, kiedy dwie totalitarne dyktatury się wykrwawią.

Ściśle rzecz biorąc, takie przygotowania prowadzili w rzeczywistości. We wrześniu 1942 roku odbył się pierwszy lot, a w następnym roku rozpoczęła się seryjna produkcja bombowca strategicznego B-29 Superfortress. W porównaniu z ówczesnymi bombowcami to było nawet nie następne pokolenie, a inna epoka. Przypomnę, że w radzieckich siłach powietrznych Il-4 (DB-3f) o maksymalnej masie startowej 11 ton był uważany wówczas za bombowiec dalekiego zasięgu. Bardziej zaawansowany czternastotonowy Jer-2 nie został ukończony (głównie z powodu braku odpowiednich silników). Trzydziestotonowy Pe-8 (TB-7) był produkowany w niewielkich ilościach (kilkadziesiąt rocznie) i nie był realnym narzędziem do prowadzenia wojny. Zwieńczeniem niemieckich starań o stworzenie Ural-bombera stał się trzydziestotonowy, wyjątkowo zawodny He 177, którego produkcja pod koniec 1943 roku wyniosła około 400 maszyn (żadna z nich nigdy nie pojawiła się na niebie nad Uralem).

Amerykańska superforteca to 63 tony masy startowej i 9 ton maksymalnego obciążenia bombowego; z ładunkiem 4,1 tony samolot mógł przelecieć 5310 kilometrów, czyli z lotnisk w południowej Anglii można było bombardować Leningrad, Moskwę i Kijów, z Teheranu – Perm, Swierdłowski i Czelabińsk. Cztery silniki o mocy 2200 KM każdy, z potężnym turbodoładowaniem, zapewniały maksymalny pułap 11 kilometrów i prędkość 575 km/h. Kabina ciśnieniowa dla wszystkich członków załogi, zdalnie sterowane wieżyczki karabinów, kalkulator balistyczny, połączony z celownikiem radiolokacyjnym... W stratosferze samolot był praktycznie nieosiągalny dla artylerii przeciwlotniczej i ówczesnych myśliwców; nie-

wiele skuteczniejsze w zwalczaniu go okazały się myśliwce odrzutowe w późniejszym okresie – w ciągu trzech lat wojny w Korei (1950–1953) flota B-29 zrzuciła około 185 tysięcy ton bomb przy poziomie strat bezpowrotnych rzędu jeden samolot na 500 lotów.

Do połowy 1945 roku Amerykanie wyprodukowali ponad 3 tysiące takich bombowców. W prawdziwej historii zmuszenie do poddania się przy użyciu B-29 odbywało się w następujący sposób: w nocy z 9 na 10 marca 1945 roku 279 bombowców rzuciło na Tokio 1665 ton bomb zapalających, wywołując „burzę ognia”, w której wyniku spłonęło doszczętnie 40 km² zabudowań miejskich. Geometrycznie jest to powierzchnia koła o średnicy 7 kilometrów, arytmetycznie – osiem razy więcej niż strefa zniszczeń w Hiroszimie. W ciągu jednej nocy w Tokio zginęły 84 tysiące osób.

W nocy z 12 na 13 marca 274 B-29 dokonał nalotu na Osakę, niszcząc 21 km² zabudowy miejskiej. W nocy z 16 na 17 marca miasto Kobe zbombardowało 331 B-29, ale nie tak skutecznie – doszczętnie spłonęło tylko 8 km²... Łącznie w marcu 1945 roku superfortece wykonały 1505 lotów, niszcząc 82 km² zabudowy w czterech największych miastach Japonii (Tokio, Kobe, Osaka, Nagoja). 220 tysięcy osób zostało zabitych i rannych.

Tempo dalszej eksterminacji ogranicza tylko harmonogram dostaw wielu tysięcy bomb na lotniska na Marianach. W nocy z 13 na 14 kwietnia 327 B-29 dokonało kolejnego nalotu na Tokio, zrzucając 2100 ton bomb. W maju i czerwcu w nalocie na jeden obiekt brało udział do 470 bombowców. Efektem tej serii było całkowite zniszczenie 40% powierzchni zabudowy atakowanych miast. W czerwcu największe miasta w Japonii zostały zbombardowane i amerykańskie siły powietrzne rozpoczęły drugą część operacji – naloty na 58 miast liczących 100–200 tysięcy mieszkańców. W lipcu 1945 roku B-29 wykonały 6697 lotów, zrzucając ponad 43 tysiące ton bomb; w ciągu zaledwie dwóch miesięcy łącznie doszczętnie spłonęło 187 km². Na tym tle zrzuconie bomby atomowej na Hiroszimę i Nagasaki było tylko niewielkim epizodem, chociaż wywarło silny psychologiczny wpływ na japońskich przywódców.

W rzeczywistości wszystko to przydarzyło się Japonii, która została zmuszona do kapitulacji, zanim pierwszy amerykański żołnierz postawił stopę na jej ziemi. I gdyby Stany Zjednoczone nie wydały kolosalnych środków na wojnę w Europie (w szczególności na Lend-Lease dla ZSRR),

to zarówno bomby atomowe, jak i bombowce strategiczne mogłyby pojawić się wcześniej i w większej liczbie.

Można nawet spróbować oszacować te liczby. W ramach dostaw Lend-Lease Związek Radziecki otrzymał wszelkiego rodzaju towary na kwotę 9,5 miliarda dolarów. I nie zapominajmy, że owych 17 milionów ton towarów nie przetransportowano drogą powietrzną, należało je załadować do ładowni statku towarowego i przewieźć przez wiele tysięcy mil morskich. Aby sprostać temu zadaniu, Amerykanie uruchomili i z sukcesem zrealizowali wielki program budowy statków typu Liberty. Wyprodukowano 2750 ogromnych statków oceanicznych (długość 135 metrów, wyporność 14 tysięcy ton, ładowność 9 tysięcy ton)! Wydano na to około 1,9 miliarda dolarów – oczywiście nie licząc paliwa, które zużyła ta gigantyczna flota oraz kosztów eskortowania konwojów przez okręty i samoloty wojskowe.

A cały projekt „Manhattan” (stworzenie bomby atomowej, w tym budowa gigantycznych fabryk do produkcji materiałów rozszczepialnych) kosztował „tylko” 2 miliardy dolarów. Tysiąc bombowców B-29 kosztowało skarb państwa 0,8 miliarda dolarów. Zwykła arytmetyka pokazuje, że bez Lend-Lease dla ZSRR Amerykanie mogliby wydać na Manhattan pięć razy więcej, a nawet zbudować 3,5 tysiąca superfortec na dodatek do 3 tysięcy już istniejących. Przy całej umowności tego obliczenia pozwala ono ocenić skalę zjawiska. A przecież udział USA w europejskiej wojnie nie ograniczył się tylko do Lend-Lease!

Na niebie i na morzu

Hitler nie mógł (a dokładniej mówiąc: w praktyce przekonał się, że nie potrafi) przerzucić armii inwazyjnej na Wyspy Brytyjskie, więc próbował zdusić opór krnąbrnych Anglików w pętli blokady morskiej. Alianci zawzięcie, a potem skutecznie, przeciwstawiali się temu planowi. Na wodach Atlantyku, w morskich głębinach i wysoko na niebie nad oceanem toczyła się wielka wojna. Wielka nie pod względem sił bezpośrednio zaangażowanych w walki morskie, ale ze względu na koszty zaangażowanych zasobów materialnych i intelektualnych, a kosztów tych nie pomniejsza

fakt, że obywatel radziecki/rosyjski niewiele wie o tym elemencie wojny światowej.

Niemcy przystąpiły do wojny z 57 okrętami podwodnymi, a prawie wszystkie (50 z 57) były okrętami „walki przybrzeżnej” o wyporności 250 ton (druga seria). Jak na wielką wojnę oceaniczną z imperium brytyjskim to było za mało, więc w błyskawicznym tempie rozpoczęto budowę nowych okrętów. W 1942 roku co miesiąc (!) stocznie produkowały od 18 do 26 okrętów podwodnych i były to okręty siódmej i dziewiątej serii o wyporności powierzchniowej odpowiednio 700 i 1100 ton.

Teraz policzmy. W pierwszym półroczu 1942 roku (Kercz, Rzew, Charków i początek ofensywy na Stalingrad) w Niemczech (wliczając fabryki okupowanych krajów) produkowano średnio 360 czołgów miesięcznie, z czego większość stanowiły PzKpfw III o masie 20 ton. W sumie około 43 200 ton masy całkowitej w pół roku. 123 okręty podwodne, zbudowane w ciągu tych samych 6 miesięcy, miały łączną masę 86 100 ton (w praktyce, po uwzględnieniu ciężkich dziewiątek, jeszcze więcej). Oznacza to, że pod względem łącznej masy, czyli zużytego metalu, budowa floty podwodnej pochłonęła więcej zasobów niż produkcja czołgów. Jednak tonaż nie jest równa. Z całym szacunkiem dla pancerniaków okręt podwodny pod względem „wypełnienia” złożonymi systemami (hydroakustyka, autonomiczna nawigacja, dalekosiężna łączność radiowa, system podtrzymywania życia załogi, optyka, hydraulika, pneumatyka, akumulatory itd.) znacznie przewyższa czołg.

W pierwszej połowie 1942 roku Niemcy tracili po 3–4 okręty podwodne miesięcznie, w drugim półroczu – już 11, ale produkcja pokrywała straty i liczba okrętów podwodnych Dönitz na oceanie stale rosła. W ciągu roku zatopiły 1160 statków o łącznej wyporności 6,27 miliona ton. 3 jednostki oceaniczne dziennie. Ale to średnio, a na przykład w marcu zatopiono 273 statki – 9 dziennie. Dla porównania przypomnę, że cała flota handlowa ZSRR tuż przed wojną „ważyła” 1,8 miliona ton, w 1955 roku – 3 miliony ton, w 1960 roku – 4,8 miliona ton, zatem nie byłibyśmy w stanie stracić 6 milionów tonażu, nawet gdybyśmy chcieli.

Przełom nastąpił w maju 1943 roku, gdy alianci posłali na dno 41 niemieckich okrętów. W odpowiedzi Niemcy rozpoczęły program budowy ogromnych (1600 ton wyporności) okrętów oceanicznych dwudziestej pierwszej serii, które miały być produkowane w tempie 33 sztuk miesięcz-

nie! Ograniczenia artykułu nie pozwalają nam bardziej szczegółowo opowiedzieć o tym arcydziele myśli inżynierskiej, dlatego zaprezentuję tylko krótki rys historyczny. Po sześciu latach studiowania gotowego modelu radziecki przemysł stoczniowy rozpoczął w 1951 roku produkcję okrętów podwodnych „projektu 613”, łudząco podobnych do niemieckich okrętów dwudziestej pierwszej serii. W ciągu siedmiu lat pokoju, bez gradu spadających na hale fabryczne bomb, zbudowano 215 takich statków, co czyni z nich najbardziej masowe okręty w historii radzieckiej floty podwodnej.

Od lipca 1943 roku (oficjalny początek programu) do maja 1945 roku zbudowano 118 okrętów podwodnych dwudziestej pierwszej serii. Owszem, nie wszystkie zostały doprowadzone do pełnej gotowości bojowej, wiele zostało zniszczonych w dokach wskutek ataków lotnictwa alianckiego, ale w tym przypadku nie interesuje nas użycie bojowe, a KOSZTY materiałów, produkcji, zasobów ludzkich Niemiec, poniesione przy prowadzeniu wojny na oceanie. Między 1939 i 1945 rokiem zwodowano 1113 okrętów podwodnych o łącznym tonażu 960 tysięcy ton. Przy najbardziej prymitywnej metodzie liczenia, według masy, odpowiada to 40 tysiącom średnich czołgów typu PzKpfw III lub PzKpfw IV. Czy to dużo? W ciągu całej wojny wyprodukowano 8,3 tysiąca PzKpfw IV i 5,8 tysięcy PzKpfw III oraz 13,8 tysięcy dział samobieżnych na ich podwoziu, łącznie około 28 tysięcy sztuk pojazdów opancerzonych średniej klasy.

Okręty podwodne były dla Niemców głównym, ale nie jedynym narzędziem wojny na morzu. W 1942 roku (najtrudniejszym dla zachodnich aliantów) oprócz 1160 okrętów, które padły ofiarą okrętów podwodnych, 142 okręty stracono w wyniku działań niemieckiego lotnictwa, 85 zatopiły okręty nawodne, 34 zostały wysadzone przez miny, 137 zaginęło w niewyjaśnionych okolicznościach. Ogółem przez wszystkie lata wojny okręty podwodne zatopiły 56% wszystkich alianckich statków handlowych (2882 z 5150), co stanowiło 67% ich całkowitego tonażu (14,5 z 21,6 miliona ton). Jak widać, inne rodzaje wojsk (przede wszystkim lotnictwo) wniosły własny znaczący wkład, a z kolei tak skuteczne działania okrętów podwodnych byłyby niemożliwe bez stałego rozpoznania powietrznego prowadzonego nad ogromnym oceanicznym teatrem działań wojennych.

To wszystko oznacza nowe kolosalne wydatki: tysiące samolotów, setki tysięcy ton benzyny lotniczej, różne rodzaje torped, miny, lokalizatory, kierowane radiem szybujące bomby Fritz X, kierowane pociski raketowe Hs

293 (te dwa ostatnie typy broni wyprzedziły czas o kilkanaście lat, ponad 500 sztuk użyto w działaniach bojowych, ale wyprodukowano ich trzy razy więcej!). To właśnie lotnictwu morskemu przekazano większość wyprodukowanych bombowców nowych typów – dwusilnikowe Do 217 dalekiego zasięgu i gigantyczny trzydziestotonowy Ural-bomber He 177.

50 Hiroszima miesięcznie

Jeśli wojna na morzu wykrwawiła niemiecką gospodarkę w niejako metaforycznym sensie, to wojna w powietrzu wypaliła Niemcy w bezpośrednim znaczeniu tych słów. Celami zmasowanych bombardowań do końca 1944 roku stały się cztery piąte niemieckich miast liczących od 100 tysięcy i więcej mieszkańców; w 70 miastach zniszczono co najmniej połowę budynków mieszkalnych, bez dachu nad głową zostało 7,5 miliona osób. Średnio od 12 do 15 milionów Niemców każdej nocy budziło się z powodu wycia syren nalotowych, chwytano czym prędzej dzieci i uciekało do schronów bombowych – co miało zrozumiałe konsekwencje dla ich produktywności następnego dnia. Najważniejszym skutkiem bombardowań była śmierć 593 tysięcy obywateli (dane Biura Statystycznego RFN z 1962 roku), liczba rannych wymagających hospitalizacji wyniosła prawie milion.

Radykalną decyzję o rozpoczęciu bombardowań dywanowych niemieckich miast podjęto 14 lutego 1942 roku i w nocy z 28 na 29 marca stara Lubeka zniknęła w dymie i płomieniach. Zginęło i zostało rannych 1100 osób, 1044 budynków całkowicie zniszczono. Taki był początek, odległa błyskawica zbliżającej się burzy. Pierwszy nalot z udziałem tysiąca bombowców (Göring nie uwierzył w doniesienie i w furii krzyczał przez telefon na „panikarzy”) nastąpił w nocy z 30 na 31 maja 1942 roku. Przez półtorej godziny na Kolonię spadło 1455 ton bomb, które spowodowały 1700 pożarów. Ale w tym czasie Brytyjczycy mieli niewiele (doświadczenia, ciężkich bombowców, nocnych systemów radionawigacyjnych) środków, myśliwców osłonowych nie mieli w ogóle i rok skończył się skromnym wynikiem 50 kiloton ładunków bombowych.

Prawdziwe piekło zaczęło się w Niemczech w następnym, 1943 roku. Brytyjczycy rzucili 157 kiloton, amerykańskie latające fortece kolejne 44

kilotony. Punktem zwrotnym stało się zniszczenie Hamburga podczas trwającej kilka dni (od 25 lipca do 3 sierpnia) operacji o kryptonimie „Gomora” („Pan spuścił na Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia”). Podczas czterech głównych nalotów ciężkie bombowce wykonały 3095 lotów i zrzuciły na miasto 9 kiloton różnego rodzaju „ładunków”, w tym 1,5 miliona (!) małych bomb zapalających. Po drugim nalocie w nocy na 28 lipca w mieście zaczęła się burza ogniowa, w której płomieniach spaliło się doszczętnie 16 tysięcy wielopiętrowych budynków na obszarze 21 km² – czterokrotność strefy zniszczeń w Hiroszimie. Poważnie uszkodzono 300 tysięcy budynków mieszkalnych i 580 przemysłowych, zburzono 12 mostów, w porcie zatopiono statki o łącznym tonażu 180 tysięcy ton. Większość miasta zmieniła się w 40 milionów ton gruzu.

Wśród ruin znaleziono ciała 32 tysięcy zabitych – ludzi, z których zachowały się dające się policzyć szczątki; zdaniem historyków łącznie w Hamburgu zginęło od 40 do 50 tysięcy osób. Nie chcąc urazić uczuć patriotycznych, zauważę, że właśnie ta tragedia, a nie walki na jakimś nieznanym łuku kurskim tysiące kilometrów od Niemiec, wstrząsnęła wówczas narodem niemieckim. „Los Hamburga przeraził mnie – pisze we wspomnieniach były minister uzbrojenia Rzeszy Speer. – 29 lipca na spotkaniu w Centralnym Biurze Planowania powiedziałem: «Jeżeli naloty będą kontynuowane na taką skalę, za trzy miesiące pozbedziemy się wszystkich problemów». Speer się pomylił – agonია „tysiącletniej Rzeszy” trwała jeszcze prawie dwa lata.

W ciągu 1944 roku na Niemcy spadło 915 kiloton bomb. W niektórych miesiącach „tonaż” osiągał 110 kiloton. Dla właściwej oceny tych liczb warto przytoczyć dane z dokumentu opracowanego przez amerykańskich ekspertów, którzy badali po zakończeniu wojny skutki bombardowania atomowego Hiroszimy. Skrupulatnie wówczas podliczyli, że do osiągnięcia takiego samego niszczycielskiego efektu (oczywiście pomijając skażenie radioaktywne) należałoby zrzucić 2,1 kiloton amunicji konwencjonalnej (400 ton bomb burzących, 500 ton odłamkowych i 1200 ton zapalających).

Pod koniec 1944 roku niemiecka infrastruktura przemysłowa i transportowa została całkowicie zniszczona, ale zmasowane bombardowania trwały aż do ostatnich dni wojny. Przez cztery miesiące 1945 roku na Niemcy spadło ponad 400 kiloton bomb. I chociaż nie wszystkie spadły na miasta (lot-

nictwo alianckie wspierało ofensywę wojsk lądowych potężnymi uderzeniami, które pochłoneły kilotony bomb i setki tysięcy lotów), to nawet statystyki spisane na papierze napawają przerażeniem. 21 kiloton zrzucono (łącznie, przez całą wojnę) na Stuttgart, 22 na Dortmund, 35 na Kolonię, 36 na Essen. Berlin w czasie wojny był bombardowany 363 razy, na miasto spadło 45,5 kiloton bomb, strefa całkowitego zniszczenia wyniosła 26 km²; oficjalnie odnotowano 14 186 zabitych, w rzeczywistości ich liczba jest szacowana na 50 tysięcy.

W południowo-zachodniej części Niemiec, niedaleko Baden-Baden, tak ukochanego przez rosyjskich właścicieli ziemskich, w malowniczej dolinie leży niewielkie (obecnie liczące 120 tysięcy mieszkańców) miasto Pforzheim. Nad miastem wznosi się porośnięta lasem góra. Jest to góra stworzona przez człowieka. W nocy na 23 lutego 1945 roku Pforzheim zmieniło się w stertę pokruszonych cegieł. Zginęło od 9 do 17 tysięcy osób. Ocaleni mieszkańcy zebrali ocalone tory tramwajowe, znaleźli kilka ocalonych tramwajów i wywieźli nimi resztki swojego miasta. Powstała góra...

Oczywiście Niemcy próbowali się bronić. Na różne, ale zawsze niezmiennie kosztowne sposoby. Począwszy od najbardziej „prostego”, od pasywnej obrony ludności.

Jak już zauważył spostrzegawczy czytelnik, liczba zabitych jest stale mniejsza (czasami o rząd wielkości) od liczby zniszczonych budynków. Taki wynik nie pojawił się sam, stoi za nim ogrom pracy i ogromne zużycie zasobów materialnych: system wczesnego ostrzegania, schrony przeciwlotnicze, straż pożarna, zapasowe źródła wody i prądu, służba medyczna... Następnie, gdy się okazało, że podczas zmasowanych ataków bombowych podziemne schrony zmieniają się w zbiorowe mogiły, w dużych niemieckich miastach zaczęto budować tzw. flakturmy. Były to wielkie konstrukcje (do 45 metrów wysokości), ogromne kopce z żelbetu, w których miało się schronić 8 tysięcy osób, a w rzeczywistości zdarzało się, że nawet 18 tysięcy; trzymetrowy strop wykonany z wyjątkowo mocnego betonu wytrzymywał bezpośrednie trafienie ciężkiej bomby lotniczej, na dachu instalowano działa przeciwlotnicze, lokalizatory i reflektory. Ile materiałów, energii, ludzkiej pracy pochłonęła ta gigantyczna budowla?

W każdym razie znacznie mniej wydawano na aktywną obronę. Speer pisze w pamiętnikach: „Jedna trzecia przedsiębiorstw optycznych zajmo-

wała się produkcją celowników dla artylerii przeciwlotniczej. Połowa fabryk przemysłu elektronicznego produkowała radary i sprzęt do łączności do obrony przed bombardowaniami. Na terenie Rzeszy i na zachodnich teatrach działań wojennych nieba strzegło 10 tysięcy dział przeciwlotniczych. Moglibyśmy te działa wykorzystać w Rosji przeciwko czołgom i innym celom naziemnym i gdyby nie nowy front, front powietrzny nad Niemcami, podwoilibyśmy liczebność broni przeciwpancernej”.

Aby ochronić niebo, działa przeciwlotnicze muszą strzelać. Często i dużo, bardzo drogimi pociskami przeciwlotniczymi. Strzał z działa przeciwlotniczego kalibru 88 mm kosztował 80 marek niemieckich – to koszt czterech pistoletów Parabellum z zapasowym magazynkiem, trzy strzały kosztowały tyle co jeden karabin maszynowy. Według statystyk na jeden zestrzelony bombowiec Niemcy średnio zużywali 3343 pociski kalibru 88 mm dla dział przeciwlotniczych, czyli 267 tysięcy marek (nie licząc amortyzacji i kosztu działa, którego zasoby nie są przecież nieograniczone); za takie pieniądze można było „kupić” dwa myśliwce Messerschmitt Bf 109G wraz ze średnim czołgiem PzKpfw IV na dokładkę i wysłać je na front wschodni.

Ponieważ tradycyjne systemy obrony powietrznej nie były w stanie powstrzymać ofensywy powietrznej aliantów, Niemcy przyjmowali do uzbrojenia i wykorzystywali w walce coraz bardziej skomplikowany i „egzotyczny” sprzęt wojskowy. Zwykle wyliczenie wszystkiego, co zdołali wymyślić i przetestować ginący pod bombami Niemcy, zajęłoby całą stronę. Radary naziemne, radary pokładowe, automatyczne celowniki przeciwlotnicze sprzężone z radarem, urządzenia zagłuszające radary bombowców wroga, czterotonowy raketowy kierowany radiowo pocisk lotniczy Wasserfall, niekierowane lotnicze pociski raketowe odpalane salwami do bombowców, myśliwiec o napędzie raketowym Me 163, dwusilnikowy myśliwiec Messerschmitt Me 262 o napędzie odrzutowym, startujący pionowo raketowy myśliwiec (rodzaj „kierowanego pocisku przeciwlotniczego”) Ba 349, myśliwiec odrzutowy He 162...

Cały wymieniony powyżej sprzęt rzeczywiście latał, strzelał, emitował fale. Wyprodukowano 1433 odrzutowych Me 262, zbudowano ponad 400, raketowych Me 163. Ogromne zasoby pochłonęła realizacja pomysłu Hitlera o broni odwetowej, która mogłaby zmienić bieg wojny. Niemieccy inżynierowie stworzyli pierwszą na świecie latającą bombę Fi 103 (znaną

jako V-1); bezpilotowy samolot z odrzutowym silnikiem pulsacyjnym przy masie startowej 2160 kilogramów mógł pokonać 250 kilometrów z obciążeniem bojowym 800 kilogramów materiałów wybuchowych (po wojnie dysponujące egzemplarzem biuro konstrukcyjne Czełomieja przez dziesięć lat bezskutecznie męczyło się z wykonaniem kopii). Uruchomiono masową produkcję V-1 i stworzono około 8 tysięcy tych pocisków.

Bezprecedensowym osiągnięciem było uruchomienie seryjnej produkcji pocisku balistycznego średniego zasięgu V-2. Żaden kraj na świecie nie miał czegoś takiego nawet w rysunkach. Ogromna konstrukcja o wysokości czterech pięter rozpędzana silnikiem raketowym na paliwo ciekłe (jak najbardziej „rzeczywistym” silnikiem, turbosprężarką, z wykorzystaniem ciekłego tlenu jako środka utleniającego, zasysaniem paliwa przez podwójne powłoki komory spalania, wewnątrz której płonął piekielny ogień o temperaturze 2700 stopni) do prędkości ponaddźwiękowej 1700 m/s, rakietą ponad atmosferą (wysokość trajektorii 90 kilometrów) przenosiła tonę materiałów wybuchowych na odległość 320 kilometrów. Przechwycenie V-2 przez ówczesne systemy obrony przeciwlotniczej było absolutnie niemożliwe. Pomimo ogromnych kosztów (120 tysięcy marek, przy wykorzystaniu darmowej pracy więźniów), raketę produkowano w tempie 600–700 sztuk miesięcznie, a łączna produkcja wyniosła 5200 sztuk!

A teraz wyobraźcie sobie, że nic z tego się nie wydarzyło.

Alternatywna wojna

„Historia nie zna trybu warunkowego”. Ciekawy przykład rażącej głupoty, która poprzez wielokrotne powtarzanie zyskała status niezmiennej prawdy. Dla trybu warunkowego nie ma miejsca w tablicy chronologicznej; rzeczywistość dość dziwnie wygląda zdanie: „Król Ludwik IV mógłby się urodzić w ... roku”. Ale historiografia jako rodzaj wiedzy humanistycznej (starannie unikam określenia „nauka”) jest znacznie rozleglejsza i głębsza niż zestawienie tablic chronologicznych. Aby jednak zrozumieć znaczenie wydarzeń historycznych, ich przyczyn i konsekwencji przeprowadzenie eksperymentu myślowego, czyli rozważenie możliwych alternatywnych

scenariuszy, jest tak samo przydatne jak przeprowadzenie technicznego eksperymentu z fizyki lub chemii.

Warunki eksperymentu są więc następujące: w pierwszych dwóch latach wojny światowej (od września 1939 roku do jesieni 1942 roku) wszystko dzieje się tak jak w prawdziwej historii; uczestnicy wojny, ich zasoby, motywacja i zdolność do osiągnięcia zamierzonych celów odpowiadają rzeczywistym. Potem, gdzieś na przełomie 1942 i 1943 roku, przekonawszy się w praktyce, że blitzkrieg Hitlera na froncie wschodnim się nie powiódł, ale Armia Czerwona, wyparta na tysiąc kilometrów od granicy, pod każdym względem jest daleka od szybkiego zwycięstwa, zachodni sojusznicy radykalnie zmieniają strategię działań. Ustają bombardowania Niemiec, kończą się dostawy Lend-Lease do ZSRR, w Afryce Północnej alianci ograniczają działania do obrony. Hitler zrozumiał aluzję i wojna na Atlantyku dobiega końca na mocy wspólnej, niewypowiedzianej decyzji.

Od tego momentu wszystkie zasoby Niemiec są skierowane na zdobycie zwycięstwa jedynie na froncie wschodnim. Ogień i siarka nie leją się z nieba na niemiecką ziemię. Na niebie świeci słońce. Niemiecki robotnik idzie do fabryki. Wyspał się, zjadł obfite śniadanie, jego dzieci żyją i nie musi się martwić, czy dożyją jutra, jego żona nie zdiera do krwi rąk przy rozbiórce gruzów. A kiedy głowa jest wolna od zmartwień, to i pracuje się lepiej, więc wydajność rośnie, a odsetek niedoborów spada. Ale tego czynnika nie będziemy brać pod uwagę, zostawimy go na później.

Dowództwo Luftwaffe nie utrzymuje dwóch trzecich myśliwców na Zachodzie (w tym systemu obrony powietrznej Rzeszy), bo tam nie ma przeciwnika; te myśliwce zostają przeniesione na front wschodni i w ten sposób liczebność niemieckich myśliwców na niebie nad Rosją się potraja. Bombowce dalekiego zasięgu, w prawdziwej historii zajęte rozpoznaniem nad Atlantykiem, udają się na front wschodni. Bombowce Ju 88 oraz dwusilnikowe myśliwce dalekiego zasięgu Me 110, które w prawdziwej historii wyposażono w radary i których używano jako myśliwców nocnych, kierują się na front wschodni, gdzie będą wykorzystane zgodnie ze swoim przeznaczeniem. Problemy techniczne Ural-bombera He 177 zostały pomyślnie rozwiązane (przez inżynierów, którzy w prawdziwej historii wymyślili te wszystkie wunderwaffe z napędem rakietowym) i setki tych bombowców (nawet w prawdziwej historii wyprodukowano ich prawie tysiąc) zajęły się tym, do czego zostały stworzone.

Jeżeli to okaże się niewystarczające, to niemieckie zakłady lotnicze – których nikt nie bombarduje, których nie trzeba demontować i ukrywać w podziemnych schronach, które nie marnują czasu i duraluminium na produkcję skomplikowanych i kosztownych „egzotyków” – mogą dodatkowo wyprodukować wiele zwykłych samolotów bojowych, ale najprawdopodobniej front wschodni nie będzie ich potrzebował. I nie tylko dlatego, że wyraźnie spadła tam liczba samolotów radzieckich (brakuje 18 tysięcy samolotów bojowych otrzymanych z Anglii i USA, brakuje aluminium i wysoko wytrzymałej walcowanej stali dostarczonej w ramach Lend-Lease do produkcji).

Samoloty nie mogą latać bez paliwa, trzeba je tankować benzyną. A z benzyną w radzieckich siłach powietrznych był problem. Nawet w prawdziwej historii, łącznie z amerykańskimi dostawami, które zapewniały dwie trzecie ogółu zasobów, bardzo ich brakowało, a co się stanie teraz, bez Lend-Lease? W 1941 roku radzieckie rafinerie produkowały średnio 608 ton benzyny wysokooktanowej dziennie (B-78 i B-74), w 1942 roku – 943 tony dziennie. Niemcy odpowiednio 2436 i 3800 ton dziennie. Cztery razy więcej – ale trzeba było go podzielić na wszystkie fronty.

W kolejnym, 1943 roku Niemcy produkują średnio 4890 ton dziennie, a na początku 1944 roku, przed zmasowanymi nalotami aliantów na fabryki paliw syntetycznych, osiągnęły poziom 5500–6000 ton dziennie, a fabryki radzieckie wytwarzają od 1150 do 1450 ton dziennie. Niemcy mają teraz pięć razy więcej benzyny i zgodnie z warunkami „eksperymentu” wszystko to trafia na front wschodni! Co więcej, w prawdziwej historii połowę „własnej” produkcji benzyny lotniczej (240 tysięcy ton rocznie, czyli 660 ton dziennie) ZSRR zapewniały cztery kompletne fabryki amerykańskie otrzymane w 1943 roku. I nie zapomnijmy, że 6300 ton tetraetylołowiu otrzymanego w ramach Lend-Lease (zgodnie z recepturą ten środek przeciwstukowy był dodawany w ilości 4 cm³ na litr) arytmetycznie całkowicie pokrywa, a nawet przekracza zapotrzebowanie radzieckiej produkcji wysokooktanowej benzyny lotniczej. Jest mało prawdopodobne, żeby tę silnie toksyczną substancję w takich ilościach transportowano przez morza i oceany, gdyby radzieckie zakłady produkowały tetraetylołów w wymaganej ilości.

Wiemy, jaki był stosunek skuteczności działań radzieckich sił powietrznych do ich przeciwnika w prawdziwej historii. Gdy Niemcy mogą zużyć cztery czy pięć razy więcej benzyny (co zapewnia więcej lotów bojowych i lepsze wyszkolenie lotników), gdy liczba samolotów Luftwaffe rośnie kilkakrotnie w porównaniu z wydarzeniami z prawdziwej historii, wynik może być tylko jeden – absolutna dominacja niemieckiego lotnictwa. Dokładnie mówiąc, już teraz możemy zakończyć nasz eksperyment myślowy, ponieważ ekstrapolacja rzeczywistych wydarzeń na wirtualny schemat nie daje podstaw do wątpliwości co do tego, co się stanie z Armią Czerwoną przy bezwzględnej dominacji nieprzyjaciela w powietrzu, ale nie będziemy się ociągać i przeniesiemy się z nieba na morze.

Nie mówię o jakichś abstrakcyjnych okrętach podwodnych nie wiadomo gdzie, a o pojawieniu się niemieckiej floty nawodnej na Morzu Czarnym i tu już nie jest do śmiechu. Mimo ciężkich strat poniesionych podczas walk na morzu z Brytyjczykami Niemcy na początku 1943 roku dysponowali dwoma sprawnymi pancernikami (*Tirpitz* i *Scharnhorst*), trzema ciężkimi krążownikami (*Deutschland*, *Admiral Scheer*, *Prinz Eugen*), dwoma starymi pancernikami (*Schlesien* i *Schleswig-Holstein*), trzema krążownikami lekkimi (*Emden*, *Leipzig*, *Nürnberg*) oraz dziesiątkami niszczycieli.

W prawdziwej historii Niemcy za pomocą lotnictwa i tuzina kutrów torpedowych (na Morzu Czarnym Kriegsmarine nie miała ani jednego okrętu nawodnego klasy niszczycieli albo wyższej) zneutralizowali radziecką Flotę Czarnomorską, a następnie zapędzili ją do narożnika, do rejonu Poti–Batumi. Po czym Niemcy i Rumuni praktycznie zmienili Morze Czarne w swoje „wewnętrzne jezioro”, w którym robili wszystko, na co im przyszła ochota: bez przeszkód zaopatrywali tamańskie zgrupowanie Wehrmachtu, następnie ewakuowali je (200 tysięcy żołnierzy, 15 tysięcy samochodów, 1200 sztuk artylerii) na Krym, a wiosną 1944 roku drogą wodną przerzucono z Krymu do Rumunii 130 tysięcy żołnierzy, tracąc podczas 1293 rejsów tylko 34 okręty (3,4% ogółu rejsów).

Nie ma podstaw, aby wątpić, że pojawienie się na Morzu Czarnym dużych sił nawodnych Niemiec zakończyłoby się drugim w ciągu ćwierć wieku zatopieniem Floty Czarnomorskiej i lądowaniem niemieckiego desantu. Z Batumi do Baku jest 700 kilometrów w linii prostej i po zbudowaniu na zdobytym przyczółku pasa startowego dla bombowców koniec funkcjonowania rafinerii w Baku nastąpiłby po kilku dniach (maksymalnie

– tygodniach). Ci, którzy mają wątpliwości, mogą (na szczęście teraz już wiele się o tym pisze) poznać historię prawdziwych nalotów Luftwaffe na Jarosław, Gorki i Saratów (czerwiec 1943 roku) – jedna noc, jeden nalot, jedna fabryka; i to mimo bardzo małej (w porównaniu z działaniami lotnictwa alianckiego na niemieckim niebie) liczby samolotów (od 100 do 150) i całkowitego braku ciężkich czterosilnikowych bombowców.

Dla gospodarki radzieckiej utrata ropy z Baku oznaczała katastrofę na skalę strategiczną. W tym czasie nie było jeszcze ropy z Syberii Zachodniej, a tak zwane „drugie Baku” – złoża Tatarii, Baszkirii, obwodu kujbyszewskiego – dawały nie więcej niż 1,5–2 milionów ton ropy rocznie, czyli około 5–7% przedwojennego wydobycia ropy w ZSRR. Po tym nasz eksperyment myślowy zupełnie traci sens, ale nie bądźmy leniwi i prześledźmy wirtualną sytuację głównej siły uderzeniowej wojsk lądowych połowy XX wieku – wojsk pancernych.

Działa zamiast dział

Speer pisze w pamiętnikach, że niemieckiego „nieba strzegło 10 tysięcy dział przeciwlotniczych”. Pamięć byłego ministra nie zawiodła: według stanu na sierpień 1944 roku na uzbrojeniu znajdowało się 10,9 tysięcy dział przeciwlotniczych kalibru 88 mm i 2 tysiące dwukrotnie cięższych dział przeciwlotniczych kalibru 105 mm (a poza tym wiele tysięcy systemów małego kalibru i 503 wielkie działa przeciwlotnicze kalibru 128 mm). Ale z jego następnym zdaniem („i gdyby nie (...) front powietrzny nad Niemcami, podwoilibyśmy liczebność broni przeciwpancernej”) muszę się nie zgodzić. Ta liczebność wzrosłaby o wiele więcej niż podwójnie!

W prawdziwej historii Niemcy wyprodukowali w 1942–1943 roku 10,9 tysięcy dział przeciwpancernych PaK 40 kalibru 75 mm. Każde ważyło 1,5 tony i kosztowało 12 tysięcy marek. Działo przeciwlotnicze jest znacznie bardziej skomplikowane, cięższe i droższe. Działo kalibru 88 mm ważyło 7,2 tony i kosztowało 33 600 marek. W latach 1942–1943 wyprodukowano 7,3 tysiąca takich dział. Oznacza to, że przy porównywalnych kosztach metalu i robocizny można było uzyskać dodatkowe 20–25 tysięcy dział przeciwpancernych PaK 40. Dodatkowo na 10–12 tysięcy PaK 40 można

przełożyć (pod względem masy) 2 tysiące dział przeciwlotniczych 105 mm, które w prawdziwej historii wyprodukowano w latach 1942–1943.

Działo przeciwpancerne jest znacznie prostsze w produkcji niż działo przeciwlotnicze. Najbardziej „wąskim” (w każdym tego słowa znaczeniu) miejscem przy produkowaniu artylerii jest drążenie wewnętrznego otworu lufy, a wraz z wydłużeniem lufy lawinowo piętrzą się problemy technologiczne. Działa przeciwlotnicze mają najdłuższe lufy; u działa przeciwlotniczego 88 mm długość lufy wynosi 56 kalibrów, u działa 105 mm jeszcze więcej – 63 kalibry, a PaK 40 ma lufę o długości „tylko” 46 kalibrów. Cała ta obfitość liczb sprowadza się do tego, że fabryka, która może wytworzyć długą lufę działa przeciwlotniczego, bez problemu przestawi się na produkcję dział przeciwpancernych. Te same założenia i mniej więcej takie same proporcje sprawdzają się w przypadku amunicji. Pocisk przeciwlotniczy jest najdroższy i najbardziej złożony – skomplikowany detonator z drobnymi, precyzyjnymi elementami oraz ciężki i potężny ładunek wybuchowy; wykonanie pocisku przeciwpancernego również ma swoje tajemnice i niuanse, ale generalnie jest znacznie tańsze i prostsze.

A teraz przechodzimy od techniki do taktyki. Pojawienie się na polu walki działa przeciwpancernego PaK 40 kalibru 75 mm zasadniczo zmieniło stosunek sił „tarczy i miecza”. Latem 1941 roku podstawowe działo przeciwpancerne 37 mm pozostawiało na przednim pancerzu czołgu T-34 tylko nieznaczne wgniecenia. Latem 1943 roku, po tym, jak do wojsk masowo zaczęły trafiać PaK 40, ze 100 trafień pocisku w czołg 88 przebiło pancerz. Zwycięską wiosną 1945 roku, podczas operacji wiślańsko-odrzańskiej, ta liczba wynosiła 98. Trafił, przedziurawił, zabił (trzycałowy pocisk eksplodujący wewnątrz zamkniętej przestrzeni czołgu nie dawał załodze wielkich szans na przeżycie). Chociaż brzmi to absurdalnie, pod koniec wojny nawet zmodyfikowane i znacznie ulepszone T-34/85 stały się „czołgami z pancerzem chroniącym tylko przed zwykłym pociskiem”.

W omawianym wirtualnym schemacie dzieje się to wcześniej i na znacznie większą skalę, dziesiątki tysięcy „dodanych do rzeczywistości” dział przeciwpancernych kalibru 75 mm przywracają na polu walki sytuację z 1941 roku, gdy niemiecka artyleria bez większego wysiłku niszczyła tabuny lekkich BT i T-26. Nie zapominajmy też o Faustpatrone, który mógłby znacznie wcześniej pojawić się w armii, gdyby Niemcy nie zuży-

wali zasobów (w tym przypadku – intelektualnych i przemysłowych) na budowę gigantycznych pocisków rakietowych do ostrzału Londynu.

Od dział przeciwpancernych przechodzimy do czołgów. Jak już wspominaliśmy, w czasie wojny Niemcy wyprodukowały 1113 okrętów podwodnych o łącznym tonażu 960 tysięcy ton, co pod względem masy zużytego metalu odpowiada 40 tysiącom średnich czołgów lub 21 tysiącom PzKpfw V Panther (w prawdziwej historii wyprodukowano ich 1,8 tysiąca w 1943 roku i 4 tysiące w 1944 roku, a liczby te obejmują również wszystkie wyprodukowane na podwoziu pantery działa samobieżne). Innymi słowy, ograniczenie produkcji okrętów podwodnych otwiera możliwość do wielokrotnego zwiększenia liczby tych najlepszych niemieckich czołgów, pod każdym względem przewyższających T-34/76. Jeżeli ktoś wątpi w możliwość produkowania czołgów w stocznjach, to wszelkie wątpliwości rozwieją dwa słowa – Krasnoje Sormowo.

Ta fabryka, zbudowana jeszcze przed rewolucją w Niżnym Nowogrodzie, stała się jednym z głównych przedsiębiorstw przemysłu stocznioowego ZSRR. Przed wojną powstało tam między innymi 60 okrętów podwodnych, a nawet w czasie wojny zdołano zbudować jeszcze 27, co w sumie daje jedną trzecią wszystkich okrętów podwodnych radzieckiej marynarki. Po wojnie to właśnie Krasnoje Sormowo budowało słynne okręty „613 projektu” (radziecka wersja niemieckiej dwudziestej pierwszej serii, która stała się najbardziej masowym okrętem podwodnym w historii ZSRR). Ale w czasie wojny fabryka szybko opanowała produkcję czołgów i pierwsze „trzydziestkiczwórki” trafiły na front już w październiku 1941 roku.

Wróćmy jednak do Niemiec. W prawdziwej historii wszystkie niemieckie czołgi od pierwszego do ostatniego dnia tankowano łatwopalną i wybuchową benzyną. I nie dlatego, że w ojczyźnie inżyniera Diesla nie potrafili zbudować silnika dla czołgów na olej napędowy – potrafili i mogli, a zaprezentowany przez Daimler-Benz prototyp pantery został wyposażony w silnik diesla. Problem jest inny: w prawdziwej historii wojna na morzu, a szczególnie utrzymanie wielkiej floty okrętów podwodnych, pochłoneła cały dostępny zasób oleju napędowego. Mimo że oleju napędowego produkowano niezmiennie więcej niż zwykłej benzyny (milion 285 tysięcy ton wobec 729 tysięcy ton w 1942 roku, milion 409 tysięcy ton wobec 824 tysięcy ton w 1943 roku).

Podsumowanie: liczba niemieckich czołgów co najmniej się podwaja (nie zapominajmy o przetrzuceniu jak najbardziej realnych dywizji pancernych z Francji i Afryki Północnej na front wschodni), a pantera staje się podstawowym pojazdem bojowym wśród czołgów, i to z silnikiem wysoko-
prężnym (w prawdziwej historii na przykład w czasie bitwy pod Kurskiem 200 panter i 147 tygrysów stanowiły tylko 15% niemieckich czołgów). Dywizjony artylerii przeciwpancernej dywizji piechoty Wehrmachtu już w połowie 1943 roku w pełni i z nawiązką zostały przebrojone w działa PaK 40 kalibru 75 mm, która bez większego problemu przebijała na wylot czołowy pancerz „trzydziestkiczwórki”. A co może przeciwstawić Armia Czerwona?

Nawet w prawdziwej historii (wyraz „nawet” odnosi się do faktu, że tygrysy i pantery były wówczas w użyciu w pojedynczych egzemplarzach) od wiosny 1943 roku jakościowa przewaga czołgu T-34 została całkowicie utracona w wyniku pojawienia się nowych modyfikacji podstawowego niemieckiego czołgu PzKpfw IV ze wzmocnionym do 80 milimetrów czołowym pancerzem i długą (48 kalibrów) lufą. Bezsilne w obliczu takiego pancerza okazało się najbardziej powszechne działo kalibru 45 mm radzieckiej obrony przeciwpancernej (nawet w nowej wersji M-42) i dywizyjne trzycałowe działo ZiS-3.

Nawiasem mówiąc, te fakty są jeszcze jedną (wśród wielu innych) ilustracją absurdalności tezy radzieckiej propagandowej „historiografii” o niezrównanej mądrości radzieckiego kierownictwa, które próbowało „opóźnić wybuch wojny”. Nie trzeba było „opóźniać”, a jak najszybciej rozpocząć wojnę z Hitlerem (o ile taka chęć rzeczywiście nawiedzała mieszkańców Kremla)! Żółw może wyprzedzić jelenia, jeżeli wystartuje miesiąc wcześniej, ale ta przewaga nie może trwać długo. Na początku II wojny światowej Armia Czerwona przewyższała Wehrmacht zarówno pod względem liczebności, jak i jakości wyposażenia technicznego wyłącznie dlatego, że totalna militaryzacja radzieckiej gospodarki rozpoczęła się 10 lat wcześniej niż w Niemczech...

W prawdziwej historii pewną równowagę na polu walki przywróciło uruchomienie seryjnej produkcji działa przeciwpancernego ZiS-2 kalibru 57 mm i przebrojenie „trzydziestkiczwórki” w potężną armatę kalibru 85 mm. Ale w naszej alternatywnej rzeczywistości nie będzie ani jednego, ani dru-

giego. Ani w 1943 roku, ani w 1944, ani nigdy. Dlaczego? Długa lufa i duża średnica łożyska wieży.

Działo przeciwpancerne kalibru 57 mm zostało opracowane, przetestowane i oficjalnie przyjęte na uzbrojenie jeszcze przed rozpoczęciem wojny. Trzeba było tylko uruchomić seryjną produkcję. Jedynym przedsiębiorstwem, które przynajmniej teoretycznie mogło wyprodukować tak długą lufę (73 kalibry), fabryka nr 8 w Podlipkach pod Moskwą, było zajęte produkcją dział przeciwlotniczych, a sytuacja na wojennym niebie nie pozwoliła na zmniejszenie tej produkcji. Niewielką partię wyprodukowano w zakładach „Barykady” w Stalingradzie, ale od sierpnia 1942 roku można było o nich zapomnieć. Gigant artyleryjski w Gorkim, zakłady nr 92, którym powierzono produkcję ZiS-2, realnie oceniając swoje możliwości, próbował przy użyciu posiadanych już maszyn wykonać coś w rodzaju substytutu ZiS-2 z lufą o długości 63,5 kalibra – ale to się nie udało.

A potem dotarły maszyny w ramach Lend-Lease i od drugiej połowy 1943 roku stworzone przez geniusz narodu radzieckiego tysiące dział ZiS-2 trafiły do wojska. Wiele, wiele lat później wymyślono uroczą historię o tym, że do 1943 roku nie uruchamiano seryjnej produkcji działa przeciwpancernego kalibru 57 mm ze względu na jego „zbyt dużą moc”. Problem polegał na tym, że działo przebijało niemieckie czołgi na wylot i „pocisk wylatywał, nie uszkodziwszy czołgu ani załogi”. Dosłownie tak pisano (i nadal się pisze). Co więcej, o „zbyt dużej mocy” pisze się na tej samej stronie, na której dwie linijki wyżej tłumaczono, że „czterdziestkapiątka” nie mogła przebić czołowego pancerza średnich czołgów niemieckich (co niestety jest dość bliskie prawdy).

Ze względu na gabaryty, masę, siłę odrzutu ZiS-2 (podobnie jak niemiecka armata PaK 40) określiło granicę możliwości dla holowanego działa przeciwpancernego, a dalszy wzrost energii wylotowej nieuchronnie doprowadziłby do powstania ciężkich kolosów, które należałoby umieścić na samobieżnym podwoziu gąsienicowym, osłonić pancerzem, czyli stworzyć „przeciwpancerny czołg” (działo samobieżne). Ale zwiększenie mocy do przebijania pancerza było konieczne: ZiS-2 mogło przebić pancerz czołowy pantery tylko z bliskiej odległości, a w walce z tygrysem było praktycznie bezużyteczne. Rozwiązaniem (oczywiście jedynie częściowym) problemu w prawdziwej historii był czołg T-34 z długolufowym działem kalibru 85 mm, przyjęty na uzbrojenie w styczniu 1944 roku.

Z działem wszystko jest już jasne – dzięki unikatowemu wyposażeniu dostarczonemu przez sojuszników zakłady nr 92 wyprodukowały mnóstwo luf o długości ponad 4,6 metra (od marca 1944 roku do końca 1945 roku 26 tysięcy). Potężna armata była wspaniała, ale nie dało się jej zamontować w ciasnej już wieży T-34. I nigdy by się to nie udało, gdyby twórczy geniusz narodu radzieckiego nie zwiększył łożyska wieży (pierścień podtrzymujący, na którym wieża obraca się w kadłubie czołgu) z 1420 do 1600 milimetrów, co umożliwiło zwiększenie gabarytów całej wieży. Zresztą geniusz inżynierów nie zawodził od początku projektowania T-34, zabrakło otrzymanych w ramach Lend-Lease maszyn, które mogłyby zbudować łożysko o takiej średnicy i naciąć do niego zębatkę.

Wielkich maszyn karuzelowych nie da się nie zauważyć, czasami się o nich wspomina, przyznając, że słynne „cztery procenty” radzieckiej produkcji otrzymaliśmy jednak w ramach Lend-Lease. A w jakich procentach można określić taką „drobnicę” jak wiertła, frezy, rylce do obróbki stali pancernej? Ile waży jedno, nawet bardzo duże wiertło – kilogram, dwa? Amerykanie przysłali 14 milionów 203 tysiące kilogramów szybkochnącej stali narzędziowej – czy ktoś dzisiaj o tym pamięta?

Głównym (pod względem masy) pierwiastkiem stopowym stali pancernej czołgu T-34/85 (gatunek 71L) był nikiel, na tonę stali zużywano 24 kilogramy. Z USA w ramach Lend-Lease otrzymano 13,8 tysiące ton niklu metalicznego, a kolejne 3 tysiące dostarczyli Brytyjczycy. W kategoriach bezwzględnych starczy tego na opancerzenie dla 45 tysięcy czołgów, w ujęciu względnym – trzy czwarte zasobów niklu w ZSRR. Stal 71L zawiera tylko znikomy odsetek molibdenu, jakieś ćwierć procenta, ale bez niego nie można uzyskać pancerza o wymaganej jakości; Amerykanie przysłali 16,9 tysiąca ton koncentratu molibdenu, co z nawiązką pokryło potrzeby całego przemysłu zajmującego się budową czołgów w ZSRR. Znikomy udział w całkowitej masie „trzydziestkiczwórki” zajmuje gumowy bandaż na zewnętrznym obwodzie kół jezdnych, ale po utracie przedwojennych źródeł kauczuku i rozpoczęciu masowych dostaw w ramach Lend-Lease czołgi budowano bez tego elementu, co prowadziło do częstych awarii i zawieszania, i elementów transmisyjnych.

Czołgi to nie wszystko, co jest potrzebne do wyposażenia technicznego wojsk pancernych. Za czołgami zimą i latem, w deszczu i śniegu, muszą podążać ogromne ilości paliwa, amunicji, części zamiennych, sprzętu saper-

skiego. Co w tym przypadku mogłoby zastąpić 104 tysiące studebakerów i ich legendarnej niezawodności i zdolności pokonywania przeszkód – rozpadająca się podczas jazdy połutorka? Swoją drogą, w co te ciężarówki „obuć”, skoro fabryka opon w Jarosławiu została zniszczona podczas nalotu Luftwaffe w nocy z 9 na 10 czerwca 1943 r. (to prawdziwa historia), a 3,6 miliona sztuk opon z Lend-Lease nie ma i nie będzie?

Kolumna brygady pancерnej musi być osłonięta przed atakami z powietrza – jedynym zmotoryzowanym uzbrojeniem obrony przeciwlotniczej było otrzymanych w ramach Lend-Lease 1100 samobieżnych zestawów przeciwlotniczych M-15A1 i M-17. Czołgi nie walczą same, ich zwycięstwo powinna przygotować i wspierać piechota zmotoryzowana. Jedynym źródłem transporterów opancerzonych dla Armii Czerwonej były dostawy od sojuszników (łącznie otrzymano około 6,2 tysiąca pojazdów opancerzonych różnych typów). Zgodnie z etatem korpusu zmechanizowanego sprzed wojny dowódcy mieli podążać za czołgami na tzw. emkach (osobowy GAZ M-1), a dowódcy korpusu przysługiwał luksusowy ZiS. Zapewne wyglądało to imponująco, ale kiedy przyszła pora walczyć, okazało się, że nie wymyślono na świecie nic lepszego niż zwinnie terenowy willys; w ramach Lend-Lease otrzymano ich 50 tysięcy.

Oczywiście czołgi przykuwają szczególną uwagę historyków, dziennikarzy, pisarzy i czytelników, ale główną bronią w czasie II wojny światowej była artyleria, która pochłaniała olbrzymie ilości pocisków. W latach 1942–1945 najbardziej masowe systemy artyleryjskie piechoty zużyły 84,6 miliona pocisków do dział kalibru 76 mm wszystkich typów oraz 19,4 miliona pocisków dla haubic kalibru 122 mm. Do ich zaopatrzenia potrzeba było (obliczenia R. Marczenki) 121 tysięcy ton prochu. Od sojuszników otrzymano (przetransportowano drogą morską, pod bombami i atakami okrętów podwodnych) 123 tysiące ton prochu oraz około 150 tysięcy ton składników chemicznych do produkcji prochu. Proch trzeba wsypać do łuski – w ramach Lend-Lease otrzymano 266 tysięcy ton mosiądzu o łącznej wartości 112 milionów dolarów (to koszt 560 bombowców B-17). Proch w łusce to ładunek miotający; to, co jest wyrzucane, powinno jeszcze eksplodować. W ramach Lend-Lease otrzymano 46 tysięcy ton dynamitu, 146 tysięcy ton gotowego trinitrotoluenu (trotylu) i 114 tysięcy ton toluenu...

Trzy warianty

W tym miejscu przerwiemy męczący potok liczb. Spełniły już swoją rolę, dalsze oceny będą nieuchronnie subiektywne, niestety nie da się sprawdzić „alternatywnej rzeczywistości” za pomocą kalkulatora.

Moim zdaniem najbardziej prawdopodobny mógłby być następujący scenariusz. Dowiedziawszy się, że został opuszczony przez sojuszników, Stalin postępuje tak, jak zrobił to w prawdziwej historii 28 czerwca 1941 roku – wyjeżdża do „pobliskiej daczy”, wyłącza telefon i spędza dwa dni na głębokiej refleksji (albo w głębokim odrętwieniu – nie wiem, świadkowie nie pozostawili wspomnień). Drugiego dnia wieczorem odwiedzili go najbliżsi współpracownicy. Następnie Stalin (albo ci, którzy zamordują Stalina) wysyła do Hitlera posłańca. Tydzień później zostaje zawarty nowy traktat o przyjaźni i granicy, ale w przeciwieństwie do dokumentu o takiej samej nazwie, który w rzeczywistości został podpisany 28 września 1939 roku, granica nie przebiega wzdłuż Bugu i Sanu, a wzdłuż Dwiny i Wołgi.

To realny i kompromisowy wariant, ale zasadniczo w interesie uczestników. Za taką możliwością kryje się potężne wsparcie ideologiczne, autorytet ojca-założyciela („Złapmy oddech bezwstydnego Brześcia/ Strata to przestrzeń, wygrana to czas” ¹). Dziwne zachowanie Stalina, który do końca 1943 roku przeciągał spotkanie Wielkiej Trójki, sugeruje, że „Brześć-2” był brany pod uwagę nawet w prawdziwej historii... W tym wypadku Hitler otrzymuje „przestrzeń życiową” z gigantycznym potencjałem zasobów, który wystarczy Niemcom na sto lat. Jego dawni przeciwnicy zachowują życie, władzę i na rozległych terenach „Uralosyberyjskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej” kontynuują budowę komunizmu (z takim samym skutkiem jak w prawdziwej historii).

Drugi prawdopodobny scenariusz jest znacznie gorszy. Stalin (albo ci, którzy zamordują Stalina) decydują się walczyć do końca. Ten koniec, czyli nieuchronna krwawa klęska, następuje najwyżej w ciągu pół roku. Nie będę marnował liter na opis możliwych wariantów przebiegu działań wojennych, bystry czytelnik zrobi to doskonale bez mojej pomocy. W rezultacie wszystko znowu zakończy się „Uralosyberyjską Republiką”, ale na znacznie trudniejszych warunkach: całkowita demilitaryzacja, wieloletnie spłacanie ogromnych reparacji, „podatek w naturze” (wysłanie milionów pracow-

ników do odbudowy niemieckiej gospodarki), proces „zbrodniarzy wojennych”, który odbędzie się nie w Norymberdze, a w Moskwie, i przy innym składzie oskarżycieli i oskarżonych.

Niestety są tylko dwa realistyczne scenariusze. Jednak tytuł artykułu zobowiązuje i dlatego, schowawszy zdrowy rozsądek do kieszeni, postaramy się opisać to, co, trzykrotnie przepraszając za cynizm, trzeba będzie nazwać „najlepszą opcją”.

Niemcy mają więc absolutną przewagę w powietrzu, pola naftowe w Baku zostały spalone wskutek bombardowań, Wehrmacht ma przewagę jakościową (nie wykluczone, że także ilościową) pod względem czołgów i środków obrony przeciwpancernej, zmotoryzowania i łączności oddziałów. Co może przeciwstawić temu pozbawiony sojuszników Związek Radziecki? Tylko jedno – bezprecedensowe masowe bohaterstwo, w pracy i w walce.

Starcy i dzieci kopią rowy przeciwczołgowe, noszą na front pociski (jak Wietnamczycy na szlaku Ho Chi Minha). Kobiety harują nie po 12, a po 25 godzin na dobę, co pozwala zwolnić z gospodarki i wysłać na front nowe miliony głodnych (nie ma „parszywej tuszonki” i pozostałej żywności z Lend-Lease) i bosych (nie ma 13 milionów skórzanych butów wojskowych) mężczyzn. A na rozległym froncie od Morza Barentsa do Morza Kaspijskiego zaczyna się niekończąca się przez wiele lat „bitwa o Rzew”. Tracąc dywizję za dywizją, Armia Czerwona przedziera się przez obronę nieprzyjaciela, Niemcy napierają lotnictwem i czołgami, wyprowadzają potężne ofensywy, nowe miliony trupów...

W mało prawdopodobnym przypadku, który trzeba będzie określić słowem „najlepszy”, w ciągu dwóch, trzech lat Armia Czerwona dotrze od Wołgi nad Dniepr. Właśnie tam napotka Wał Dnieprzański. W prawdziwej historii był to Wał Atlantycki i został zbudowany przez Niemców właśnie w ciągu dwóch, trzech lat. W prawdziwej historii te 5262 betonowe konstrukcje, 343 baterie artyleryjskie z 1448 działami dużego (od 145 mm) kalibru, te 8,5 miliona min umieszczono na wybrzeżu Holandii, Belgii i Francji, ale w naszej „wirtualnej rzeczywistości” znajdują się na wysokim prawym brzegu Dniepru. Wielkie przedsięwzięcie. Niemcy wydali na nie 3,7 miliarda (to nie jest literówka) marek, co odpowiada kosztowi 300 tysięcy przeciwpancernych PaK 40 lub 25 tysięcy średnich czołgów.

Przełamanie takiej linii umocnień jest możliwe tylko przy zmasowanym użyciu ciężkiego lotnictwa bombowego. Co oznacza „zmasowanym”? 20 września 1944 roku 633 bombowce alianckie zaatakowały baterię Lindemann (trzy monstrualne działa kalibru 406 mm, których zasięg pozwalał na prowadzenie ognia do celów na angielskim wybrzeżu przez La Manche). I nic. Grube na 5 metrów stropy bardzo mocnego żelbetu wytrzymały... W naszej sytuacji, gdy Niemcy mieli przewagę w powietrzu, Armia Czerwona nie miała żadnej szansy na sforsowanie Wału Dnieprzańskiego. Nawet gdyby zapełniono trupami żołnierzy Dniepr do samego dna.

Tymczasem w bogatej Ameryce, która nie wydała ani centa na wojnę w Europie, pełną parą pracują zakłady wzbogacania rud – nie te, w których produkowano koncentrat molibdenowy dla radzieckiej stali pancerniej, a inne, w których wzbogaca się uran i produkuje pluton. Latem 1945 roku USA zakończyły (w sposób znany z prawdziwej historii) wojnę z Japonią, zbudowały gigantyczne siły powietrzne z 4–5 tysięcy superfortec, zgromadziły pierwszą setkę bomb atomowych. Następnie Amerykanie wzywają przedstawicieli dowództwa Wehrmachtu i Armii Czerwonej do Japonii, przeprowadzają dla nich wycieczkę krajoznawczą po zgliszczach na terenie Tokio, w transporterze osłoniętym ołowiem wiozą przez gruzowiska Hiroszimy. A potem na pokładzie pancernika *Missouri* dyktują warunki zakończenia wojny przez ZSRR i Niemcy.

Ze względu na lewicowe sympatie samego Roosevelta, ze względu na działalność w USA potężnego lobby proradzieckiego, można przypuszczać (przynajmniej ze znikomą dozą prawdopodobieństwa), że jednym z tych punktów będzie przywrócenie przedwojennych granic ZSRR. Przedwojennych – czyli sprzed 1 września 1939 roku, a więc bez Wyborga i fińskiej Karelii, bez Estonii, Łotwy i Litwy, bez wschodniej Polski, Besarabii i północnej Bukowiny. A tym bardziej bez Prus Wschodnich, bez słowackich Karpat, bez południowego Sachalinu, Wysp Kurylskich, Port Arthura i Daliana. I nie będzie żadnych „państw demokracji ludowej”.

Dlaczego Amerykanie nie postąpili tak w rzeczywistości? Fenomen F.D. Roosevelta jeszcze długo pozostanie przedmiotem dyskusji historyków i politologów, a nasz „eksperyment myślowy” również będzie przydatny w tej dyskusji. Być może Roosevelt też zdawał sobie sprawę, jakie scenariusze rozwoju wydarzeń na froncie radziecko-niemieckim są najbardziej

prawdopodobne, i właśnie dlatego nie zostawił Stalina i Hitlera samych nawet na jeden dzień.

Gladiatorzy Stalina

Jeśli samobójcza głupota Hitlera pozwoliła Związkowi Radzieckiemu uniknąć błyskawicznej klęski w lecie 1941 roku, a wszechstronny udział w wojnie aliantów pomógł przetrwać w latach 1942–1943, to przekucie tych sprzyjających okoliczności w ostateczne zwycięstwo zawdzięczamy Stalinowi. Zwycięstwo – to Stalin, bez jakiegokolwiek ironii i cudzysłówów. A zwyciężył towarzysz Stalin bynajmniej nie przez przypadek. Przygotowywał się do zwycięstwa z niezłomną siłą swojej stalowej woli, rok po roku budował jej fundamenty, nie rozpraszając się na tradycyjne błahostki dyktatorów (pałace, jachty, polowania, kobiety). Cudowna broń, która zapewniła zwycięstwo w wojnie, powstała z wyprzedzeniem, została przetestowana, udoskonalona, pomnożona w niespotykanych dotąd ilościach. I to zadziało, nawet na krawędzi klęski – zadziało!

22 czerwca, w chwili niespodziewanego i nagłego ataku, wśród ogólnego zamieszania i narastającego chaosu, kiedy decyzja o ogłoszeniu mobilizacji została przeciągnięta do godziny 4 po południu, a o wprowadzeniu trybu wojennego przewozów na kolei w ogóle zapomniano (!), w tym szalonym dniu Prezydium Rady Najwyższej ZSRR udało się zebrać, napisać, we wszystkich „czytaniach” omówić i przyjąć dekret, na którego mocy z proludzkich stalinowskich sądów przekazano pod jurysdykcję sądów wojskowych cały zakres wielkiego, liczącego 14 punktów, artykułu 58 (wszelka „działalność kontrrewolucyjna”), słynny „dekret o trzech kłosach” (z 7 sierpnia 1932 roku) oraz artykuł 73 („opór wobec przedstawicieli władz”). Nieco później do tej listy dodano „szerzenie fałszywych pogłosek”, „samowolne opuszczenie stanowiska pracy przez pracowników zakładów wojskowych”, a dla pełnego obrazu „i inne przestępstwa”.

I praca zawrzała! W ciągu czterech lat wojny, Wielkiej i Ojczyźnianej, sądy wojskowe skazały 2 530 683 osoby. Dwa i pół miliona. Spośród nich tylko 994 tysiące osób było wojskowymi, a 1,5 miliona osób skazanych przez sądy wojskowe to cywile. W przypadku egzekucji proporcje się

odwracają. Na karę śmierci skazano 217 080 osób, z czego 135 tysięcy (czyli 10 dywizji) stanowili wojskowi, a 82 tysiące – cywile.

217 tysięcy. W Wehrmachcie w ciągu pięciu lat wojny rozstrzelano 7810 osób. Ale co tam egzekucje, skoro straty bezpowrotne wśród brytyjskich żołnierzy na wszystkich frontach od Birmy do Norwegii, w wojskach lądowych, lotnictwie i marynarce, były tylko półtora raza większe (303 tysiące ludzi). I nie zapominajmy, że sądy wojskowe to tylko część ogromnej maszyny terroru. Powyższa liczba (217 tysięcy rozstrzelanych) nie uwzględnia tych, którzy w ramach „dochodzenia” nie dożyli ogłoszenia wyroku. Nie uwzględniono również rozstrzelanych na mocy decyzji Kolegium Specjalnego NKWD „w sprawach powstałych w organach NKWD” (cóż za niezwykle w swej szczerości sformułowanie!) – takie uprawnienia nadano czekistom 17 listopada 1941 roku w dekrete nr 903 Państwowego Komitetu Obrony. Nie uwzględniono poległych w batalionach karnych i zabitych w oddziałach zaporowych (tego w ogóle nie traktowano jako rozstrzelania).

Ta liczba nie zawiera przez nikogo nieewidencjonowanej liczby żołnierzy rozstrzelanych... Tu powinny się pojawić słowa „przez swoich dowódców”, ale cudowna broń Stalina była tak cudowna, że w Armii Czerwonej podkomendni mieli prawo bez procesu zastrzelić dowódcę! 16 sierpnia 1941 roku podpisano słynny rozkaz Stawki nr 270, w którym dosłownie napisano tak: „Każdy żołnierz niezależnie od stopnia jest zobowiązany żądać od przełożonego, jeżeli jego jednostka znajduje się w okrążeniu, walczyć do ostatniej możliwości, żeby przebić się do swoich, i jeśli taki przełożony lub część czerwonoarmistów zamiast organizować odpór wrogowi wolą mu się poddać – zniszczyć ich przy użyciu wszelkich środków, tak naziemnych, jak i powietrznych”. Rzecz jasna w rozkazie nr 270 nie zapomniano o normalnym trybie żołnierskiej podległości: „Wszyscy wyżsi dowódcy i komisarze są zobowiązani do rozstrzeliwania na miejscu takich dezertersów wśród dowódców”.

Są sytuacje – a wyniszczająca wojna, którą prowadził Stalin, była jedną z takich – gdy człowieka nie można już przestraszyć nawet egzekucją. Nic strasznego – istnieją też inne, jeszcze skuteczniejsze metody: „Rodziny dowódców i pracowników politycznych, którzy podczas walk usunęli dystynkcje i zdezerterowali na tyły albo poddali się wrogowi, należy aresztować. (...) Rodziny czerwonoarmistów, którzy oddali się do niewoli, pozba-

wić zasiłków i pomocy państwa”. Czy zdajecie sobie sprawę, jak to jest zostać „bez zasiłków i pomocy” w kraju, gdzie za miesięczną pensję robotnika można było kupić na rynku cztery kilogramy żytniego chleba i dwa kawałki szarego mydła?

Szanowni państwo, drodzy towarzysze, nie trzeba tak gardłować. Słyszę was doskonale: „Swołocz, podlec, oszczerca, łajdak! Dlaczego nie ma ani słowa o wielkiej odwadze narodu radzieckiego! Gdzie 28 żołnierzy Panfilowa, Aleksander Matrosow, Zoja Kosmodiemjanska, bohaterowie Twierdzy Brzeskiej?”. Owszem, byli bohaterowie, i nie tylko 28, nawet nie 28 tysięcy, ale znacznie więcej. Ale zanim zaczniemy powtarzać zwyczajową mantrę o „bezprzykładnym w historii masowym bohaterstwie”, proponuję zastanowić się nad dwiema kwestiami.

Pierwsza. Stalin nie jest dla mnie przyjacielem, lecz prawda to większa przyjaciółka: on nie był patologicznym sadystą. W przeciwieństwie do swoich wielkich poprzedników (Iwana Groźnego i Piotra I) Stalin nie odwiedzał katowni i nie wykonywał własnoręcznie egzekucji. Na wszystkich prawdziwych zdjęciach Stalin uśmiecha się pod wąsem. A skoro ten wesoły człowiek, cyniczny pragmatyk, uważał, że należy wesprzeć „bezprzykładne w historii masowe bohaterstwo” równie bezprzykładnym masowym terrorem, to zapewne były ku temu dobre powody.

Druga kwestia jest jeszcze trudniejsza: czym jest bohaterstwo? W starożytności istniało wielkie Imperium Rzymskie. Było w nim wielu niewolników. Jedni pracowali na roli, drudzy kopali rowy, trzeci robili jeszcze coś... A istnieli też tacy niewolnicy, którzy dla rozrywki właścicieli zabijali się nawzajem. Czy gladiatorzy nie wykazywali się wielką odwagą, umierając w kałużach swojej i cudzej krwi na arenie rzymskiego Koloseum? Pewnym krokiem, z dumnie uniesioną głową, szli na miejsce swojej śmierci z okrzykiem: „Idący na śmierć pozdrawiają cię, Cezarze!”. I jak? Nic wam to nie przypomina?

Oto leży w okopie szeregowy czerwonoarmista, wczorajszy kołchoźnik, przedwczorajszy chłop. Broni miasta Lenina, kolebki rewolucji, która nie przyniosła mu nic poza upokorzeniem i spustoszeniem. Przed bitwą odczytano rozkaz dowodzącego frontem generała Żukowa: „Wszyscy, którzy poddali się wrogowi, po powrocie z niewoli zostaną rozstrzelani”. Obok leży dowódca, który jest zobowiązany zastrzelić żołnierza, jeśli ten się na chwilę zawaha. Za plecami – oddział zaporowy z cekaemami. Daleko

w kraju – rodzina i dzieci, wzięte przez władzę jako zakładnicy. Tuż w pobliżu las, ale taki mamy klimat, że nie da się przez dwadzieścia lat w nim przesiedzieć jak w dżungli w Indonezji... I co mu pozostało poza tym, żeby z okrzykiem: „Za Ojczyznę! Za Stalina!” ruszyć na niemieckie karabiny maszynowe? Kim jest – bohaterem czy ofiarą?

Armia gladiatorów jest dobra pod każdym względem, poza jednym – wśród gladiatorów może pojawić się Spartakus. Ta fatalna okoliczność została wzięta pod uwagę, cudowna broń Stalina poradziła sobie również z takim zagrożeniem. Metoda wciąż ta sama, ale dynamika wzrostu liczby represjonowanych była bardzo wyraźna. Jeśli podczas klęsk 1941 roku za „przestępstwa kontrrewolucyjne” skazano (wszystkie rodzaje kar, nie tylko rozstrzelanie) 29 tysięcy osób, to w zwycięskim 1945 roku ustanowiono „rekord” – 135 tysięcy zdemaskowanych i skazanych kontrrewolucjonistów! W 1941 roku, gdy rzeczywistych zdrajców było co niemiara, za „zdradę Ojczyzny” (art. 58-1b) skazano tylko 8976 osób, w 1942 roku – już 45 050, a w 1944 roku dopatrzono się 69 895 zdrajców. Na czym polegała ich „zdrada”? Czyżby kilka miesięcy przed zwycięstwem zdecydowali się przejść na stronę przegrywających Niemiec?

Wielki Stalin wszystko przewidział, ze wszystkim sobie poradził, wszystkich zwyciężył. Ogromna siedmiomilionowa armia niewolników-gladiatorów pokornie oddała broń i posłusznie założyła stare kołchozowe jarzmo. Towarzysz Stalin miał niesłychane szczęście, że trafił mu się taki lud, zresztą sam to rozumiał. 24 maja 1945 roku na wielkiej gali w wielkiej sali na Kremlu, gdy poziom zabawy (25 toastów i ani jednego za poległych żołnierzy) przekroczył czerwoną linię, Gospodarz nie wytrzymał, wstał i powiedział, co mu w duszy grało: „Jakiś inny naród mógłby powiedzieć: «Idźcie w diabły, nie spełniliście naszych oczekiwań, powołamy nowy rząd, który zawrze pokój z Niemcami i zapewni nam spokój». Tak się mogło wydarzyć, miejcie to na uwadze! Ale naród rosyjski tego nie zrobił. (...) I właśnie za zaufanie do naszego Rządu, które naród rosyjski nam okazał, bardzo mu dziękujemy. Za zdrowie narodu rosyjskiego!”.

„Ach! Sam Stalin wychylił setkę za rosyjski naród!” Poddani płakali ze wzruszenia, niepokorni marzli w kołymskich obozach, ci, którzy powstali, ginęli pod gąsienicami czołgów. Takie właśnie było Wielkie Zwycięstwo – jedno, ale nie dla wszystkich.

1. Władimir Majakowski, wiersz *Partia* (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

NIE BUDŹ LICHA, KIEDY ŚPI

25 czerwca 2015 roku pismo „Wojenno-promyszlennyj kurier” opublikowało artykuł K. Siwkowa, prezydenta fejkowej Akademii Problemów Geopolitycznych, pod tytułem *Nuklearny specnaz*. Publikacja wzbudziła duże zainteresowanie czytelników: licznik na stronie wskazywał 87,5 tysiąca odsłon, artykuł prawie w całości został przedrukowany w największej rosyjskiej gazecie „Komsomolskaja prawda” i 1 kwietnia (to nie żart) został skomentowany przez dość szacowną brytyjską „Daily Mail”. To zainteresowanie nie było przypadkowe – artykuł na to zasługuje.

Na początku Siwkow stawia następującą tezę: „Rosja po prostu nie jest w stanie współzawodniczyć z NATO i jego sojusznikami na płaszczyźnie wojskowo-technicznej”. U zwykłego obywatela radzieckiego taki wniosek wywołałby nie lada konsternację – jak to, dziesięciolecia wyteżonej pracy, kontrplan, współzawodnictwo socjalistyczne, dogonić i przegonić... Tylko autor nie traci animuszu: owszem, nie jesteśmy w stanie nadrobić zaległości, ale zawsze możemy zdzielić cegłą w plecy!

Potem pomysł goni pomysł, a inwencja przybiera na sile: „Wystarczy tylko niewielki wstrząs, na przykład uderzenie pocisku o megatonowym ekwiwalencie, żeby wywołać wybuch wulkanu Yellowstone. Dla USA skutki będą katastrofalne – takie państwo po prostu zniknie. (...) Inny wariant megauderzenia – wywołanie gigantycznych tsunami. (...) Wysokość fal osiągnie ponad półtora kilometra, a strefa zniszczeń sięgnie ponad 1500 km od wybrzeża. (...) Wsteczna fala zmyje Europę, czyli cały blok NATO”. Jeden ze śródtytułów to: „Apokalipsa – łatwa i niedroga”.

Zarówno artykuł pana Siwkowa, jak i fakt, że ukazał się w poważnym czasopiśmie, stawiają przed czytelnikiem wiele pytań natury moralnej, politycznej, wojskowej, filozoficznej i medycznej. Nie jestem ekspertem w żadnej z powyższych dziedzin, więc ograniczę się jedynie do wymienienia pewnych – mało znanych lub przeciwnie, przedwcześnie zapomnianych –

wydarzeń i faktów. Mała ściągawka z historii wielkiego wyścigu atomowego.

„Terytorium ZSRR mogło zamienić się w radioaktywną pustynię”

Powszechnie znana (wśród tych, którzy chociaż coś wiedzą) wersja wydarzeń jest taka: Amerykanie pierwsi zbudowali broń atomową, ale w 1949 roku Związek Radziecki przeprowadził próby swojej bomby atomowej (najbardziej oczytani dodadzą: dokładnie skopiowanej z amerykańskiej), niwecząc w ten sposób amerykański monopol na posiadanie superbroni, a następnie całkowicie wyprzedził wroga, budując bombę termojądrową (wodorową).

Zdanie specjalistów radykalnie różni się od tego optymistycznego obrazu: „W 1953 roku potencjał nuklearny USA wynosił 1169 głowic o łącznej mocy 73 Mt [średnio po 62 kilotony na jedną głowicę – M.S.] i w istocie nie mógł określić wyniku ewentualnego starcia między ZSRR i USA. Jednak w 1957 roku USA dysponowały już potencjałem liczącym 5543 głowice o łącznej mocy 17 500 Mt [średnio 3157 kilotony na jedną głowicę – M.S.]. Ten potencjał wystarczyłby do stworzenia na terytorium ZSRR strefy zniszczeń na obszarze o powierzchni 1,5 mln km² i strefy pożarów na obszarze o powierzchni 2 mln km²; obszar skażenia radioaktywnego, na którym poziom narażenia zewnętrznego wynosiłby ponad 300 rad dobę po wybuchu, mógłby znacznie przekroczyć 100 mln km², w praktyce oznaczało to, że terytorium ZSRR mogło się zmienić w radioaktywną pustynię. Arsenał nuklearny ZSRR w tym czasie był o kilka rzędów wielkości [czyli setki razy – M.S.] mniejszy **i nie stanowił realnej broni, która mogła powstrzymać USA tak pod względem wielkości, jak i możliwości środków jej dostarczenia**”.

Cały dalszy tekst jest niczym innym jak ograniczonym do ram artykułu prasowego komentarzem do zacytowanej powyżej fachowej opinii specjalistów WNIIEF (Rosyjskie Federalne Centrum Jądrowe, inaczej Arzamas-16,

inaczej BK-11, czyli jeden z dwóch głównych ośrodków badań nad bronią jądrową w ZSRR).

Na początek jedno krótkie, ale ważne wyjaśnienie – w 1949 roku Związek Radziecki nie miał bomby atomowej. Słowo „bomba” w języku rosyjskim zawsze oznaczało coś ruchomego, lecącego w powietrzu, ale 29 sierpnia 1949 roku na poligonie w Semipałatyńsku zdetonowano stacjonarny ładunek jądrowy. Czy trudno jest umieścić gotowy ładunek w korpusie bomby lotniczej? Amerykanie początkowo myśleli właśnie, że nie – szczególnie w porównaniu do tego gigantycznego splotu najbardziej skomplikowanych zadań naukowych, inżynierskich i produkcyjnych, które pojawiły się na drodze do pozyskania kilkudziesięciu kilogramów materiałów rozszczepialnych i wyprodukowania z nich ładunku wybuchowego.

W październiku 1944 roku w USA rozpoczęły się testy makiet gabarytowo-masowych pierwszej bomby plutonowej i nagle się okazało, że „drobny problem techniczny” może stać się przeszkodą nie do pokonania na drodze do stworzenia broni – bomba w ogóle nie chciała latać stabilnie, odchylenia makiety na torze lotu wynosiły 20–30 stopni, a całość spadała w niemożliwym do przewidzenia punkcie. Proste i oczywiste rozwiązanie – zwiększenie płaszczyzny i/lub ogona było niemożliwe do wykonania, ponieważ bomba już i tak ledwo mieściła się w luku bombowym superfortecy B-29. Trzeba było poprosić o pomoc Brytyjczyków, którzy wówczas mieli spore doświadczenie w projektowaniu superciężkich pocisków lotniczych.

Przyczyna odchyłeń okazała się bardzo niezwykła. Bardzo ciężka pod względem aerodynamicznym (2660 kilogramów na m² przekroju) bomba zrzucona z dużej wysokości rozpędzała się do prędkości transsonicznych i wokół jej korpusu, z punktu widzenia aerodynamiki dużych prędkości zupełnie „niewłaściwego” (krótki, wydłużenie tylko 2,2), nagle pojawiały się problemy techniczne; rozwiązać je udało się poprzez zamocowanie na ogonie hamulców powietrznych w postaci metalowych płyt umieszczonych w poprzek strumienia powietrza.

W internecie jest sporo zdjęć amerykańskiego Fat Mana i pierwszej radzieckiej bomby atomowej RDS-1, a różnica konstrukcji stabilizatorów jest wyraźnie widoczna gołym okiem: hamulec powietrzny posiada jedna i druga, ale sam kształt stabilizatora różni się znacząco. To są oczywiste

fakty. Według mojej niepewnej hipotezy „użytecznych idiotów”, którzy przekazali wywiadowi radzieckiemu i wyczerpujące informacje o technologii pozyskiwania materiałów rozszczepialnych, i konstrukcję układu sterującego detonacją z dokładnością co do milimetra (nie pominięto nawet liczącej 0,1 milimetra grubości złotej folii znajdującej się między dwiema połówkami bomby), znaleziono wśród międzynarodowego (głównie żydowskiego, szczerze mówiąc) zespołu fizyków, a stabilizatorem widocznie zajmowali się zupełnie inni ludzie, z innego działu i w innym miejscu.

W rezultacie Arzamas-16 dokładnie skopiował konstrukcję amerykańskiego układu sterującego detonacją, a aerodynamiką bomby trzeba się było zająć samodzielnie. A to wymagało czasu. Ile dokładnie? Nie wiem, ale pierwsza w ZSRR bomba atomowa (nie ładunek na wieży, a wypadający z luku bombowego samolotu przedmiot) odbyła testy dopiero 18 października 1951 roku, czyli 2 lata i 50 dni po pierwszej eksplozji jądrowej. Wariant „bo my nie chcieliśmy testować bomby w warunkach naturalnych, wystarczyła nam wieża” odrzucamy od razu, bez dyskusji. Bardzo chcieli, zawsze chcieli i słusznie chcieli! Testowanie broni jądrowej jest niewiarygodnie kosztowne, pochłania cenne materiały, które wydobywa się w okrucach i gramach, i dlatego wszyscy zawsze dążą do testowania konstrukcyjnie skończonej amunicji. Zarówno pierwsza dwustopniowa RDS-37, jak i słynna car-bomba o potwornej mocy 50 megaton były testowane nie na wieży, a właśnie podczas zrzutu rzeczywistego ładunku z typowego nosiciela.

Druga, znacznie bardziej istotna uwaga dotyczy tego, że „likwidacja monopolu na broń jądrową” z definicji nie mogła nastąpić od razu, jednym ruchem, jak pociągnięcie spustu: wczoraj była, dzisiaj się skończyła. To nie jest wydarzenie, to jest proces. Nawet jeśli jednorazowe przetestowanie pojedynczego ładunku wybuchowego zmienia rangę kraju na „mocarstwo atomowe”, to tylko w płaszczyźnie polityczno-propagandowej. Tak pierwszą „bombę” w cudzysłowie (29 sierpnia 1949 roku), jak i pierwszą rzeczywistą bombę (18 października 1951 roku) Stalin mógł zrzucić tylko na własne terytorium – jedyny typ radzieckiego bombowca, zdolny unieść te tony w powietrze (czterosilnikowy Tu-4, dokładnie skopiowany z amerykańskiego B-29) nie był w stanie dotrzeć do USA nawet samobójczym lotem „w jedną stronę”.

Do problemu przenoszenia ładunków wrócimy później, na razie zwróćmy uwagę, że niewystarczającą do realizowania zadań strategicznych moc pierwszych bomb atomowych¹ można było zrekompensować tylko dużą ich liczbą, co z kolei wymagało uruchomienia produkcji materiałów rozszczepialnych (plutonu-239 i uranu-235) na wielką skalę. Amerykanie na podstawie własnego, z trudem zdobytego doświadczenia praktycznego wiedzieli, ile to wymaga wysiłku, więc akurat ich najtrudniej było przestraszyć testem pojedynczej bomby.

Wraz z seryjną produkcją głowic jądrowych w ZSRR pojawiły się duże (i nieuniknione, ze względu na kolosalną złożoność zadania) problemy. Jawnie nierealistycznie zaplanowane zadanie – do końca 1947 roku doprowadzić do wytwarzania materiałów rozszczepialnych do 200 gramów na dobę – zgodnie z oczekiwaniami nie zostało wykonane. Reaktor technologiczny („fabryka nr 817”) uruchomiono latem 1948 roku, przez pierwsze pół roku 42 (!) razy zatrzymywano go z powodu awarii, po czym w styczniu 1949 roku reaktor przeszedł remont kapitalny. Równie trudne były początki pracy fabryki radiochemicznej („Czelabińsk-40”), gdzie z napromieniowanych, a więc śmiertelnie niebezpiecznych dla personelu bloków reaktora trzeba było „wydobyć” cenny pluton i go oczyścić.

Pierwsze gramy plutonu dostosowanego do budowy broni udało się uzyskać w marcu 1949 roku, a całego wyprodukowanego przez rok materiału starczyło tylko na trzy „wyroby” (w tym do ładunku zdetonowanego 29 sierpnia). Z rozdzielaniem izotopów uranu sprawy miały się jeszcze gorzej: wirowanie na skalę przemysłową wydawało się niemożliwe, produkcja gazowo-dyfuzyjna („fabryka nr 813”) uparcie nie chciała przekroczyć poziomu 75% wzbogacenia, sprzęt do rozdzielania elektromagnetycznego (pierścień o wysokości 21 metrów, ważący 3 tysiące ton) na początku 1950 roku był na etapie montażu. Na podstawie dostępnej chronologii testów urządzeń jądrowych można przypuszczać, że wzbogacony uran nadający się do produkcji broni udało się uzyskać dopiero w drugiej połowie 1951 roku. Efekt końcowy: 3 wyroby zbudowano w 1949 roku, 9 – w 1950, 26 – w 1951; plan produkcji zakładał budowę 40 bomb atomowych w 1952 roku i 50 sztuk w 1953 roku.

Tymczasem Amerykanie już „tłukli” setki bomb. Gdy w ZSRR zdetonowano pierwsze urządzenie jądrowe, w USA wyprodukowano 120 bomb lot-

niczych Mk-3 (zmodernizowany do seryjnej produkcji Fat Man). Następnie od 1949 do 1953 roku doszło jeszcze 550 bomb Mk-4 o podobnych parametrach taktyczno-technicznych. W czerwcu 1951 roku rozpoczęła się seryjna produkcja Mk-6; przy takich samych gabarytach i mniejszej masie (3800 zamiast 4700 kilogramów) ta bomba mogła generować moc od 8 do 80 kiloton, w ciągu czterech lat wyprodukowano 1100 sztuk (to nie jest błąd).

Po rozpoczęciu seryjnej produkcji w lipcu 1952 roku wytwarzano rocznie 190 sztuk Mk-7, która ważyła 765 kilogramów przy 60 kilotonach mocy; powstanie „siódemki” oznaczało radykalne przejście od ilości do jakości – teraz do przeprowadzenia ataku jądrowego na terytorium ZSRR można było wykorzystać setki odrzutowych myśliwców bombowych stacjonujących na lotniskach Europy Zachodniej, Turcji i Iranu, które mogły się zbliżyć do celu „poniżej radaru”.

Owszem, fachowcy twierdzą (patrz wyżej), że zgromadzonych przez Amerykanów do 1953 roku 1169 kilotonowych głowic „nie mogło przesądzić o wyniku ewentualnej kolizji na dużą skalę między ZSRR i USA”. Trudno (i nie trzeba) spierać się z ekspertami, ale mimo wszystko chcę zapytać: co mieli na myśli, kiedy mówili o „wyniku kolizji”? Totalne wypalenie terenów od Morza Barentsa do Morza Czarnego? Nawet jeśli uwzględnimy możliwą „usterkę” (chybienie, błąd techniczny, przechwycenie samolotu-nosiciela przez obronę przeciwlotniczą), Amerykanie mogli rzucić kilka bomb atomowych na każdą mniej lub bardziej znaczącą radziecką fabrykę, elektrownię, port morski. Setki eksplozji atomowych to całkowite zniszczenie całej infrastruktury przemysłowej, transportowej i energetycznej ZSRR, po której pozostali przy życiu mieszkańcy musieliby orać drewnianymi pługami skażoną ziemię. Tę samą, którą „Stalin przejął drewnianą, a zostawił z bombą atomową”.

Słońce stworzone przez człowieka

Historia powstania broni termojądrowej fascynuje ukrytym dramatyзмом, nieoczekiwanymi zwrotami wydarzeń, błędami i objawieniami. Jest znacznie bardziej skomplikowana niż prymitywny schemat w stylu „gdy Amery-

kanie męczyli się z ciężkimi monstrami, w ZSRR zbudowano zwykłą bombę nadającą się do transportu”.

Już na najwcześniejszym etapie praktycznego rozwoju fizyki jądrowej (w latach 1942–1945) amerykańscy naukowcy zrozumieli ogólną ideę: ogromne, skoncentrowane w małej objętości i bardzo szybkie uwolnienie energii z eksplozji jądrowej może rozgrzać „ciężki wodór” (deuter i/lub tryt) do gwiazdnych temperatur rzędu milionów stopni, co spowoduje jeszcze potężniejszą reakcję wybuchową zamiany (fuzji) atomów wodoru w hel (reakcja syntezy i reakcja termojądrowa).

Dość szybko uświadomiono też sobie zadziwiający zbieg okoliczności, który sprawia, że reakcja termojądrowa i naturalny, niewzbogacony uran-238 są dla siebie stworzone: wskutek eksplozji termojądrowej pojawia się gęsty strumień szybkich neutronów, które przy trafieniu w jądra urana-238 rozszczepiają je, co generuje tryliony miliardów mikroeksplozji, łączących się w jeden potężny wybuch. Taki schemat (rozszczerzenie–fuzja–rozszczerzenie) otwierał drogę do powstania ładunków o praktycznie nieograniczonej mocy przy użyciu na trzecim etapie eksplozji zwykłego naturalnego uranu, którego produkcja zasadniczo nie różni się od wytopu zwykłej surówki.

Pozostawało niewiele do zrobienia – należało znaleźć fizyczny mechanizm przenoszenia energii od „atomowego zapalnika” do termojądrowego „paliwa” i skonstruować materialne urządzenie, które wykonałoby ten proces. Istota problemu, na pierwszy rzut oka zupełnie nierozwiązywalnego, polega na tym, że każde urządzenie zawierające w sobie wybuchającą bombę atomową może istnieć nie dłużej niż jedną milionową sekundy – w ciągu następnej mikrosekundy wszystko to zmieni się w oślepiającą kulę rozżarzonej (dziesiątki tysięcy stopni) plazmy rozszerzającej się z prędkością początkową setek kilometrów na sekundę.

We wrześniu 1945 roku do radzieckiego wywiadu trafiły materiały opisujące schemat termojądrowego urządzenia wybuchowego, który w USA nazwano classic super i któremu w ZSRR nadano nazwę „tuba”. Nie rozводя się nad szczegółami, od razu przechodzimy do wyniku końcowego: rosyjska nazwa okazała się prorocza. Amerykanie zajmowali się teoretycznym opracowaniem urządzenia do 1950 roku, Rosjanie – do 1954 roku, pomysł okazał się chybiony, obliczenia na pierwszych komputerach wyka-

zały, że konstrukcja wyparowuje wcześniej, nim reakcja termojądrowa przybierze na sile.

Równolegle z rozwijaniem classic super w latach 1944–1947 fizycy pracujący w USA (K. Fuchs, J. von Neumann, E. Teller, S. Ulam) sformułowali kilka pomysłów, które utorowały drogę do stworzenia pierwszego oraz wszystkich kolejnych modeli broni termojądrowej. To, że Klaus Fuchs długo i owocnie współpracował z wywiadem radzieckim, jest powszechnie znanym faktem. W tym procederze nie brał udziału sam, po prostu dostępna publicznie historia wywiadu jest pisana w taki sposób, że znane stają się wyłącznie nazwiska agentów, którzy wpadli. Znowu musimy doprecyzować samo pojęcie „szpiegostwo atomowe”. Po Hiroszimie użyteczni idioci wściekle domagali się odtajnienia materiałów dotyczących prac nad atomem, uczynienia ich „własnością całej ludzkości” – i towarzysza Stalina, i towarzysza Mao, i drogiego przewodniczącego Kim Ir Sena... Dla jasności przytoczmy jeden, nietypowy, ale bardzo wymowny przykład.

17 marca 1949 roku Jurij Chariton, kierownik naukowy ośrodka Arzamas-16, zwrócił się do Ławrentija Berii z prośbą o pozwolenie na zapoznanie dwóch swoich kolegów z danymi wywiadu dotyczącymi przekrojów poprzecznych reakcji deuter–tryt. Proszę się nie zastanawiać, co oznaczają te trudne słowa, a prześledzić chronologię. Beria wydaje pisemne polecenie Pierwuchinowi – zająć się sprawą i przedstawić propozycje. Pierwuchin pisze: „Nie należy przekazywać Tammowi i Kompanejcowi danych wywiadowczych, żeby nie zainteresować tymi dokumentami kolejnych osób”. Ostatecznie 27 kwietnia podjęto salomonową decyzję: przekazać informacje, ale bez podawania źródła. Ta cała wymiana korespondencji prowadzona jest za pośrednictwem łączności kurierskiej, na drukach ścisłego zarachowania z groźnymi stemplami „Ścisłe tajne. Szczególnego znaczenia. W jednym egzemplarzu”. A tymczasem 15 kwietnia tego samego roku amerykańskie pismo naukowe „Physical Review” udostępnia wszystkim dane dotyczące przekrojów poprzecznych reakcji deuter–tryt. Pismo można kupić w kiosku na rogu. Tępi są ci Amerykanie, oj, tępi...

Dlatego nie będziemy tracić czasu i sił na wyjaśnienie tego, kto co wymyślił samodzielnie, a co podejrzwał za oceanem. Choćby dlatego, że „podejrzeć” i zrozumieć (!) teorię implozji radiacyjnej mógł wówczas tylko równie utalentowany geniusz. Przejdźmy od razu do praktyki – kto i co zrobił?

Główne idee, które umożliwiły stworzenie pierwszej radzieckiej bomby termojądrowej RDS-6s, zostały sformułowane przez Amerykanów w latach 1944–1947, a przez naukowców radzieckich w latach 1948–1949. Pierwszy pomysł to kompresja jonizacyjna paliwa termojądrowego przez strumień neutronów pierwotnej eksplozji atomowej. Istota pomysłu – jeżeli nie można zapobiec prawie natychmiastowemu odparowaniu wyrobu, to należy to odparowanie wykorzystać. Substancje o dużej i małej masie atomowej rozszerzają się podczas parowania jonizacyjnego w różny sposób – cięższe bardziej, lżejsze mniej. Więc gdyby otoczyć „zwykły” ładunek atomowy wielowarstwową kulą z naprzemiennych warstw najlżejszego pierwiastka (wodoru) i jednego z najcięższych (uran-238), to w strumieniu neutronów pierwotnej eksplozji atomowej wrzący uran z nieziemską siłą skompresuje wodór i w ten sposób uruchomi reakcję termojądrową, a następnie sam eksploduje w strumieniu szybkich neutronów powstałych wskutek reakcji termojądrowej. Taka konstrukcja otrzymała w ZSRR nazwę „warstwowiec”.

Wodór, w tym jego ciężkie izotopy (deuter i tryt), jest gazem. Praca z gazem jest skrajnie niewygodna – zajmuje dużo miejsca, ulatnia się, zapala. Potrzebne jest stałe paliwo termojądrowe. W tym charakterze zaproponowano związek chemiczny – deuterok litu (LiD), i nie był to zwykły lit, a jeden z jego izotopów (lit-6). W ZSRR otrzymał nieoficjalną nazwę „lidoczka”. Wkrótce okazało się, że „lidoczka” jest wyjątkowo dobra – pod wpływem strumienia neutronów lit-6 sam zmienia się w nadzwyczaj wydajne paliwo termojądrowe: tryt.

Amerykanie wiedzieli o tym wszystkim (przy czym dowiedzieli się tego rok wcześniej przed Sacharowem i Ginzburgiem), ale nie zbudowali „przekładańca”. Błąd? To zależy. Chcieli uzyskać wskutek reakcji termojądrowej superpotężny megatonowy ładunek. Amerykanie nie zadowoliliby się niczym mniejszym – i nie z powodu dumy, a dlatego, że przygotowywali się do seryjnej produkcji „zwykłej” bomby atomowej uwalniającej 500 kt energii (25 razy potężniejszej od Fat Mana), a przemysł, który wyprzedzał radziecki o rząd długości, był w stanie zaopatrzyć ten program w pluton klasy militarnej w potrzebnych ilościach. W zasadzie możliwa jest budowa dużego megatonowego „przekładańca”, ale do pierwotnej kompresji dużej kuli potrzeba ponad 40–50 ton konwencjonalnych materiałów wybuchowych, przez co wyrób z definicji nie nadaje się do transportowania.

Dlatego, nie straciwszy czasu na wersje pośrednie („przekładańca”), Amerykanie skupili się na realizacji fascynującej idei implozji radiacyjnej (rentgenowskiej) – trzecim pomysłem, jak nazwał to Sacharow. Zasada implozji radiacyjnej zadziwia wyobraźnię połączeniem genialnej prostoty z urzekającą złożonością obliczeń matematycznych i praktycznym zastosowaniem.

Pierwszym krokiem jest uświadomienie sobie „oczywistej” prawdy, że czas zniszczenia konstrukcji (rzędu 1 mikrosekundy) jest niezwykle długi, setki razy dłuższy niż czas potrzebny promieniom rentgenowskim do wypełnienia wnętrza bomby rzeczywistej wielkości. Drugi krok – we wnętrzu bomby, obok ładunku atomowego, którego eksplozja pełni rolę źródła promieniowania rentgenowskiego, umieszcza się osiowosymetryczny (kuliasty albo cylindryczny) kontener z paliwem termojądrowym. I wreszcie trzeci krok – kontener zostaje pokryty substancją silnie pochłaniającą promienie rentgenowskie; pod wpływem krótkiego potężnego impulsu promieniowania rentgenowskiego ta sprytna substancja błyskawicznie odparowuje, a reaktywna siła strumieni gazu ściska termojądrowe paliwo do gwiazdnych ciśnień i temperatur. Wszystko jest bardzo proste.

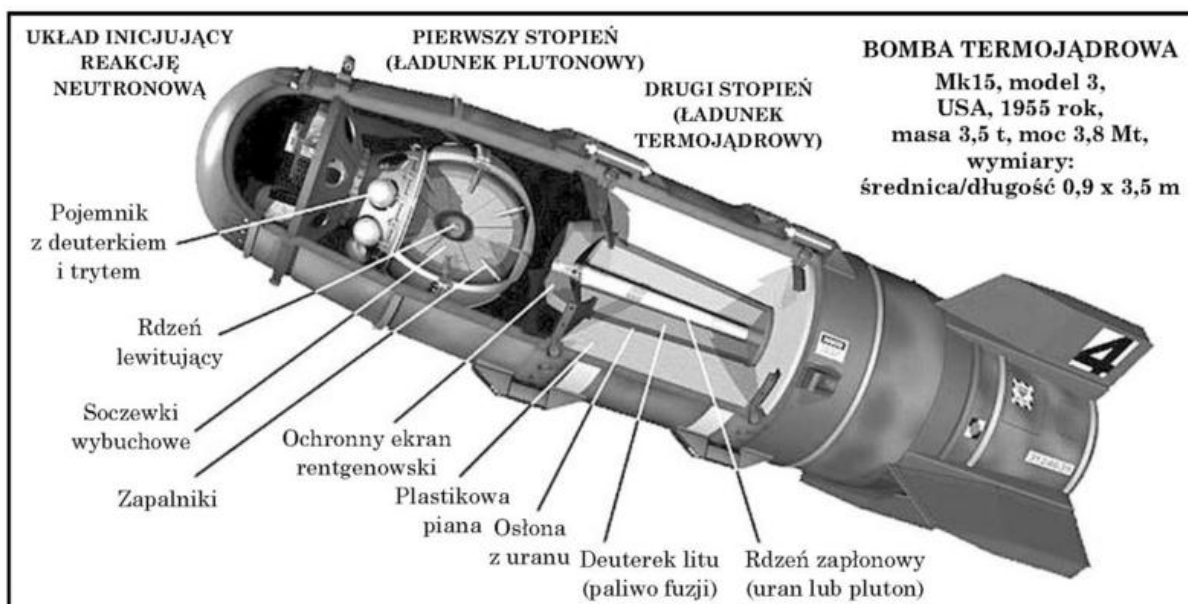
1 listopada 1952 roku TO wybuchło. Grzybowa chmura uniosła się na wysokość 37 kilometrów, na ziemi w epicentrum eksplozji powstał krater o średnicy 2 kilometrów i głębokości 50 metrów. 10 megaton to poważna sprawa. Amerykanie tak się śpieszyli, że jako paliwa użyli pierwszą substancję, którą mieli pod ręką – deuteru schłodzonego do temperatur bliskich zeru absolutnemu i jednocześnie zmieniającego się w ciecz. Zastosowanie paliwa kriogenicznego przesądziło o wielkich wymiarach i ogromnej wadze (około 74 ton) urządzenia; oczywiście nie da się tego nazwać bombą.

W Związku Radzieckim obrano inną drogę. I nie dlatego, że oni świadomie woleli „wróbla w rękę”, a dlatego że w tamtym czasie nie wiedzieli o „żurawiu”, czyli implozji radiacyjnej. Kolosalna praca (tym razem musieli wymyślić wszystko sami, bez Fuchsa) zajęła około czterech lat i zakończyła się 12 sierpnia 1953 roku. Pierwszy radziecki „przekładaniec”, bombę termojądrową RDS-6s, zdetonowano na poligonie w Semipałatyńsku i uzyskano około 400 kiloton.

Tak więc przy dźwięku kurantów oznajmiających o nadejściu nowego 1954 roku sytuacja przedstawiała się następująco. Amerykanie mieli nienadające się do transportu urządzenie, pionierski pomysł sprawdzony podczas

prawdziwego eksperymentu oraz jasne wyobrażenie tego, co należy robić dalej – zastąpić kriogeniczne paliwo termojądrowe twardą „lidoczką”. Związek Radziecki miał jak najbardziej realną, gotową do natychmiastowej produkcji seryjnej półmegatonową bombę, możliwość produkowania „lidoczki” na skalę przemysłową – ale zupełnie nie miał pomysłu na dalsze działania. I kto powinien zostać uznany za zwycięzcę w tym niezrównanym wyścigu?

Późniejsze wydarzenia potoczyły się dość przewidywalnie. 1 marca 1954 roku Amerykanie zdetonowali urządzenie zbudowane na zasadzie implozji radiacyjnej, w którym jako paliwa termojądrowego użyto twardego deuterku litu, co pozwoliło zmniejszyć masę do 10,5 tony. Energia wybuchu wielokrotnie przekroczyła oczekiwania i wyniosła 15 megaton. Następnie potężny przemysł amerykański wziął się do roboty – i od lipca 1954 do listopada 1955 roku wyprodukowano 305 bomb termojądrowych Mk-17 i Mk-24 po 10–15 megaton każda; przerażających rozmiarów monstra (masa 19 ton, średnica 1,6 metra, długość 7,5 metra) bez trudu się mieściły w luku bombowym bombowca międzykontynentalnego B-36... 300 bomb o mocy wielu megaton po raz kolejny zmieniło ilość w jakość – teraz nawet nie trzeba było celować, a po prostu wysypać je „metodą kwadratowo-gniazdową” i europejska część ZSRR nieuchronnie zmieniłaby się w radioaktywną pustynię.



Nasza odpowiedź – pierwsza radziecka bomba termojądrowa działająca na zasadzie implozji radiacyjnej – gruchnęła 22 listopada 1955 roku, a więc w chwili, gdy Amerykanie zakończyli program produkcji Mk-17. Bomba termojądrowa RDS-37 o mocy projektowej 3 megaton (podczas pierwszej próby ładunek celowo został nieuzupełniony do końca i siła wybuchu wyniosła „tylko” 1,6 megatony) została zaprojektowana i wyprodukowana w fantastycznie krótkim czasie – w niecałe dwa lata (dzisiaj w takim czasie powstałaby komisja do opracowania zadania technicznego). Niewątpliwie ten sukces stał się możliwy dzięki naukowym i technologicznym pracom wykonanym podczas budowy „przekładańca”. Eksperci piszą o tym tak: „RDS-6s pozostawił RDS-37 w spadku szereg bardzo ważnych pomysłów: sferyczną konfigurację węzła termojądrowego, warstwową strukturę paliwa z deuterku litu-6 i uranu-238, uranowy rdzeń inicjujący wtórnego modułu. Było to podejście absolutnie oryginalne, które a priori znikąd się nie pojawiło i zostało wyłącznie uwarunkowane radziecką prehistorią związaną z RDS-6s. Można powiedzieć, że głównym rezultatem prac nad «przekładańcem» był udany test RDS-37”.

Geometria geografii politycznej

Tak więc w połowie lat pięćdziesiątych ZSRR i USA, podążając różnymi drogami i z różną prędkością, dotarły do punktu, od którego gwałtowny wzrost liczby i mocy broni jądrowej stał się jedynie kwestią czasu, i to bardzo krótkiego. Informacje dotyczące produkcji broni jądrowej w ZSRR są niedostępne, ale o skali można pośrednio wnioskować na podstawie dość oficjalnych danych dotyczących prób jądrowych: od 1949 do 1955 roku łącznie przeprowadzono 24 detonacje, w samym 1958 roku – 34, w 1961 roku – 59 detonacji.

Czy teraz skończył się monopol nuklearny USA? Bynajmniej. Jądrowy ładunek wybuchowy to grot strzały, rzecz oczywiście niezbędna, ale bez drzewca i łuku pozbawiona praktycznego znaczenia. Bomba atomowa potrzebuje odpowiednich środków transportu, tylko one zmieniają wielki pirotechniczny pokaz w prawdziwą broń. I w tej kwestii symetria złożoności problemów zdecydowanie znika – wbrew wszystkim zasadom geometrii

odległość z USA do ZSRR okazała się znacznie mniejsza niż odległość z ZSRR do USA.

Jakoś tak się złożyło, że chętnych do zawarcia sojuszu z USA było na pęczki i złowrogi blok NATO nikogo nie namawiał do wstąpienia w swoje szeregi, a operacji w rodzaju „przymuszenie do niewystąpienia z NATO” w ogóle nie było. Związek Radziecki też miał sojuszników, ale tylko w krajach, do których Armia Czerwona zdołała wyciągnąć braterską rękę pomocy międzynarodowej, zresztą i takich sojuszników trzeba było od czasu do czasu przytrzymać kosztem małej (Berlin-53) albo dużej (Budapeszt-56) krwi. Kanady i Meksyku nie objął Układ Warszawski, a Fidel i Che w tamtym czasie nawet się nie domyślali, jak dziwny czeka ich los.

Dzięki temu samoloty amerykańskie mogły korzystać z baz lotniczych w Europie Zachodniej i Azji Środkowej, skąd Moskwa, Kujbyszew i Czeliabińsk były na wyciągnięcie ręki (2–3 tysiące kilometrów), a bombowce radzieckie nawet po najkrótszej trasie przez Biegun Północny miały do pokonania 6 tysięcy kilometrów od wybrzeża Oceanu Arktycznego do pierwszego punktu na granicy kanadyjsko-amerykańskiej. Dodajmy do tego jeszcze 1–1,5 tysiąca kilometrów lotu do miejsca docelowego nad terytorium USA. A uzyskaną liczbę pomnóżmy dwa razy – załóg pilotów-samobójców w lotnictwie radzieckim nigdy nie było i samolot chociażby teoretycznie powinien był móc wrócić. Tak więc potrzebny był bombowiec zdolny do startu z ładunkiem bojowym 5 ton i pokonania co najmniej 14–15 tysięcy kilometrów. Stworzenie takiego samolotu jest trudne, nawet bardzo trudne.

Przypomnę, że w 1945 roku najcięższy radziecki bombowiec Pe-8 (inaczej TB-7) miał masę startową 35 ton i z obciążeniem bombowym 2 ton mógł pokonać 3,6 tysiąca kilometrów z prędkością przelotową 270 km/h. Liczby te pozwalają nam docenić fenomenalny skok dokonany przez radziecki przemysł lotniczy, gdy 12 listopada 1952 roku przeprowadzono oblot prototypu bombowca strategicznego Tu-95. Tak, właśnie tego „niedźwiedzia”, który do tej pory pozostaje na uzbrojeniu rosyjskich sił powietrznych. Masa startowa 170 ton, maksymalne obciążenie bombowe 12 ton, zasięg z ładunkiem 5 ton to około 12–13 tysięcy kilometrów przy prędkości przelotowej 750 km/h.

Oczywiście i tu nie obyło się bez „szerokiej współpracy międzynarodowej”. Płomienne serce nowego samolotu – cztery potężne (12 tysięcy KM

każdy) silniki turbośmigłowe – zostało zaprojektowane przez inżynierów niemieckich, których razem z dokumentacją i wyposażeniem wywieziono do Kujbyszewa z pokonanych Niemiec. Skomplikowane systemy bombowca stratosferycznego (kabiny hermetyczne, zdalne sterowanie wieżyczki, sprzęt celowniczo-nawigacyjny i radiowy) pojawiły się w wyniku kreatywnego skopiowania podobnych systemów amerykańskiego B-29; niewątpliwie bez doświadczenia w kopiowaniu, a następnie też seryjnej produkcji amerykańskiej superfortecy, której nadano u nas skromne imię Tu-4, nie dałoby się stworzyć Tu-95 w tak krótkim czasie.

W 1956 roku samolot przyjęto do uzbrojenia i do końca 1958 roku Zakłady Lotnicze nr 18 w Kujbyszewie (największe przedsiębiorstwo w branży, które w czasie wojny zbudowało 36 tysięcy samolotów szturmowych Ił-2/10) dostarczyły jednostkom lotnictwa dalekiego zasięgu 50 bombowców Tu-95 i Tu-95M. Czy teraz amerykański monopol został przełamany? Trudno powiedzieć...

W tym samym 1952 roku, gdy pierwszy prototyp Tu-95 wyruszył w swój pierwszy lot, USA rozpoczęły seryjną (!) produkcję systemu rakiet przeciwlotniczych Nike Ajax. Pod koniec 1958 roku, gdy lotnictwo radzieckie dysponowało aż 50 Tu-95, w amerykańskim systemie obrony przeciwlotniczej rozmieszczono 200 baterii Ajax po 4–6 wyrzutni w każdej, a samych pocisków rakietowych wyprodukowano 13 714. Zasięg wysokości 21,3 kilometra (pułap Tu-95 nie przekroczył 12 kilometrów), prędkość 2,3 macha, trzyczęściowa głowica odłamkowo-burząca o masie całkowitej 142 kilogramów (słynny obecnie „buk” waży 70 kilogramów), radiolokacyjny, czyli nieczuły na wahania pogody i całodobowy system naprowadzania.

Dla amerykańskiego systemu obrony powietrznej radziecki niedźwiedź był idealnym celem: leci niezbyt wysoko i niezbyt nisko, wykrywalność przez radary samolotu z ośmioma olbrzymimi śmigłami była doskonała (SPO około 100 m²), możliwość uchylenia się przed rakietami „latająca stodoła” przy obciążeniu skrzydła rzędu 460 kg/m² była praktycznie zerowa, nadzieja, że radzieckie stacje zakłócające z lat 50. będą w stanie zmylić amerykańskie radary, była niewiele większa. Do tego należy dodać, że we wrześniu 1957 roku powstało wspólne dowództwo obrony powietrznej Kanady i USA (NORAD). W praktyce oznaczało to, że bombowiec

musiał znajdować się około 2,5 godziny w polu radarów zainstalowanych na terytorium Kanady, zanim przekroczyłby granicę powietrzną USA.

Ale i to nie wszystko. W 1956 roku amerykańska obrona powietrzna otrzymała pierwsze produkowane seryjnie egzemplarze naddźwiękowych myśliwców przechwytyjących F-102 Delta Dagger, do końca 1958 roku wyposażono w nie 26 eskadr, a wyprodukowano 875 samolotów! Samolot został uzbrojony w 6 kierowanych pocisków rakietowych (mógł też mieć zamontowaną głowicę radiolokacyjną lub głowicę naprowadzającą na podczerwień) i posiadał system sterowania zintegrowany z naziemnymi radarowymi stacjami wykrywania i naprowadzania; automatyka wyprowadzała samolot na odległość około 30 kilometrów od celu, po czym dalsze czynności przechwytyjące prowadzono dzięki kierowaniu się na sygnały radaru pokładowego. Pułap myśliwca wynosił 16,5 kilometra, maksymalna prędkość 1380 km/h.

Cała ta obfitość liczb sprowadza się do tego, że szanse na przedarcie się Tu-95 do celu na terytorium USA były znikome. Niemniej jednak jeszcze nikomu nigdy nie udało się stworzyć systemu obrony powietrznej ze stu-procentowym prawdopodobieństwem przechwycenia wrogiego samolotu. Z jakiegoś powodu piękne wyniki uzyskane podczas testów poligonowych jakoś nie potwierdzają się w prawdziwej walce. W tym miejscu należałoby przypomnieć losy radzieckiego odpowiednika amerykańskiego Ajaxu, pierwszego samobieżnego systemu obrony przeciwlotniczej S-75 Dwina. Na poligonie wszystko przebiegło znakomicie, a w Wietnamie udało się zestrzelić 16 amerykańskich bombowców strategicznych B-52. 16 na 126 tysięcy lotów bojowych samolotów tego typu. A więc pojawienie się na niebie Tu-95, mimo wszelkich zastrzeżeń, oznaczało pierwsze pęknięcie w ścianie bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Pęknięcie zmieniło się w ziejącą dziurę po tym, jak w 1960 roku przyjęto na uzbrojenie międzykontynentalne pociski balistyczne 8K-71 (słynną „siódemkę” Korolowa) i ich modyfikację 8K-74. Zasięg lotu głowicy tego ostatniego wynosił 9 tysięcy kilometrów, a ponieważ nie musiała ona wracać, wystarczało to do uderzenia praktycznie w dowolny punkt na terytorium USA. Przechwycenie głowicy pocisku międzykontynentalnego przez ówczesną obronę powietrzną było absolutnie niemożliwe. „Siódemka” dopisała pod każdym względem oprócz jednego – użycie jej jako broni było praktycznie niemożliwe: gigantyczna konstrukcja (masa startowa 270 ton)

napędzana ciekłym tlenem (tak że w zasadzie nie można było utrzymać rakiety z napełnionymi paliwem zbiornikami), czas przygotowania do startu 7 godzin, stanowisko startowe o powierzchni średniej wielkości kosmodromu (później przekształcono je w obecny kosmodrom w Plesiecku).

Wykonana w kilku egzemplarzach 8K-74 oficjalnie znajdowała się na uzbrojeniu do 1968 roku, ale w rzeczywistości to 8K-64 Jangela (inaczej R-16 albo SS-7 Saddler według klasyfikacji NATO) stała się pierwszym masowym międzykontynentalnym pociskiem balistycznym. Dramatyczna historia prac nad tym pociskiem (podczas przygotowań do pierwszego startu nastąpiła eksplozja, w której zginęło 78 osób, w tym pierwszy dowódca strategicznych wojsk raketowych, marszałek Niedielin) zakończyła się skierowaniem pierwszych kompleksów na dyżur bojowy w lutym 1963 roku. Dwustopniowy międzykontynentalny pocisk balistyczny z całkowicie autonomicznym (czyli absolutnie nieczułym na zakłócenia) systemem sterowania był tankowany nadającymi się do długiego przechowywania komponentami paliwa, a jego czas przygotowania do startu wynosił około 30 minut. To była prawdziwa broń, która miała wyznaczyć granicę wielkiego wyścigu – teraz oba państwa (zarówno ZSRR, jak i USA) w przypadku konfliktu nuklearnego czekała nieuchronna całkowita zagłada.

Podsumujmy. Likwidacja monopolu nuklearnego USA nie jest wydarzeniem jednorazowym, ale procesem trwającym prawie 18 lat (od 1945 do 1963 roku), podczas gdy do połowy lat 50. przewaga była absolutna. W tej sytuacji Stany Zjednoczone nie tylko nie użyły broni atomowej przeciwko ZSRR lub jego sojusznikom, ale nawet nie uciekały się do bezpośrednich gróźb jej użycia – nawet w latach (Korea, 1950–1953), gdy tzw. zimna wojna wybuchła jako duży konflikt zbrojny, w którym Amerykanie stracili 44 tysiące zabitych i zaginionych.

Uwaga, pytanie: jak by się zachował towarzysz Stalin, gdyby w jego rękach przez 10 lat z rządu znajdowała się wyjątkowa superbroń, której nie miał przeciwnik? Ile republik związkowych liczyłaby w takiej sytuacji braterska rodzina narodów radzieckich? Ile pustyń jądrowych pojawiłoby się na globie? Niestety, bodliwej krowie Bóg rogów nie daje. A teraz, pół wieku później, pan Siwkow woła o rzucenie wyzwania losowi, toczy przez kontynenty megaeksplozje i zalewa znieprawionych „pindosów” megatsunami. Owszem, wróg od dawna już nie jest taki sam – tolerancja, multikulturalizm, pierestrojka i reset. I arsenały są zupełnie inne – raptem 1550 gło-

wic zgodnie z ostatnią wersją traktatu START. Głowice są słabiutkie – te najbardziej masowe, na okrętach podwodnych Trident, po 475 albo nawet 100 kiloton.

Jednak nawet tego z dużym zapasem starczy, żeby zamienić w radioaktywny popiół i Akademię Problemów Geopolitycznych, i jej prezesa, i wszystkich, u których szaleńcze nawoływania pana Siwkowa wywołują szczenięcy zachwyty.

1. Rzeczywiste skutki eksplozji jądrowej o sile 40 kt na małej wysokości (350 metrów nad ziemią) podczas słynnych ćwiczeń tockich 14 września 1954 roku były następujące. Zniszczono batalionowy (!) węzeł obrony umownego nieprzyjaciela, zniszczone na zewnątrz ziemianki pozostały wewnątrz nienaruszone. Ciężarówka znajdująca się w odległości 800 metrów od epicentrum wybuchu spłonęła, znajdująca się w odległości 1800 metrów została uszkodzona; samoloty w białych pokrowcach w odległości 1800 metrów nie odniosły widocznych uszkodzeń. Zwierzęta znajdujące się w odległości 1000 metrów od epicentrum wybuchu przeżyły (mogły się poruszać), znajdujące się w odległości 2000 metrów od epicentrum nie miały widocznych uszkodzeń. W miejscowościach Jelszanka i Machowka (4–5 kilometrów od epicentrum) połowa budynków zapaliła się od suchej słomy pokrywającej dachy; w odległości większej niż 6–7 kilometrów żaden dom się nie zapalił. Do czasu wkroczenia wojsk (2,5 godziny po wybuchy) poziom napromieniowania w odległości 400 metrów od epicentrum spadł do 0,1 R/h, po 48 godzinach bezpośrednio w epicentrum wynosił 3 R/h (choroba popromienna w łagodnej postaci występuje przy całkowitej dawce większej niż 50–100 rentgenów). [\[wróć\]](#)

Fotografie



„Układ monachijski” przekreślił nadzieje Stalina na wielką europejską wojnę w 1938 roku.
© Alamy/BE&W



Zajęcie 15 marca 1939 roku Czech wraz z zakładami koncernu Škoda, produkującego górnictwa nowoczesnego uzbrojenia, znacznie wzmocniło siły Hitlera.

© AKG Images/BE&W



Jeden z najbardziej rozpowszechnionych i uporczywych mitów głosi, że niemieckie samoloty rozpoznawcze w przededniu wojny bezkarnie latały nad terytorium radzieckim, a naszym sokołom-lotnikom nie pozwolono strzelać do bezczelnych, bo bezkarnych szwabów.

© Apic/Getty Images Poland



Sięjący zniszczenie Ju 87 nie miał celownika bombowego. Cel był namierzany w „siatce” strzeleckiego (!) celownika Revi C/12, kąt nurkowania określano za pomocą kresek na szybach kabiny.

© Sovfoto/Universal Images Group/BE&W



Wątpliwości (a dokładniej mówiąc: historyczne próby negocjowania oczywistości) co do możliwości żeglugi po Ładodze pojawiły się dopiero w ostatnich latach – po tym, jak publicznie i konkretnie padło pytanie o przyczyny leningradzkiego głodu. Na zdjęciu transport Drogą Życia przebiegającą do Leningradu po zamrzniętym jeziorze Ładoga.

© Sovfoto/Universal Images Group/BE&W



Oczywiście nie należy lekceważyć czynnika karygodnych zaniedbań, które uwidoczniły się podczas zaopatrywania Leningradu, ale pomimo zaniedbań przypuszczalnie podjęto całkowicie świadomą decyzję: pierwszym i najważniejszym priorytetem było uratowanie oddziałów Frontu Leningradzkiego, drugim – zniszczenie infrastruktury przemysłowej miasta na wypadek zajęcia go przez wroga. Utrzymanie przy życiu 2,5 miliona osób nie należało do zadań priorytetowych.

© AKG Images/BE&W



Pod koniec lata 1941 roku Niemcy przetrzymywali w niewoli 1,5 miliona byłych żołnierzy Armii Czerwonej, we wrześniu i październiku 1941 roku ta liczba się podwoiła. W rzeczywistości był to ogromny kontyngent poborowy, z gotowym dowództwem, wojskowymi specjalistami wszelkiego rodzaju oraz olbrzymimi stertami amunicji i broni.

© Alamy/BE&W



Na szczęście dla ludzkości Hitler stracił swoją szansę. Nawet nie próbował owijać w bawełnę i przedstawiać swojej agresji przeciwko ZSRR jako kampanii wyzwoleniczej. Wziętych do niewoli czerwonarmistów, opuszczonych przez państwo radzieckie, spędzano na wielkie, ogrodzone drutem kolczastym polany i pozwalano umrzeć z głodu i dyzenterii.

© Mondadori Collection/Universal Images Group/BE&W



Przebrojenie T-34 w armatę 85 mm wymagało zwiększenia wieży – stało się to możliwe dopiero w 1944 roku dzięki otrzymanym w ramach Lend-Lease maszynom, które pozwalały zbudować łożysko o takiej średnicy i naciąć do niego zębatkę.

© Alamy/BE&W



Unieruchomiona brygada przeciwpancerna jest jak packa na muchy przybita gwoździem do ściany – w 1941 roku brygady były uzbrojone m.in. w doskonałe działa kalibru 76 mm (po lewej) i 107 mm (po prawej), zdolne przebić czołowy pancerz każdego niemieckiego czołgu z odległości kilometra. Jednak do jednostek nie dotarły ciągniki niezbędne do holowania czterotonowych dział.

© Alamy/BE&W

© Alamy/BE&W



© Bettmann/Getty Images Poland



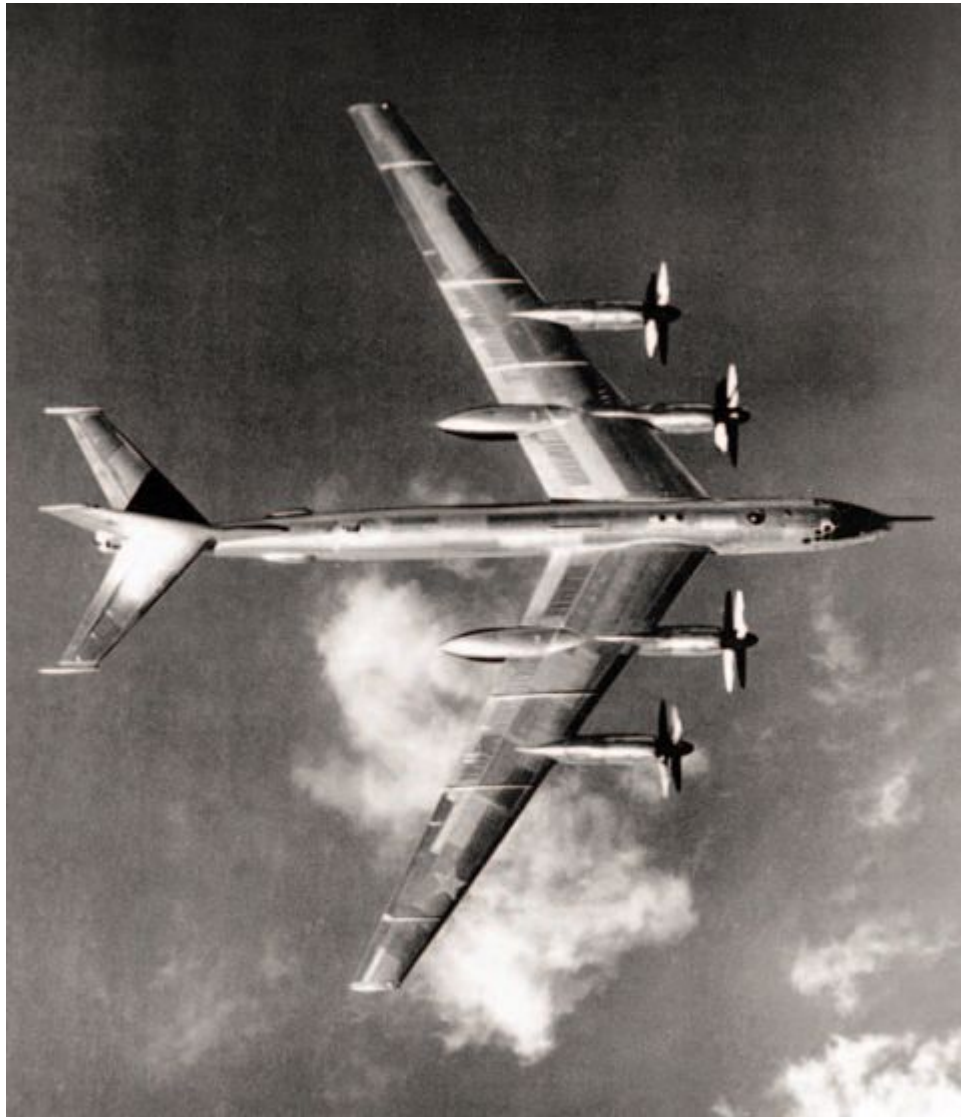
W ramach dostaw Lend-Lease Związek Radziecki otrzymał m.in. 18 tysięcy samolotów bojowych (na zdjęciu amerykańskie samoloty w bazie przeładunkowej w Iranie, przygotowane do przelotu do ZSRR) i 12 tysięcy czołgów i dział samobieżnych (załadunek czołgów w amerykańskim porcie).

© Hulton-Deutsch Collection/Corbis/Getty Images Poland

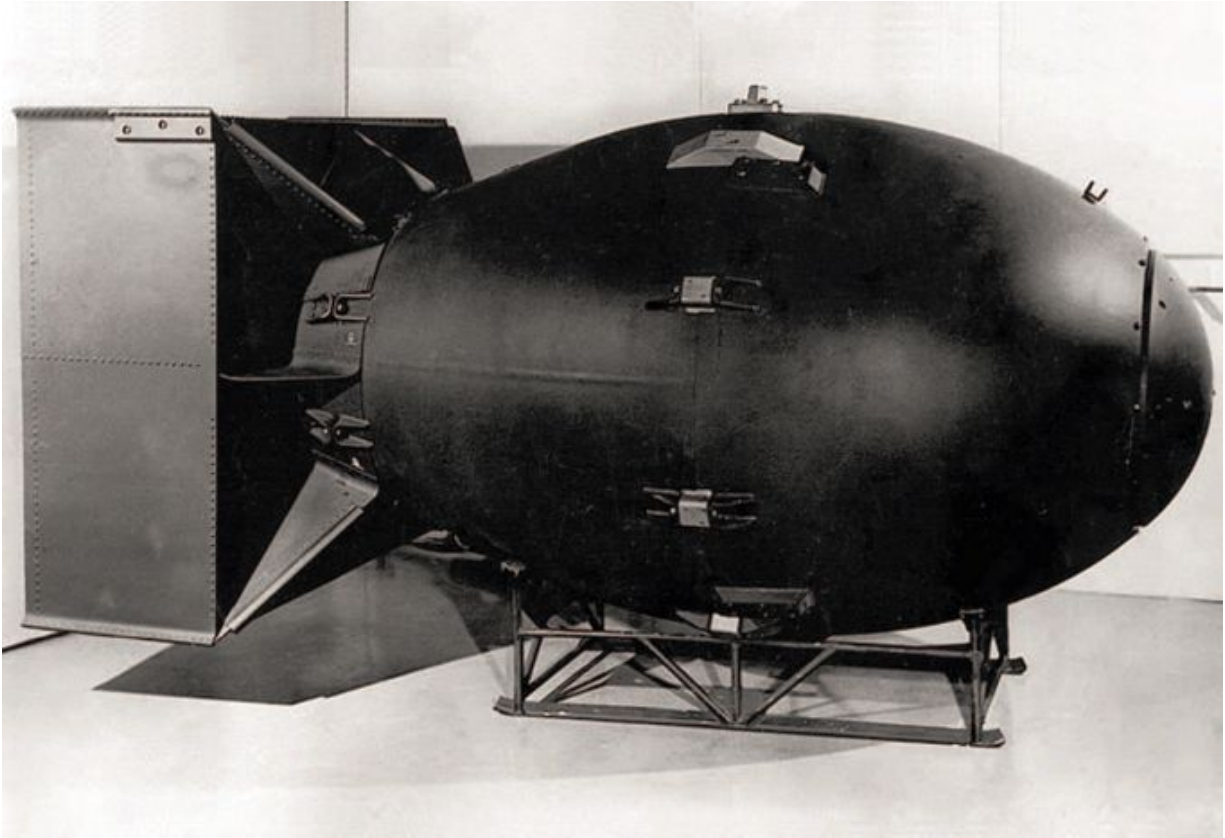


Na wszystkich prawdziwych zdjęciach Stalin uśmiecha się pod wąsem. A skoro ten wesoły człowiek, cyniczny pragmatyk, uważał, że należy wesprzeć „beprzykładne w historii masowe bohaterstwo” równie beprzykładnym masowym terrorem, to zapewne były ku temu dobre powody.

Wielki Stalin wszystko przewidział, ze wszystkim sobie poradził, wszystkich zwyciężył. Ogromna siedmiomilionowa armia niewolników-gładiatorów pokornie oddała broń i posłusznie założyła stare kołchozowe jarzmo. Towarzysz Stalin miał niesłychane szczęście, że trafił mu się taki lud, zresztą sam to rozumiał.



Tak pierwszą „bombę” w cudzošowie (29 sierpnia 1949 roku), jak i pierwszą rzeczywistą bombę (18 października 1951 roku) Stalin mógł zrzucić tylko na własne terytorium – jedyny typ radzieckiego bombowca zdolny unieść te tony w powietrze (czterosilnikowy Tu-4, dokładnie skopiowany z amerykańskiego B-29) nie był w stanie dotrzeć do USA nawet samobójczym lotem „w jedną stronę”. Zmieniło się to dopiero w 1956 roku po przyjęciu do służby bombowca strategicznego Tu-95 (na zdjęciu), który do tej pory pozostaje na uzbrojeniu rosyjskich sił powietrznych.



Amerykańskiego Fat Mana (na zdjęciu) od pierwszej radzieckiej bomby atomowej RDS-1 wyraźnie różniła konstrukcja stabilizatorów. „Użytecznych idiotów”, którzy przekazali wywiadowi radzieckiemu i wyczerpujące informacje o technologii pozyskiwania materiałów rozszczepialnych, i konstrukcję układu sterującego detonacją, znaleziono wśród międzynarodowego zespołu fizyków, a stabilizatorem widocznie zajmowali się zupełnie inni ludzie. W rezultacie aerodynamiką bomby trzeba się było zająć samodzielnie.

© NARA/Science Source/BE&W

Tego autora nakładem Domu Wydawniczego REBIS ukazały się również:

22 CZERWCA 1941

czyli jak zaczęła się Wielka Wojna Ojczyźniana

23 CZERWCA. DZIEŃ „M”

25 CZERWCA

Głupota czy agresja

NIC DOBREGO NA WOJNIE

NA UŚPIONYCH LOTNISKACH...

PRANIE MÓZGU

Fałszywa historia Wielkiej Wojny

CZERWIEC 1941

Ostateczna diagnoza

Tytuł oryginału: *Kak Sowietskij Sojuz pobiedil w wojnie*

Copyright © Sołonin M.S., 2018
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2020

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Redakcja merytoryczna: Hubert Kuberski

Projekt i opracowanie graficzne okładki: Zbigniew Mielnik

Fotografia na okładce
© Mondadori/Getty Images Poland

Mapy i ilustracja w tekście ze zbiorów autora – opracowanie wersji polskiej Grzegorz Kalisiak | Pracownia Liternictwa i Grafiki

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Jak Związek Radziecki wygrał wojnę*, wyd. I, Poznań 2021)

ISBN 978-83-8188-846-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61 867 81 40, 61 867 47 08
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**